

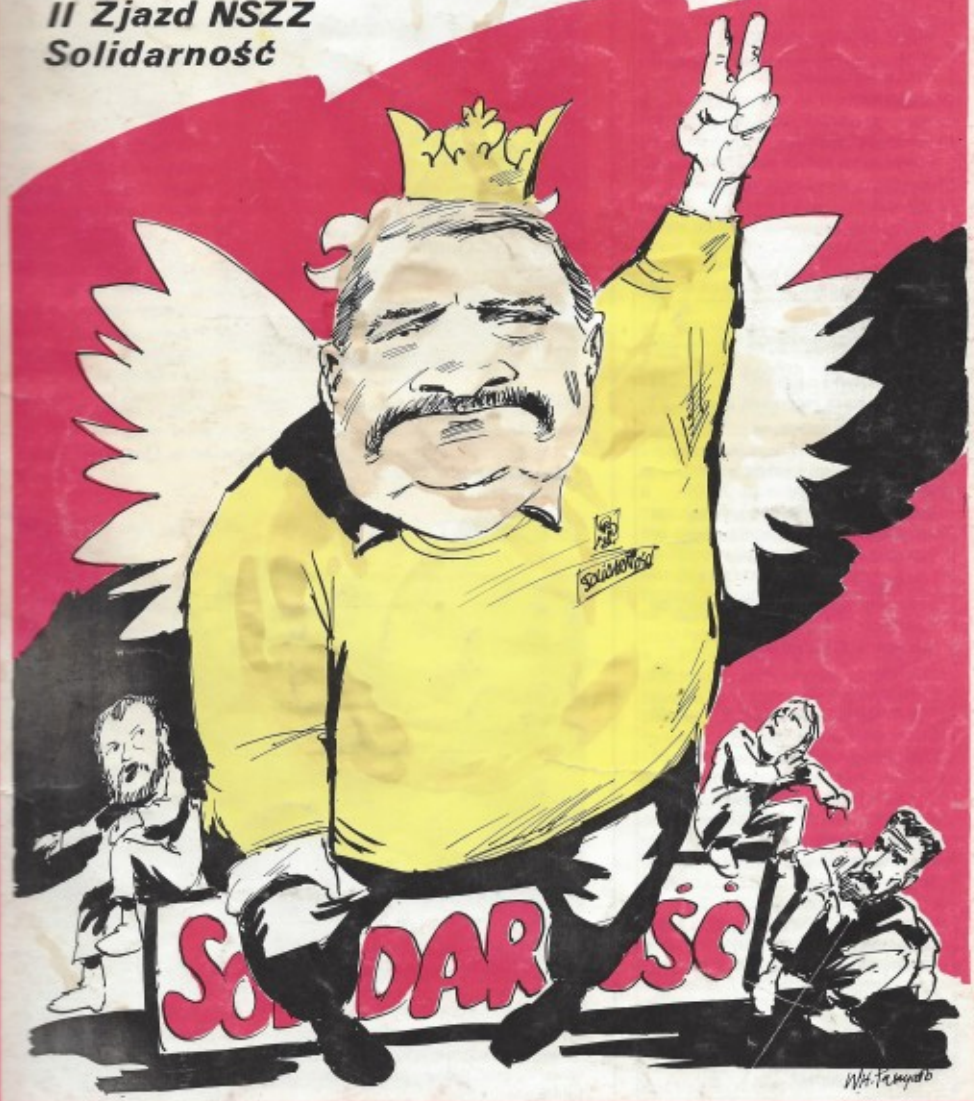
Warszawa-Berlin, kwiecień 1990 r. Rok IX, nr 4 (160)

Pogląd

Magazyn polityczny:
niecenzurowany
krytyczny
niezależny
pozapartyjny



II Zjazd NSZZ
Solidarność



| | |
|--|----|
| Edward Klimczak | |
| Przedwczesne marzenia | |
| o wolności | 2 |
| Zbigniew Zbikowski | |
| Sejm: Walka w cieniu kabinetów | 3 |
| Zdzisław Uniszewski | |
| OPMO: Nieustraszeni obrońcy | |
| prawa | 7 |
| Aleksandra Bessert | |
| "Solidarność Walcząca" | |
| czy – "warcząca" | 10 |
| Tomasz Dobrzyński | |
| O czym się w Polsce mówi? | 14 |
| Nie będę kontrkandydatem | |
| Wałęsy | 15 |
| z Janem Rulewskim | |
| rozmawia Edward Klimczak | |
| Nowe rące istnienia Radia | |
| Wolna Europa | 20 |
| Witold Koltys | |
| Łitwa: Cienie niepodległości | 22 |
| Witold Pronobis | |
| Łitwinów walka o wolność | 24 |
| Polska granica zachodnia | 27 |
| Polskie opcje polityczne | 30 |
| z posełem Januszem Onyszkiewiczem | |
| rozmawiają Adam Kowalski | |
| i Zbigniew Zbikowski | |
| Trzeba oswoić Wałęsę z krytyką ... | 34 |
| z psychoterapeutą Jackiem Santorskim | |
| rozmawia Anna Hadrysiewicz | |
| María Marmczur | |
| Bezdomni: Kanał, dworzec, hotel .. | 36 |
| Aleksander Łuczak | |
| Szwajcaria: Państwo banków | |
| i szpicli | 39 |
| Andrzej Zwaniński | |
| Amerykańskie huty i ESOP-y | 42 |
| Ewa Darmas | |
| Wielonarodowa Francja | 46 |
| Elżbieta Stasiak | |
| Czy klimat Ziemi się zmienia? | 48 |
| Piotr Kowalczyk | |
| Opowiedzcie o tym dalej cz. III | 52 |
| Jacek Korczak-Mleczo | |
| Sport: Gra o stołki | 56 |
| Cezary Stolarczyk | |
| Homoseksualizm w USA | 59 |
| Leszek Szaruga | |
| Lektury obowiązkowe | 62 |
| Polacy w diasporze | 64 |

Numer zamknięto dn. 30.03.90 r.
Oddano do druku dn. 02.04.90 r.
Projekt okładki: wit



Jan Rulewski

for. Pogląd

Na Zjeździe będziemy się domagali, aby Sejm ustawą zwrócił majątek Związku, gdyż jest to w tej chwili jedna z czterech barier hamujących jego rozwój. Druga bariera to strach. Nadal działa syndrom stanu wojennego, wzmocniony jeszcze możliwością utraty pracy. Trzecia bariera to fakt, że rząd i parlament wessaly elity związkowe i Związek został pozbawiony czynnika intelektualnego. Czwarta sprawa to program. Związek nie posiada programu, niedokładnie została zdefiniowana jego tożsamość – stwierdza w rozmowie z Edwardem Klimczakiem przewodniczący Zarządu Regionu "Solidarności" w Bydgoszczy Jan Rulewski.

OPMO JAK ZOMO

STR. 7



13.02.90. Poznań

for. Aleksandra Bessert

Przed senacką Komisją Praw Człowieka i Praworządności stanęli dwaj oficerowie MO – z-ca komendanta głównego MO, gen. bryg. Kłossowski i dowódca Stołecznego Oddziału Prewencji MO ppk Szablewski. Przesłuchiwani byli w związku z brutalną akcją milicji w dn. 27 stycznia br. towarzyszącą pożegnaniu zjazdu PZPR. Przesłuchanie wykazało – relacjonuje Zdzisław Uniszewski – że resort Ministerstwa Spraw Wewnętrznych toleruje przestępczą działalność wielu funkcjonariuszy.

„... jeśli któregoś dnia na ulicach Wilna (Kowale) pojawią się czołgi, będzie to w powszechnej opinii oznaczało kres gorbaczowowskiej „pieniestrojki” — napisał w połowie marca Witold Koftys o Litwie w artykule „Cienie niepodległości”.

24 marca nad ranem kolumna sowieckich czołgów i samochodów pancernych wjechała do Wilna. Przyjechała przed siedzibę litewskiego parlamentu, gdzie toczyły się właśnie całonocne obrady. Posiedzenie parlamentu przerwano. Kolumna skierowała się do koszar na obrzeżach miasta. Mimo napięcia prezydent Landsbergis nie liczył się z groźbą przelewu krwi.



Kolumna SKOT-ów na ulicach Wilna

Jacek Santorski, warszawski psychoterapeuta w swojej praktyce terapeutycznej udziela porad i troszczy się o zdrowie psychiczne m.in. członków establishmentu. W rozmowie z Anną Hadrysiewicz tak ocenia kondycję psychiczną obecnego rządu: „Ludzie sprawujący władzę są w głębokim stresie. Wiadą to m.in. w zewnętrznych znakach, jak splecione oddychanie, podniesione ramiona, napięcie w ruchach. Stres ten wynika w dużej mierze z niekompetencji, bycia postawionym w nieoczekiwanej sytuacji. Wiele kroków podejmowanych przez członków rządu świadczy o lęku i stanie niepokoju.”



J. Santorski w rozmowie z A. Hadrysiewicz fot. M. Stefanowski

■ **MOSKWA.** Rzecznik ministerstwa obrony ZSSR oświadczył, że wycofywanie wojsk sowieckich z Węgier musi potrwać co najmniej dwa lata. Przewiduje się, że do całkowitej ewakuacji żołnierzy i sprzętu z Węgier i Czechosłowacji potrzeba ok. 2 tys. pociągów. Francuski prawniczy dziennik LE FIGARO (19.II.) przytacza komentarz jednego z ministrów węgierskich: „Problem techniczny to zmartwienie Rosjan, nas interesuje, by odeszli tak szybko, jak się zjawili.”

■ **PARYŻ.** Na łamach centrowego LE MONDE (19.02.) były pierwszy sekretarz ambasady wschodniemieckiej w Paryżu Armin Riecher oskarża Francuską Partię Komunistyczną o przyjmowanie sporych sum pieniężnych od NRD i oświadcza, że sam wręczył kulerek pełen banknotów członkowi biura politycznego FPK Gastonowi Plissionierowi. Ten ostatni oświadczył: „Nie wiem, kim jest Armin Riecher, ale przysięgam, że ani jedno jego słowo nie pokrywa się z prawdą.”

■ **BUDAPEST.** Władze węgierskie, zmuszone do oszczędności, zamierzają sprzedać — jeszcze przed odbiorem — sześć MIG-29, które ZSSR ma wkrótce dostarczyć na Węgry — pisze LE MONDE (19.02.); Budapeszt liczy na 14-20 mln dolarów od sztuki. USA uznały tę cenę za wygórowaną. Poważnym kontrahentem może w tej sytuacji stać się Irak.

■ **PRAGA.** Jak podaje francuski tygodniowy magazyn polityczny LE POINT (4.03.) prezydentowi Czechosłowacji Havelowi nie podoba się, powstały z inspiracji sowieckiej, ceremonial obowiązujący na Hradczanach. Zwrócił się do ambasady Czechosłowackiej w Londynie o przysłanie videokasety z nagraniem zmiany warty przed Pałacem Buckingham.

■ **SOFIA.** Lewicowy dziennik LIBERATION (6.03.) powołując się na publikację bułgarskiego dziennika partii komunistycznej RABOTNICZESKO DELO przytacza zeznania świadków, którzy twierdzą, że Todor Żiwkow był przed 1944 r. agentem bułgarskiego odpowiednika „Dwójki”. Za każdym razem, gdy był obecny na zebraniu komunistów lub wizytował oddziały ruchu oporu, dochodziło do interwencji policji. Żiwkow pracował pod pseudonimem „Baran” i wszyscy, którzy ten pseudonim znali, zmarli w mglistych okolicznościach.

■ **PARYŻ.** QUOTIDIEN DE PARIS informując (5.03.) o paryskim spotkaniu 50 dyplomatów, ekspertów wojskowych i naukowców poświęconym problemom rozbrojenia i bezpieczeństwa europejskiego, przytacza wypowiedź generała Henry Eyraunda: „Oslabienie ZSSR jest głębokie i długotrwałe, potrwa 20-30 lat, ale Rosja zostanie wielką potęgą militarną i dlatego przy rokowaniach rozbrojeniowych nie należy spieszyć się z podpisywaniem byle czego.”

"GRANICĘ NALEŻY UZNAĆ WŁASNIE TERAZ"

Fragmety rozmowy przeprowadzonej przez Johna Borella i Tadeusza Kucharskiego, dziennikarzy nowojorskiego magazynu politycznego *TIME* z premierem Tadeuszem Mazowieckim:

TIME — We wrześniu ubiegłego roku, po zaprzysiężeniu na stanowisku premiera, główną sprawą dla Pana były kwestie ekonomiczne. Co obecnie jest rzeczą najważniejszą?

T. MAZOWIECKI — Problemy ekonomiczne nie przestały być przedmiotem mojej troski, choć kwestią ważną stała się oczywiście sprawa Niemiec.

— Czy dlatego wybiera się Pan w przyszłym tygodniu z wizytą do Stanów Zjednoczonych?

— Moja wizyta została zaplanowana, zanim pojawiła się ta kwestia. Chciałem rozmawiać z prezydentem Bushem w celu osiągnięcia lepszego zrozumienia i nie ukrywam faktu, że w ramach tych rozmów bardziej ważne są kwestie dotyczące zjednoczenia Niemiec oraz bezpieczeństwa ich sąsiadów. Uważam, że Stany Zjednoczone, Polska czy ktokolwiek inny mogą wnieść wkład do wysiłków zmierzających do przekonania Niemiec Zachodnich, że nienaruszalność granicy na Odrze i Nysie powinna zostać potwierdzona właśnie teraz.

— Mówi Pan właśnie teraz. Dlaczego jest to ważne właśnie teraz? Dlaczego nie po zjednoczeniu?

— Wszystkie ostatnie dwuznaczne oświadczenia przekonały nas, że mamy słuszość domagając się uznania granicy przed zjednoczeniem Niemiec.

— Czy był Pan zaskoczony dwuznacznością oświadczeń kanclerza Kohla?

— W pewnym stopniu tak. Nie czyniłem z tego tajemnicy w rozmowie z Panem Kohlem. Kanclerz ma bardzo na uwadze sprawę polsko-niemiecką pojednania, co jest również naszą troską. Jednakże usunięcie wszelkich dwuznaczności konieczne jest w każdym nowych stosunkach. Jeżeli jedna strona przedkłada wewnętrzne kwestie jako powód, aby niczego nie podejmować przed zjednoczeniem, jak więc druga strona może mieć nieograniczoną wiarę w to, że taka sama wymówka nie będzie grała żadnej roli po zjednoczeniu? (...)

Litwa

Edward Klimczak

Przedwczesne marzenia o wolności

Wkroczenie wojsk sowieckich do Wilna w dn. 24 marca przerwało litewski sen o niepodległości. Hałas czołgów na wileńskich ulicach ma się wołać Kremla odbić straszącym echem w sąsiednich republikach, a szczególnie w zrusyfikowanej (prawie 40% Rosjan) Estonii, naśladującej litewskie marzenia niepodległościowe. Wojskowa interwencja na Litwie zdaje się potwierdzać obawy niezliczonych krytyków "pieriestrojki", że gorbaczowska demokracja jest mistyfikacją sprokrowaną na użytek Zachodu, po to aby w celu zdominowania kontynentu europejskiego oderwać Europę od Ameryki oraz aby — przy pomocy Zachodu — postawić na nogi nękane kryzysem państwo sowieckie. Interwencja na Litwie, a wcześniej przecież i w Azerbejdżanie, wyznacza granice tej powierzchownej liberalizacji i przesył głośnym przez przywódców Kremla hasłem o konieczności "pokojowych" rozwiązań i prawie narodów do samostanowienia. Samostanowienie — ale pod dyktando Kremla.

Sowieckie czołgi w litewskich miastach to preludium do stanu wojennego, który zostanie wprowadzony, o ile zajdzie tego potrzeba. Sowieci postępują wobec Litwy według sprawdzonych stalinowskich metod: ultimatywnym żądaniem towarzyszy zastraszanie, prowokacja i manipulacje promoskiewskich frakcji oraz uspokajanie światowej opinii publiczne sloganami o konieczności "pokojowych" rozwiązań i zrozumienia dla "żyjących" interesów Rosjan. W 1939 i 1940 r. Sowieciom również groziło niebezpieczeństwo z Litwy, naruszając swoje zobowiązania i pozwalając na rozpleniwanie się wrogich elementów. Anektując Litwę Sowieci już wówczas zapobiegli jeszcze większym niebezpieczeństwom. A w latach następnych wytrzebili 1/3 narodu litewskiego.

Wprowadzenie stanu wojennego może okazać się ostatnim atutem, bo trudno przypuszczać, że Litwini tak nagle zrezygnują z niepodległościowych aspiracji i posłusznie wypełnią będą rozkazy Moskwy. Gorbaczow musi jednak wiedzieć od Jaruzelskiego, że bagnietami można rządzić, ale nie gospodarować i że jedynym sukcesem stanu wojennego będzie jeszcze większy kryzys gospodarczy i polityczny. O ile z żądaniami suwerenności wystąpią jeszcze inne republiki, to Moskwa stanie przed dylematem utrzymania w wojskowych ryzach wielkich terytoriów, co technicznie i ekonomicznie jest prawie niewykonalne. Przyniesie to jak wojna w Afganistanie dodatkowe obciążenia dla społeczeństwa sowieckiego, które w końcu, jak to czynią już dzisiaj przedstawiciele inteligencji, zada sobie pytanie, co ma z tego, że Sowiety są tak wielkim mocarstwem. I wówczas jeszcze gwałtowniej niż obecnie nastąpi rozkład wielkomocarstwowej mentalności, która w moskiewskiego socjologa Lwa Gudkova z Wszeczwiązkowego Centrum Badań Opinii Publicznej charakteryzyczna jest dla ponad 50% obywateli sowieckich, czerpiących swoje szczęście z identyfikacji z wielkomocarstwowym państwem. Gdy zabraknie tej wielkorusyjskiej i wielkosowieckiej szowinistycznej bazy, otworzy się droga do niepodległości dla ujarzmionych przez Sowiety narodów. Do tego wszakże potrzebne jest ich przyzmiere i mocny napór ze wszystkich stron na Moskwę, również z Zachodu, o co najtrudniej.

Tak więc litewskie prośby o międzynarodową pomoc, jak np. opublikowane dzisiaj w zachodniobierlińskim lewicowym dzienniku *TAZ* apel sekretarza litewskiego związku studentów Markeviciusa, pozostaną tymczasem samotnym wołaniem na puszczę, bo — jak pisze konserwatywny dziennik *Frankfurter Allgemeine Zeitung* — Litwini "nie mają czego oczekiwać z zewnątrz. Nawet bezpłatny krzyk o Litwę uważany jest w krajach zachodnich za zbyt drogi."

Tak się zakochali w "pieriestrojce" i w Gorbim. — Pardon! — Tak im wygodniej.

Berlin, 28.03.1990

Edward Klimczak

Sejm: pseudopolityczne spektrum

Zbigniew Żbikowski

Walka w cieniu gabinetów

Do tradycyjnych dylematów z cyklu "stoła a sprawa polska" doszedł nam kolejny: czy tempo polskich przemian jest za wolne czy też w sam raz? Ci, którzy dobiegli do salonów władzy, do parlamentu, rządu, a nawet do kancelarii prezydenta, są przekonani, że szybciej iść nie należy i podpierają swe zdanie dziesiątkiem argumentów. Kto się mimo starań do tramwaju zwanego rządzeniem nie dostał, ten gnani, że się wlecze w ogonie historii, wyprzedzając pod względem tempa jedynie Albanii. Ulica krzyczy jeszcze głośniejsze, domagając się w jednym zdaniu ustąpienia Jaruzelskiego i powstrzymania wzrostu cen. Zachodnie rządy patrzają na te swady z właściwą sobie ignorancją, nie pojmując jak zwykle, o co tym Polakom znowu chodzi. Obalili przecież komunizm i mają demokrację. Należy im się premia w postaci nowych kredytów.

Otóż tak do końca nie obalili i nie mają. To, co nastąpiło w Polsce można co najwyżej nazwać przeszerokowaniem w obozie lewicy. Kilkunastu pravicowców z okolic centrum, którym sygnatariusze okrągłostołowej umowy pozwolili wejść do parlamentu, w dodatku skupionych w klubie kierowanym przez lewicę antykomunistyczną, nie czyni spektrum politycznego pełnym. Teraz zaś lewica, która trzyma władzę, tak reguluje tempo przemian, by osiągniętej przy "okrągłym stole" równowagi, zwanej też "stabilizacją", w żaden sposób nie naruszyć, to znaczy, by swojego pola władzy nie pomniejszyły. Dla niepoznaki obóz ten nie formuluje żadnego programu zawierającego wyraźne cele, po których można by go zidentyfikować. Toteż w dalszym ciągu Polacy robią swoją pokojową rewolucję pod hasłami tak pięknymi i szczytnymi, że można przy nich się wzruszyć, z zachodnią demokracją ma to jednak niewiele wspólnego. A gdy spytać szeregowego "rewolucjonistę", co to znaczy "etos Solidarności" mówi, że "to trudno powiedzieć". Bardziej uświadomieni natomiast wygłaszają kilka pięknych banałów, jakby żywcem wyjętych z podręcznika młodego socjalisty.

Tempo przemian ma to do siebie, że jeśli jest za szybkie, cały misterny układ kompromisów się rwie, ludzie władzy czują się niepewnie i różnie niebezpieczeństwo dyktatury. Przy tempie zbyt powolnym stary układ wzbliania nowych ludzi, następuje tylko wymiana elit, mechanizmy sprawowania władzy pozostają te same. Ludzie idą szybko przystając do swoich stołków. Wyborcy zaś czują się oszukani. W marcu, już w czterech województwach podejmowano obywatelskie inicjatywy mające na celu skrócenie kadencji miejscowych senatorów.

Ale nie zawsze musi to być przejaw walki z nową nomenklaturą. Może to być objaw walki politycznej. Prawdziwa walka polityczna jednak w Polsce nie istnieje, gdyż wygłaszają ją gabinetowe kompromisy. Ugrupowania polityczne, a zwłaszcza parlamentarne, starają się więc zdobyć miejsca w przyszłych władzach samorządowych przez organizowanie coraz liczniejszych komitetów obywatelskich, które wysuną kandydatów na członków rad gminnych. Są miejscowości, w których działają po trzy takie komitety. Walka między nimi zastępuje walkę polityczną, z tym, że w obecnej zagmatwanej sytuacji ma ona charakter raczej personalny niż programowy.

Przed wyborami municipalnymi horyzont polityczny Polski nie staje się ani trochę jaśniejszy. Na górze umacniają się zręby sojuszu sił solidarnościowo-lewicowych, siły prawicowe zorganizowane w kilkanaście niedużych partii bezskutecznie usiłują się temu procesowi przeciwstawić, w centrum zaś umacnia się najliczniejsza obecnie partia agrariuszy, przejawiająca ambicję do rozbitcia obecnego układu i odegrania znacznie większej roli politycznej, niż jej wyznaczono w kontrakcie. Ekipa rządowa natomiast stara się te nabierające rozmachu procesy "stabilizować".

Powstrzymywanie normalnego życia politycznego zamiast jego stymulowania przez siły będące obecnie u władzy może Polskę kosztować ugrzęźnięcie w reformach, które dla liberałów wydają się zbyt wolne, a dla socjaldemokratów w sam raz, wtopienie się nowej, nielicznej jeszcze elity władzy w stary układ, polityczną nieodróżnialność obywateli i wrzeszczącą dalszą obecność obcych wojsk, tym razem na własne życzenie władz niepodległego kraju.

Warszawa, 14.03.1990

Zbigniew Żbikowski

— Czy obecne dwuznaczności nie wpływają na sposób, w jaki Pan partycypuje w inwestycjach czy pomocy gospodarczej z Niemiec Zachodnich?

— Jesteśmy świadomi tego, że ze wszystkich krajów europejskich Niemcy są jednym z naszych najważniejszych partnerów do współpracy gospodarczej. Istnieje jednak publiczne zaniepokojenie tym, że silne gospodarczo Niemcy zdominują tę część Europy.

— Czy nie jest to paradoksalne, że podczas gdy Europa Zachodnia idzie w kierunku 1992 roku i bardziej otwartych granic, Polska koncentruje się na określaniu granicy?

— Nie uważam tego za paradoks. Tam, gdzie mówi się o zniesieniu granic, są one uznawane w sposób niekwestionowany. Zniesienie granic w Europie Zachodniej nie znaczy, że Francja lub Niemcy ruszą na wschód lub zachód, lecz to, że każdy może je przekraczać, kiedy chce.

— Zakłada to również swobodny przepływ kapitału. Co byliby, gdyby istniał swobodny przepływ niemieckiego kapitału do Polski? Czy Niemcy by jej nie wykupili?

— Każdy kraj ma pewne mechanizmy regulacji tych kwestii. Można by też tak samo zapytać, czy Niemcy nie wykupią Holandii lub części Francji. Kraje te mają sposoby na zabezpieczenie się przed czymś takim, i my je też musimy mieć. (...)

— Czy zgadanie wycofania wojsk sowieckich jest obecnie nie na miejscu?

— Jak każdy inny kraj nie chcemy obcych wojsk na swoim terytorium. Jednakże nie uważamy za słuszne obnoszenie się z tym i wpadanie w histerię z tego powodu.

— Znaczy, że może to potrwać szereg lat?

— Tak, może.

— Zakładając zmienne okoliczności — to, że na wojska sowieckie będzie się parzeć w mniejszym stopniu jak na okupanta, a w większym jak na ochronę — czy ma to istotne znaczenie, że pozostaną one w Polsce?

— Myślę, że ma, ponieważ żaden kraj nie chce mieć obcych wojsk na swojej ziemi. Jednak w związku z sytuacją zjednoczenia Niemiec — przy określeniu jak to zjednoczenie będzie wyglądać i jaki będzie ogólny stan obcych wojsk — i tylko w tym kontekście widzimy redukcję, a później i wycofanie wojsk radzieckich.

TIME, 26.03.90

tłum. St. Gał.

OPCJE POLITYCZNE POLAKÓW

Francuski lewicowy dziennik LIBERATION (24-25.02.) podaje wyniki pierwszego sondażu opinii publicznej przeprowadzonego jednocześnie w 8 krajach Europy Zachodniej i Wschodniej. Wszystkie kraje, z wyjątkiem Polski, opowiadają się za zjednoczeniem Niemiec: w RFN 80% obywateli, we Włoszech 78%, we Francji i na Węgrzech 68%, w Wielkiej Brytanii 61%, w ZSSR 51%. W Polsce poparło tę ideę jedynie 26% ankietowanych. Z opcji politycznych Europejczycy zarówno na wschodzie jak i na zachodzie wybierają socjaldemokrację. LIBERATION komentuje, że najbardziej paradoksalne wyniki przyniosła ankieta w Polsce. 30-50% Polaków identyfikuje się mniej lub bardziej z kierunkiem socjaldemokratycznym, ale choć aktualnie istnieją w naszym kraju dwie takie partie, zupełnie nie cieszą się one zaufaniem, jako "formacja krypkomunistyczna, złożona z dawnych aparatczyków". — "Wielką zagadką Polski posttotalitarnej" — pisze w komentarzu do ankiety dziennik — "staje się tożsamość polityczna działaczy »Solidarności«, którzy popierają i głoszą najszlachetniejsze ideały, ale zabraniają dziś robotnikom strajku przeciw thatcheryzmowi katolickiego rządu złożonego w dużej części z byłych członków partii komunistycznej".

ABORCJE W RUMUNII

LIBERATION z dn. 23.02. zamieszcza wstrząsający reportaż z bukareszteńskich szpitali położniczych. 26 grudnia ub. roku, nazajutrz po egzekucji Ceausescu zniszono ustawę o karalności aborcji. Jeszcze tego samego dnia zgłosiło się do klinik 400 kobiet, niektóre w 4 i 5 miesiącu ciąży i do dzisiaj liczba wykonywanych dziennie zabiegów nie zmniejszyła się. Nielegalne przerywanie ciąży powodowało rocznie w Rumunii zgon ponad tysiąca kobiet i kilkanaście tysięcy przypadków bezpłodności. Rumuńscy lekarze błagają świat o pomoc: ze środków znieuczajających mają tylko valium, najnowszy sprzęt ginekologiczny pochodzi z 1965 roku, warunki sanitarne urągają wszelkim normom, zabiegów wykonuje się taśmowo, a tłumy kobiet czekają w kolejce.

ANKIETA »LIBERATION«

Odpowiadając na ankietę LIBERATION (24-25.02.) "Dokąd zmierza Wschód" powiedzieli:

Bronisław Geremek: "Polityka, jaka była uprawiana przez dziesiątki lat oznaczała monopol władzy. Rezultatem jest negacja polityki, negacja zjawiska »partia polityczna« (...). Partia polityczna w naszych krajach po-



fol. Waldemar Kremser

zostaje częściowo zjawiskiem, na które patrzy się z nieufnością i obawą."

Adam Michnik: "W tej chwili, na początku roku demokratyzacja jest maskarada. To nie jest poważne. Na przykład w Polsce, która jest krajem katolickim, partia katolicka utworzona półtora roku temu praktycznie nie istnieje. Dlaczego? Moim zdaniem, jest to kryzys tradycyjnej sceny politycznej. Wasza scena polityczna jest rezultatem rewolucji burżuazyjnej, nasza — rewolucji antytotalitarnej".

Jan Lityński: "Do dzisiaj wysiłki, by stworzyć grupy polityczne bazujące na ideałach »Solidarności« pozostały bez efektu. W tym kontekście kryzys Komitetu Obywatelskiego »Solidarności« jest bardzo wymowny. Ten kryzys jest rezultatem nie tylko faktu, że członkowie tego komitetu czynią spore wysiłki, by nie przyklejono im tradycyjnej etykiety lewicy lub prawicy, ale też faktu, że chcą oni całkiem odrzucić politykę jako taką."

RFN: POLITYKA AZYŁOWA WOBEC UCHODźCÓW Z EUROPY WSCHODNIEJ

Jak podał kierownik urzędu azyłowego w Zimdorfie (RFN) von Nieding, nie ma obecnie podstaw do przyznawania azylu uchodźcom z Bloku Wschodniego, zaś wielu tysiącom uznanych azyłantów grozi odebranie statusu uchodźcy politycznego, o ile władze azyłowe stwierdzą, że regularnie odwiedzają oni kraj swojego pochodzenia, co jest dowodem na to, że dłużej nie grożą im już tam prześladowania. W przypadku posiadania takich informacji władze azyłowe otwierają negatywny przewód azyłowy. Pozbawionemu azylu uchodźcy przysługują prawo apelacji sądowej.

W roku 1989 w Republice Federalnej Niemiec zarejestrowano 120 tys. wniosków azyłowych, z czego 21,5% wnioskodawców pochodziło z Polski. Status uchodźcy politycznego otrzymało tylko 1,1% polskich wnioskodawców, w przypadku uchodźców z Jugosławii procent ten wyniósł 0,3. (DER TAGESSPIEGEL, 21.02.)

ARMIA PODZIEMNA W SZWAJCARII

Wg informacji szwajcarskiego pisma SCHWEIZER ILLUSTRIRTE państwo to stworzyło "podziemną armię" w sile 2 tys. osób, która w wypadku zajęcia Szwajcarii przez obce siły miałaby za zadanie zorganizowanie ruchu oporu. Jak podaje zachodniobrytyjski DER TAGESSPIEGEL (27.02.) opierając się na źródłach szwajcarskich, tajna armia została utworzona w roku 1976, a w skład jej wchodziły osoby cywilne, które przeszkolono jako "snajperów, sabotażystów i radiotelegrafistów" oraz naznaczono "Szwajcarzy zabiętaniami". W wypadku okupacji Szwajcarii, tajna armia byłaby dowodzona z zagranicy. (DER TAGESSPIEGEL, 27.02.)

ATOMOWE POTĘGI ŚWIATA

"Jeśli USA i ZSSR zredukują swoje strategiczne arsenały atomowe nawet o połowę, posiadać będą jeszcze ciągle więcej niż 90% całej broni atomowej na świecie, więcej niż potrzeba, by ludzkość wielokrotnie unicestwić" — stwierdził chiński minister spraw zagranicznych — Qian Quichen podczas konferencji prasowej konferencji rozbrojenowej ONZ. (DER TAGESSPIEGEL, 28.02.)

DEFICYT HANDLOWY STANÓW ZJEDNOCZONYCH NA POZIOMIE Z 1984 ROKU

Deficyt handlowy Stanów Zjednoczonych osiągnął w 1989 roku najniższy od 5 lat poziom i wyniósł 113,2 mld dolarów, obniżając się w stosunku do '88 roku o 11%. Wyraźnie wzrósł przede wszystkim eksport wyrobów przemysłowych i rolnych — poinformował amerykański minister handlu — w sumie eksport wzrósł o 13,4%, tj. do 361,9 mld dolarów. Import wzrósł o 6,4% i osiągnął wysokość 475,1 mld dolarów. (DER TAGESSPIEGEL, 28.02.)

LOJALNOŚĆ CHIŃSKIEJ ARMII

Komunistyczny rząd Chin zapowiedział daleko idącą ideologiczną kampanię dyscyplinującą wojsko, dzięki której osiągnąć chce absolutną i bezwarunkową lojalność armii wobec rządu. Mimo wielokrotnie powtarzanych przez chińskich przywódców wojsko-

wych dementi, zdaniem obserwatorów, udział armii chińskiej w krwawym stłumieniu demokratycznych ruchów w Pekinie w czerwcu '89 roku doprowadził do rozbitcia w armii rząd nie posiada już absolutnej kontroli nad wojskiem. Według obserwatorów — odnowione upolitycznienie trzymilionowego wojska jest reakcją na przemiany dokonujące się w niemalże wszystkich krajach byłego świata socjalistycznego. (DER TAGESSPIEGEL, 1.03.)

TRANSPORT BRONI Z NRD

Jak poinformował rzecznik prasowy usytuowanego w Luksemburgu Towarzystwa Lotniczego Cargolux podczas tzw. "Hauruckaktion" w kwietniu '88 roku NRD próbowało przy jego pomocy przetransportować 1100 ton broni ze wschodniobierlińskiego lotniska Schönefeld do Addis Abeby. Czy broń ta zaopatrzyć miała walczące w Etiopii wojska, czy też etiopska stolica miałyby służyć wyłącznie jako tarcza ochronna? — pozosta-

Firma ta miała powiązania nie tylko z Afryką, ale i Ameryką Łacińską i z krajami Bloku Wschodniego. O transportach broni z lotniska Schönefeld donoszono już wcześniej. Do 1988 roku w każdy wtorek i czwartek irańskie i irańskie "Herkuleasy" odbierały z Schönefeld większe transporty broni. Samoloty lądowały po zapadnięciu zmroku. Pod osłoną nocy były ładowane, odlatywały zaś o świcie. Transportowano głównie pistolety maszynowe sowieckiej marki "Kołasznikow", pistolety marki "Makarow" i lekką broń maszynową ładowaną w skrzyniach z napisami w cyrylicy. Do października 1969 roku broń marki "Kołasznikow" i "Makarow" produkowana była jako sowiecki wyrób licencyjnej fabryki w Suhl, niewielkim miasteczku w lasach Turynii. Ilość produkcji była wystarczająca, by zaspokoić potrzeby własne NRD, przede wszystkim potrzeby Armii Ludowej. (DER TAGESSPIEGEL, 1.03.)

ZASADY STACJONOWANIA WOJSK SOWIECKICH W POLSCE

przestępcy dokonany został podczas pełnienia służby wojskowej. Na terenie stacjonowania wojsk mnożą się kradzieże, napady i kłusownictwo. Sowieckie lotnictwo nie powinno dłużej stacjonować ciężkich samolotów na lotniskach usytuowanych w pobliżu miast, by zmniejszyć natężenie hałasu. Tym bardziej, że ostatnio nasilają się napięcia między sowieckim wojskiem a ludnością. Niedawno sowiecka kolumna marszowa została podczas przejazdu na ćwiczenia obrzucona na przestrzeni 350 km 21 razy kamieniami i butelkami. Moskiewska propozycja wycofania wojsk z terenu Polski, rząd Polski odrzucił jako przedwczesny krok, ze względu na podstawy stabilizacji w tej części Europy. (DER TAGESSPIEGEL, 1.03.)

"ODNAWIANIE" NIEMIEC PRZEZ REPUBLIKANÓW

Natychmiastowego wycofania "wszystkich obcych wojsk z terytorium niemieckiego" zażądał przewodniczący prawicoworadykalnej partii Republikanów Schönhuber podczas politycznej środy popielcowej w miejscowości Hamm. W swojej przerywanej w wywiadach mowie, skierowanej do około 7 tysięcy słuchaczy, 69-letni szef Republikanów i były oficer SS domagał się także redukcji, aż do całkowitego wstrzymania, pomocy udzielanej Czechosłowacji, Węgrom i Polsce, a także wszystkim krajom Afryki. Ministra spraw wewnętrznych Bawarii Stolbera (CSU) nazwał rasistą, faszystą i symbolem oprawców obozów koncentracyjnych, ponieważ ten zagroził mu politycznym aresztami. "W razie potrzeby będę kierował partią z celli więziennej — stwierdził Schönhuber, potem zdobędziemy 30% głosów". Schönhuber uważa się nie za burzyciela a za "odnowiciela" Niemiec. (DER TAGESSPIEGEL, 1.03.)

BONAPARTYZM W SOWIETACH

Ukazujący się w Bonn dziennik DIE WELT komentuje wprowadzenie systemu prezydenckiego w Związku Sowieckim: "Na pierwszy rzut oka sprawa wydaje się przekonywująca, Związek Sowiecki przeobrazi się w demokrację prezydencką; w końcu istnieje taka także w Stanach Zjednoczonych, gdzie w ręku prezydenta skupia się znaczna władza. Wprawdzie prezydent USA wybierany jest nie bezpośrednio i kilkustopniowo, a w Związku Sowieckim ma się to odbywać w bezpośrednich, wolnych i tajnych wyborach. Jest to pierwszy haczyk, ponieważ dzięki temu wygrać populisci i demagodzy, co solidnemu rządowi może zaszkodzić. Nie trzeba przy tym przypominać tylko wyborów prezydenckich w Niemczech Republiki Weimar-



Pierwszy transport wojsk sowieckich opuszczający Węgry. Kłedy wyjdą z Polski?

je niewyjaśnione. Na pewno broń ta pochodziła z zasobów Armii Ludowej, służb bezpieczeństwa i ministerstwa spraw wewnętrznych NRD. Po nieudanych próbach przewiezienia broni przez firmy przewozowe, należące do zagranicznych towarzystw lotniczych, po tygodniu broń ta została z powodu niedostatecznej pojemności magazynów lotniska Schönefeld odtransportowana do portu w Rostocku, a gdzie jest dzisla — nie wiadomo. Prawdopodobnie wywieziona została za granicę przy pomocy firmy byłego specjalisty dewizowego NRD Schalck Golodkowskiego IMES GmbH w Kavelstorf (okręg Rostock).

Jak poinformował zachodniobierliński dziennik DER TAGESSPIEGEL powołując się na PAP, gen. Dębicki, odpowiedzialny z ramienia rządu za stacjonowanie wojsk sowieckich w Polsce, stwierdził, że Polska chce zmienić umowę z 1956 roku odnośnie stacjonowania wojsk sowieckich. 50-tysięczne wojska sowieckie powinny w przyszłości płacić komorne, uiszczać opłaty za dzierżawę, środki żywnościowe, materiały budowlane i dobra przemysłowe po normalnych, obowiązujących w Polsce cenach. Poza tym żołnierze sowieccy powinni być sądzeni według polskiego prawa także wówczas, gdy czyn

skiej. Drugą wadą tego rodzaju rządów jest skupienie pełni władzy w rękach prezydenta bez amerykańskiego okiełznania jej takimi instytucjami jak Kongres i Senat. Tym samym toleruje się bonapartyzm. (DIE WELT, 1.03.)

CZAS ROZSTRZYGNIEĆ DLA KOMUNISTYCZNEJ PARTII WŁOCH

Licząca 1,4 miliony członków największa partia komunistyczna Zachodniej Europy, włoska KP, podzieliła się na 3 obozy – 66% stanowi tzw. "Front Tak" – jego członkowie opowiadają się za reformami proponowanymi przez jej sekretarza Achille'a Occhetto, druga grupa to tzw. "Front Nie" – prowadzony między innymi przez byłego prezydenta parlamentu Ingrao i byłego szefa partii komunistycznej Natta – ci zamierzają nadal nazywać się komunistami. W zmianach w Bloku Wschodnim widzą upadek realnego socjalizmu, ale chcą trwać przy komunistycznych idealach. Zrzeszają się tu głównie lewicowi intelektualci. Grupa trzecia, najbardziej radykalna, powróciłaby najchętniej do czasów zimnej wojny. (DER TAGESPIEGEL, 7.03.)

GORBACZOW NADAL POPULARNY W SOWIETACH

Ankieta przeprowadzona przez Instytut Socjologii Sowieckiej Akademii Nauk na zlecenie brytyjskiej gazety THE GUARDIAN i BBC, wśród 3 tysięcy obywateli Moskwy, Leningradu, Alma Aty i Tallina wykazała, że tylko 30% ankietowanych wierzy w poprawę warunków życia w nadchodzących latach. 50% skojarzyło objęcie funkcji sekretarza generalnego przez Gorbaczowa przed 5 laty z pogorszeniem warunków życia. Mimo to popularność Gorbaczowa wydaje się nie spadać. W 10 punktowej skali uzyskał 6,88 punktów. Najbardziej radykalny reformator Jelcyń (ulubieniec ludu) – 5,69 pkt. A przeciwnik reform Ligaczow – 2,67 pkt. (DER TAGESPIEGEL, 7.03.)

NRD: RAPORT SOCJALNY

Po raz pierwszy opublikowano w NRD, utrzymywany dotychczas w ścisłej tajemnicy, raport o położeniu społecznym ludności. Opracowany w listopadzie ub. roku przez Instytut Socjologii i Polityki Socjalnej Akademii Nauk NRD raport przedstawia nigdy nie ujawniane dotąd dane, jak na przykład dane o liczbie samobójstw, która w '87 roku wyniosła 5.505 przypadków, w '88. – 4.768. Tylko jedna trzecia ludności NRD czuje się zdrowa i zdolna do pracy. Gwałtownie wzrasta konsumpcja papierosów i alkoholu. Naukowcy wska-

zują na niewłaściwy sposób życia społeczeństwa wschodniemieckiego – które ma za mało ruchu, jest niewłaściwie odżywiane, co tylko częściowo uwarunkowane jest trudną sytuacją zapotrzeniową. W statystyce przestępstw na pierwszym miejscu stoją przestępstwa przeciw własności. Na drugim miejscu są przestępstwa polityczne. (FAZ, 12.03.)

KGB PRZEJMIE SŁUŻBĘ BEZPIECZEŃSTWA NRD



Były (?) szef wywiadu Niemiec Wschodnich Wolf

Według informacji szefa hamburskiego Urzędu Ochrony Konstytucji Christiana Lochtego, KGB stara się o przejęcie części aparatu byłych NRD-owskich służb bezpieczeństwa. Rozmowy na ten temat prowadzi przebywający w Związku Sowieckim pod pozorem pisania dalszego ciągu swojej książki były szef wywiadu NRD Marcus Wolf (obecnie ścigany nakazem aresztowania również w NRD – przyp. red.), a rozpoczął je premier NRD Hans Modrow podczas swego pobytu w Moskwie pod koniec stycznia '90 roku. (FAZ, 1.03.)

RFN: POMOC FINANSOWA DLA POLSKI POZOSTAJE BEZ ZMIAN

Minister gospodarki RFN Haussmann (FDP) uspokoił polski rząd, że obawy, jakoby z powodu wewnątrzniemieckich sporów o zachodnie granice Polski rząd zachodniemiecki miał zostawić Polskę "na lodzie" są nieuzasadnione. Nadal obowiązują ustalenia, jakich dokonali kanclerz Kohl i premier Mazowiecki w listopadzie ub. roku. Urochomiony w listopadzie kredyt w wys. 2,5 mld DM, jest jak dotąd kwestionowany tylko w jednym punkcie – finansowania przebudowy lotniska na Okęcie. Haussmann obciążuje rząd Polski do stworzenia dalszych bodźców do tworzenia prywatnych przedsiębiorstw, bo "tu leży klucz do dalszego rozwoju". Program Balcerowicza, jak zauważa min. Haussmann, oceniany jest w Bonn pozytywnie, jeszcze w 10 tygodni po

jego wprowadzeniu. (FAZ, 8.03.)

W SOWIETACH BEZ ZMIAN

Populistyczny reformator Boris Jelcyń zamierza przejąć "sztafetę po Sacharowie", zmarłym w ub. roku fizyku i obrońcy praw człowieka i zająć się między innymi sprawami więźniów oraz sierot, których sytuacji nie zmienia nawet "pieriestrojka". Sieroty, lokowane w tzw. "koloniach dziecięcych" są "zaniedbane, wyszydzone i bite" – oświadczył Boris Jelcyń na konferencji prasowej w Monachium, zorganizowanej z okazji wydania jego książki "Notatki niewygodnego". (FAZ, 8.03.)

RUMUŃSKA POLITYKA ZAGRANICZNA

Im mniej będzie przymusu ze strony Związku Sowieckiego, tym lepsze będą stosunki Rumunii z tym krajem – oświadczył minister spraw zagranicznych Rumunii – Neagu. Ważnym powodem takiego podejścia są obawy Polski, Czechosłowacji i Rumunii. Polska boi się Niemców. Nie jest wolna od tych niepokojów i Czechosłowacja. Bułgaria czuje się zagrożona przez Turcję, jednocześnie Związek Sowiecki wsparł Rumunię po obaleniu Ceausescu dostawami energii i surowców, za które Rumunia może zapłacić ze znaczną zwłoką. Sowiecka pomoc może być też potrzebna wobec rosnącej obawy Rumunów przed Węgrami, z którymi, choć nie mówi się tego oficjalnie, stosunki są napięte. Wśród ludności rumuńskiej panuje nawet poczucie zagrożenia; skoro wojska sowieckie opuściły Węgry, kraj ten ma teraz militarne wolną rękę. Chodzi tu o konflikty narodowościowe w tym rejonie Europy, wynikające między innymi ze sporów o przynależność rumuńskiego Siedmiogrodu. Wg rządu rumuńskiego – Siedmiogrod zamieszkały jest przez Rumunów od wieków, według Węgrów – ich przodkowie przybyli do Siedmiogrodu przed 900 laty i dopiero po nich napłynęła tam ludność rumuńska. (FAZ, 8.03.)

ODKRYWANIE PRZESZŁOŚCI MONGOLSKIEGO KOMUNIZMU

Ponad 30 tys. osób padło ofiarą stałowskiego terroru w Mongolii – poinformowała wschodniemiecka gazeta NEUES DEUTSCHLAND. Podczas czystek w latach 30-tych ofiarą terroru opadło 2/3 członków Komitetu Centralnego, 15% żyjących jeszcze wówczas partyzantów z 1921 roku, większość intelektualistów i buddyjskich lamów. Jeden z odpowiedzialnych za ten terror Jurmschaagij Cendenbał był do 1984 roku sekretarzem generalnym Rewolucyjnej Partii Ludowej Mongolii (TAZ, 8.03.) ■

Zdzisław Uniszewski

Nieustraszeni obrońcy prawa



Pplk Szablewski: "celem operacji było zapewnienie spokojnego przebiegu obrad Zjazdu PZPR"

fol. Witold Krassowski

Po demonstracji przed Pałacem Kultury i Nauki w dn. 27 stycznia w Warszawie — gdzie odbywał się pożegnalny Zjazd PZPR — zakończoną brutalną akcją milicji, do parlamentu wpłynęły liczne skargi osób pokrzywdzonych oraz oświadczenia świadków tej przemy. Przed senacką Komisją Praw Człowieka i Praworządności, której przewodniczy Zbigniew Romaszewski, stanęli w związku z tym wydarzeniem dwaj wyżsi oficerowie MO; zastępca Komendanta Głównego MO — gen. bryg. Kłosowski i dowódca Stołecznego Oddziału Prewencji MO — pplk Szablewski.

Przesłuchania rozpoczęły się od oświadczeń i relacji oficerów. Gen. Kłosowski powiedział, że zajścia u-liczne z 27 stycznia 1990 roku sta-

nowią dla resortu przykrą sprawę i trzech oficerów Komendy Głównej MO, przy udziale resortowego radycy prawnego, prowadzi postępowanie wyjaśniające. Generał słyszał, że prokuratura również coś robi w tej sprawie, nie zna jednak szczegółów, ale "może się dowiedzieć". Poinformował senatorów i dziennikarzy, że w toku jest postępowanie dyscyplinarne przeciwko kilku funkcjonariuszom, którym zarzuca się "przekroczenie uprawnień wynikających z przepisów prawa i zasad prowadzenia działań". Resort spraw wewnętrznych gotowy jest przy tym rozważyć zmianę "zasad działania Oddziałów Prewencji Ogólnej MO". Pplk Szablewski oświadczył natomiast, że celem operacji było zapewnienie spokojnego przebiegu Zjazdu PZPR, za-

prowadzenie ładu i porządku w okolicach miejsca obrad. "Osobiście dowodziłem tą operacją — przyznał. — Miałem ze sobą przenośną radiostację i wkraczałem z funkcjonariuszami do akcji."

W trakcie przesłuchań przed Komisją, milicjanci pokazali barwny film nakręcony kamerą video (ok. 20 min. projekcji). Widać było na nim transparenty o treści obraźliwej dla PZPR, palenie jakiegoś skrawka szmaty oraz tłumy spokojnie demonstrujących ludzi. W jednym tylko momencie Szablewski dopatrzył się rzutu kamieniem, ale na prośbę o cofnięcie taśmy — nie zareagował. Milicjanci musieli zgodzić się z oceną, że prezentowana na ekranie manifestacja nie zawiera elementów gwałtu i przemocy, a pułkownik nie omieszkał na-



"...I zaprowadzenie porządku w okolicach miejsca obrad."

foto. Jarosław Stachowicz

wet podkreślić taktownego i wyważonego stanowiska przedstawicieli NZS-u, z którymi rozmawiał w zasięgu pracy kamery. Burdy mieli wywoływać jacyś mityczni "oni" i "poza kadrem".

Po filmie wniesiono do sali worek z przedmiotami używanymi przez demonstrantów. Na dywan wysypały się przedziwne fanty: gilza granatu gazowego wytworzonego fabrycznie, drobny gruz betonowy, nóż fiński w pokrowcu, płyta gramofonowa z muzyką poważną, dwie skorodowane brzytwy, nóż stołowy z aluminiowym trzonkiem, gałkanek posypany jakimś proszkiem, pudełko od pasty do butów, dwa widełce stołowe, skórzany pasek z ćwiekami i sprzycha rowerowa. Każdy z tych przedmiotów stanowił narzędzie walki z oddziałami Milicji Obywatelskiej, a skórzany pasek z ćwiekami był – zdaniem Szablewskiego – narzędziem szczególnie niebezpiecznym, wobec którego długość gumowej pałki bojowej okazuje się niewystarczająca.

Padły też liczby; w wyniku zajęć ulicznych 30 funkcjonariuszy odniosło obrażenia, 15 udzielono zwolnienia ze służby do 14 dni, uszkodzonych zostało 19 pojazdów MO, utracono 5 par kajdanek, 5 tarcz ochronnych, 6 ręcznych miotaczy gazu i 8 pałek gumowych.

Ale mimo tych bolesnych strat w ludziach i sprzecie milicjanci dowodzeni przez płk. Szablewskiego wylegitymowali 133 osoby, w tym 19 spoza Warszawy (Szczecin, Kraków, Lublin, Wrocław, Gdańsk itd). Zatrzymani i napaści dokonywano także w hali biletowej, na peronach i w przejściach podziemnych dworca PKP Warszawa Centralna. Przedstawiciele resortu spraw wewnętrznych nie wiedzieli, ile osób cywilnych odniosło obrażenia, ale zadeklarowali zgodnie, że "mogą się o tych cywilów dowiedzieć, jeśli trzeba".

Po prezentacji i wyjaśnieniach nadszedł czas połajanek. Szablewski przystąpił do odczytywania spisanych na kartkach "osobistych od-

czuć funkcjonariuszy", dotyczących omawianych zajęć. I był to spektakl typowy dla początku lat pięćdziesiątych: anonimowi milicjanci wyrażają swoje oburzenie i jednocześnie ostro potępiają społeczeństwo "za taką postawę"...

W konkluzji tej rundy przestępstwa senatorowie stwierdzili, że resort świadomie toleruje przestępczą działalność wielu funkcjonariuszy, a kryminalne wynaturzenia w pracy milicji wymagają szczegółowej analizy i wyciągnięcia wniosków personalnych. Senator Skowrońska oceniła wystąpienie obu oficerów, jako przejaw arogancji resortu, przemawiającego językiem z okresu stanu wojennego. "To, co nam dziś zaprezentowano, jest czymś niebezpiecznym; mentalność tych ludzi nie zmienia się, a postępowanie dyscyplinarne objęło tylko jednego funkcjonariusza i to tylko dlatego, że dziennikarze go sfotografowali." (Chodzi o st. sierż. Sławomira Moniuszkę z plutonu konnego, który bił pałką fotoreporterów i

dziennikarzy.) Senator Andrzejewski dziwił się, że ktoś mógł rzucać nożem w futerałe i wyraził przypuszczenie, że przedmioty wyspane z worka są stałymi eksponatami – do pokazywania w kłopotliwych sytuacjach, nie mogą więc stanowić dowodu rzeczowego, ani potwierdzić wersji wydarzeń, przedstawionych przez generała i pułkownika.

Senacka Komisja Praw Człowieka i Praworządności wyłoniła ze swego grona Zespół, który dalej będzie się zajmował tą sprawą.

Zdzisław Uniszewski



Stan wojenny. 1982



Warszawa, 27 stycznia 1990. Wokół Zjazdu PZPR.

fol. Jarosław M. Goliszewski

- I. **Edward Rukat** – prezes Związku Inwalidów "Solidarność" (tel. 32-94-53). Grupa głuchoniemych z transparentami żądającymi przejęcia budynków partii została zaatakowana jako pierwsza – bez powodu. Mają kasetę wideo, na której sfilmowano atak ZOMO.
- II. **Robert Sidorowicz** – żołnierz na przepustce. Przypadkowo przechodził z dziewczyną ok. godz. 18.00 obok "Mariottu". Kilkunastu ZOMO-wców zdarło z niego kurtkę i sweter, bito go i kopano. Czuł się źle, zawroty głowy. Lekarz na ul. Hożej (Andrzej Menke) nie udzielił mu pomocy. Kontakt przez Edytę Zborowską (świadek), tel. 29-68-09.
- III. **Witold Nowelicz** (Kraków). Zatrzymany ok. godz. 20.00 w pobliżu Dworca Centralnego. Brutalnie pobity w szcękę, ciągnięty za nos po koleji przez kilku funkcjonariuszy. Świadek pobicia: Anita Brzostowska (tel. 641-56-29) i Sylwia Marczak (tel. 33-63-32). Bił go również oficer, ppor. Tokarski, który później na komendzie próbował zmusić go do podpisania oświadczenia, że rzucał kamieniami. Nie podpisał. Nowelicz czuł się źle, prosił o pomoc lekarską, na Wilczą przyjechała karetka pogotowia, lekarz jednak odmówił pomocy. Nowelicz był również świadkiem, jak na Wilczej bito zatrzymywanych fotoreporterów.
- IV. **Paweł Fabisiak** (tel. 42-07-27), **Marcin Sieradzki** (tel. 642-48-57), 17 lat. Przypadkowo znajdowali się na Dworcu Centralnym. Złapani i odciągnięci na bok – zdjęto im buty, bito pałkami po piętach.
- V. **Jarosław Grużewski**, student I roku Historii. Pobity na Dworcu Centralnym, pręgi na plecach, dotkliwy ból nerek.
- VI. **Anita Gargas** i **Maciej Wojciechowski**, dziennikarze PWA. Zatrzymani, pobici. Zabrano im film z aparatu fotograficznego.
- VII. **Paweł Biodrowski**. Ciężko pobity na Dworcu Centralnym, poważne obrażenia głowy.
- VIII. **Jerzy Kijas** – przypadkowy podróżny. Dwa razy zanoszono go na punkt opatrunkowy, za każdym razem w stanie półprzytomnym. Świadkowie: Paweł Szymoniuk, Anita Brzostowska (tel. 641-56-29), Sylwia Marczak (tel. 33-63-32).

Aleksandra Bessert

"Solidarność Walcząca" czy — "warcząca"?

Typ pejoratywnym atrybutem traktowano SW nie tylko w prasie reżimowej, bo- wiem organizacja ta przez długie lata stanu wojennego i "normalizacji" zdrowo dała się w znaki komunistom. Zarzut o robienie tylko krzyku można było znaleźć i u konkurentów z solidarnościowego podwórka.

Jaka jest SW dzisiaj na przykładzie Poznania?

Dzięki talentom Macieja Frankiewicza SW zorganizowana jest najlepiej w Poznaniu. Do majowych wyborów do rad narodowych SW zamierza, razem z Liberalno-Demokratyczną Partią "Niepodległość", wystartować z co najmniej 20 kandydatami na wspólnej liście — jako Poznańskie Porozumienie Wyborcze.

Tymczasem bulwersuje mieszkańców grodu nad Wartą spektakularnymi demonstracjami (w dn. 18 i 26 stycznia, 13 lutego i 22 marca), po lub w trakcie których trzykrotnie doszło do starć z milicją. Na demonstracje przychodzi średnio 400 osób, choć 26 stycznia było ich aż 1000 (wg organizatorów 4.000). Zapytany o sens organizowania demonstracji w obecnej sytuacji politycznej, Frankiewicz zwraca uwagę na cele, którym manifestacje te mają służyć — "niepodległość, wolne wybory parlamentarne, usunięcie Jaruzelskiego i likwidacja SB", co też uwidocznił jest na — niewy-

brednych — plakatach zapowiadających manifestacje, np. "Każda decha na trumnę dla Wojciecha" — 26.01. Mimo zapewnień, że demonstracje mają pokojowy charakter, ich organizatorzy ściągają tłum na ulicę nie kalkulując ofiar, bo- wiem niektórzy uczestnicy pochodów nie są wcale nastawieni "pokojowo". Wśród spokojnie demonstrujących pojawiają się, wzorem z Berlina Zachodniego, Hamburga czy Amsterdamu, zamaskowani na czarno kontestatorzy. Wzorce też są zachodnie: do grobu niesiona jest trumna — PZPR, spalona zostaje kukła gen. Jaruzelskiego z napisem w jęz. rosyjskim СССР. Wbrew życzeniom swoich przywódców niektórzy niosą ze sobą wcześniej przygotowane butelki z benzyną, kamienie, kulki żyzkowe, noże tokarskie i petardy. Takie "pokojowe" akcesoria przedstawił dziennikarzom funkcjonariusze MO na konferencji prasowej po styczniowej, "walczącej" demonstracji. I nie był to żaden policyjny bluff, gdyż kilku uczestników "zadymy" potwierdziło później wobec prowadzących na swoją rękę dochodzenie dziennikarzy posiadanie tych "zabawek". Na owej demonstracji doszło prawie do tragedii. Płonął 22-letni funkcjonariusz OPOMO (dawniej ZOMO), w którego rzucono butelką z benzyną. Rzucał bardzo młody, bo zaledwie kilkunastoletni uczestnik "zadymy". Na szczęście dla milicjanta i organizatorów skończyło się "tylko" na poparzeniach II stopnia.

Gdy tłum stoi naprzeciwko kordonu policyjnego, agresja i nienawiść wisi w powietrzu. Kto potrafi z całą pewnością stwierdzić, że starcia rozpoczęła policja? Kto — że demonstranci? Kto jest winny, niewinny? Policja nie pojmuje, że wystawienie uzbrojonych w pałki, armatki i gazy oddziałów jest już prowokacją, samą w sobie przyczyną strachu, który wywołuje agresję i nienawiść. Wtedy jedna i

"Solidarność Walcząca" założył w kwietniu 1982 roku wrocławski działacz NSZZ "Solidarność" Kornel Morawiecki, który odrzucił kompromisową postawę Władysława Frasyniuka, ówczesnego szefa dolnośląskiego regionu "Solidarności", proponującego zgodzić się z tzw. tezami kwietniowymi Rady Prymasowskiej zmodyfikowanie składu personalnego kierownictwa Związku, jego programu i zasad działania tak, aby mogły one — pod groźbą strajków — zostać zaakceptowane przez rząd gen. Jaruzelskiego. Wg Morawieckiego należało z całą mocą — poprzez demonstracje i strajki — walczyć o bezwarunkową relegalizację "Solidarności", obalenie ustroju komunistycznego i przygotowanie warunków do powstania tzw. Rzeczypospolitej Solidarności.

SW — organizacja drukarzy i kolporterów, zeszała do podziemia, budowała swoje struktury na AK-owskich wzorcach, z przysięgą i wojskową dyscypliną. Jej konspiracyjni drukarze wydawali dziesiątki gazetek, organizowali demonstracje w większych miastach.

Po ubiegłorocznym, lutowimarcowym "okrągłym stole" zaczęli ujawniać się regionalni przywódcy SW, m. in. Maciej Frankiewicz (Poznań), Wojciech Myślecki (Wrocław), Antoni Kopaczewski (Rzeszów) czy Stanisław Janusz (Szczecin).

Kornel Morawiecki, po aresztowaniu w listopadzie 1987 roku, deportacji do Włoch i "nielegalnym" powrocie do kraju w maju 1988 roku, pozostaje nadal w konspiracji. Już pod koniec ub. roku SW przeszła częściowo do otwartego działania zakładając polityczne ośrodki dyskusyjne jako tzw. kluby "Wolni i Solidarni".



Maciej Frankiewicz

fol. Poglad

druga strona działa na oślep. Od policji oberwać może nie tylko uczestnik demonstracji, ale i przypadkowy przechodzień. Ten ostatni narażony jest ponadto na kamienie rzucane przez demonstrantów. Żadna ze stron nie pojmuje, że naprzeciwko siebie stoją LUDZIE. Jeden z członków SW powiedział: "Zomowiec to nie człowiek!" Zaś Maciej Frankiewicz, niekwestionowany przywódca poznańskiej SW, którego życiorys mógłby być scenariuszem do filmu o bohaterach podziemia (trzy ucieczki po aresztowaniach przez SB w stanie wojennym), na zarzut, że takie "zadymy" mogą pociągać za sobą ofiary, odpowiada: "W milicyjnych komisariatach zamordowano bardzo dużo niewinnych ludzi." Choć w publicznych dementi w miejscowej prasie i telewizji odżegnywał się od użycia siły przez SW jako organizację, bo do "zadym" dochodziło też już po oficjalnym zakończeniu demonstracji, to jednak w dn. 22 marca oświadczył przez tubę: "Od bezczynności wołę kamienie".

SW w Poznaniu stara się skupić radykalną młodzież, niezadowoloną z zóhwiego — jak twierdzą — tempa zmian politycznych. Ogniwem spójnym jest hasłowy antykomunizm i odrzucanie jakiegokolwiek kompromisu z komunistami. Dla niektórych już samo złożenie u władz miasta prośby o pozwolenie na przeprowadzenie demonstracji jest już tym niegodnym kompromisem. I to można by jeszcze zrozumieć, bo w zachodnich demokracjach wymagane jest z reguły tylko z a m e l d o w a n i e demonstracji, aby policja mogła jej dać ochronę zgodnie z obowiązującym prawem. Jednak antykomunizm jest dla wielu i hasłem, i programem, który im wystarcza. Działania SW wśród młodzieży idą dwutorowo. Klub "Wolni i Solidarni" ma być alternatywą do "grup szybkiego działania". Wg jednego z jego założycieli, wicelidera Krzysztofa Stasiewskiego, jest miejscem spotkań i "szkołą politycznego myślenia". W tym roku oprócz zorganizowanych przez Klub projekcji wideofilmów w zakładach, odbyły się dwa spotkania-dyskusje — z Andrzejem Gwiazdą i Wojciechem Myślekiem, co trudno nazwać "szkołą". Trudno przypuszczać też, że dwaj indagowani w Klubie "Wolni i Solidarni" młodzi ludzie (lat 19 i 20) wyszli z tej "szkoły": "Mniejszości narodowe nie mają żadnych praw" — głosili; "Polska jest dla Polaków"; "Mamy rząd żydo-komuny". Nie grzeszy "politycznym myśleniem" i plakat w witrynie klubowej: "SB ty zmorze, ty zginiysz jak Aldo Moro a jak nie damy rady — wczujemy Czerwone Brygady!" Obok data 13.02. i rysunek



26.01.90. Fot. 1: Płonący ZOMO-wiec. 2: Kto zaczął? — "Gdy tłum stoł naprzeciwko kordonu policyjnego, agresja i nienawiść wisł w powietrzu." 3: Armatka w ogniu. fot. Autor



Witryna siedziby Klubu "Wolni i Solidarni".

fol. Autor

SB-ka. Terroryzm i SW — to jedno nieporozumienie, które też ten głupi plakat potwierdza.



18.01.90. SW kontra Jaruzelski

fol. Autor

Na SW ciąży odium organizacji niemalże zbrojnego oporu, ale do dzisiaj nie odnotowano żadnej akcji z bronią w ręku, choć w deklaracjach SW z początków działalności nie wykluczano "indywidualnych aktów przemocy". W błąd wprowadziła wielu obserwatorów śmiała nazwa — "Solidarność WALCZĄCA", choć najwięcej "walki" z komunizmem

było w mało precyzyjnych oświadczeniach jej przywódców. Na takie manowce prowadzi również organizowanie przez poznańską SW "grup szybkiego działania", których zadaniem ma być — jak oświadczył Frankiewicz — "zawieszanie transparentów w miejscach niemożliwych, rozrzucanie ulotek i ochrona manifestacji przed prowokatorami", a nie zbrojny opór. Do grupy może wstąpić każdy młody mężczyzna, który ukończył 18 rok życia i jest sprawny fizycznie (bez znajomości programu SW). Członkowie trenują karate, którego żmudne ćwiczenia — twierdzi Frankiewicz — wykuszają niezdyscyplinowanych. Wg Frankiewicza dyscyplina jest gwarancją tego, że grupy takie nie podejmą działań terrorystycznych. Dla wielu młodych ludzi wszystko to za mało. Co bardziej radykalni odchodzą od SW zarzucając jej "centralizm, autokratyzm, tworzenie pozorów demokracji wewnętrznej, organizowanie jedynie spektakularnych akcji, a nawet ugodość" (K. Stasiński). Radykalniejszą konkurencją dla SW jest Federacja Młodzieży Walczącej, gdzie znajdują polityczną przystań.

Działalność SW w Poznaniu flankują drugoobiegowe gazetki i pisma: *Tygodnik Solidarność Walcząca*, *Gama*, *Czas Kultury* czy *Czuch*, które poza *Czasem Kultury* nie wyszły jeszcze poza retorykę i grafikę stanu wojennego prezentując petycje, stanowiska, oświadczenia i przedruki z prasy zachodniej.

Udział w wyborach do rad narodowych zmusi SW do ujawnienia swojej rzeczywistej siły politycznej, a w tym i intelektualnej. Czy jest to tylko głośna sekta fanatyków czy też poważna organizacja polityczna, której program jest atrakcyjny dla szerszego kręgu wyborców? Czy wśród kandydatów SW znajdują się osoby znane i godne zaufania, mające sensowny program? Programem nie jest jeszcze nośne hasło "Samorząd zamiast komunizmu", pod którym wystartuje lista "Solidarność i Niepodległość". Nie jest nim też konieczność "rozbicia starej nomenklatury i niedopuszczenia do powstania nowej" (Frankiewicz). Z wystąpieniem kandydatów i wystąpieniem z programem SW czeka na ordynację wyborczą, która określi podział na okręgi i ilość miejsc do obsadzenia. Na razie zamiast programu jest jedynie pozytywny stosunek, przynajmniej liderów SW, do mniejszości narodowych w Polsce, potępienie antysemityzmu i postulowanie ułożenia sobie dobrych stosunków z sąsiednimi narodami.

Na wybory komunalne to za mało.

Aleksandra Bessert



Radykalna młodzież

fol. Autor

Co Pani/Pan sądzi o działalności SW?



MIROSŁAW MAREK – członek PPS

– Żadna organizacja nie może utrzymać się bijąc pianę. SW funkcjonuje jako organizacja zadymiariska. Nie wiem dokładnie, o co im chodzi. Ich program jest ogólny. Mówią o praworządności, naruszając ją. Zadymy dzisiaj są bezsensowne, służą jedynie wyżyciu się wyrostkom.



ANDRZEJ JEGLICZKA – student V roku historii UAM, członek NZS

– Ostatnie manifestacje, które zakończyły się użyciem siły przez obie strony, doprowadziły do spadku autorytetu SW. Nie widzę sensu utrzymywania SW w konspiracji. Gdyby była jawną partią polityczną, nawet z tym samym programem, mogłaby odegrać pozytywną rolę polityczną. Jej hasła są aktualne i nośne społecznie.



HENRYK RYCHLEWSKI – zastępca szefa Okręgu WIKPN

– Z SW współpracujemy od lat. Nasze cele są bardzo podobne. Obecnie nasza współpraca jest dosyć skąpa. Wynika to z innej oceny aktualnej sytuacji politycznej. Dlatego mniejszy nacisk kładziemy na działania propagandowe typu np. manifestacje, w których wyróżnia się SW. Między SW i KPN-em nie ma sprzeczności. Pierwsza nastawiła



MIROSŁAW ROZBICKI – przewodniczący Tymczasowego Zarządu Wojewódzkiego NSZZ Funkcjonariuszy MO.

– Rozumiem tę młodzież. Ma prawo być niecierpliwa. Jednak muszą być bardziej przygotowani do organizowania swych manifestacji. Nie może być ofiar takich "zadym". Mnie niektóre ich hasła odpowiadają, np. żądanie wolnych wyborów. Powinni skupić się przede wszystkim na zmianie swego otoczenia,

nie na niszczenie pozostałości komunizmu, a my na budowanie nowych struktur.

na walce o te ważne przemiany, a nie tylko atakować górę. Nawet jeśli im się to uda, to będzie to zwycięstwo tylko pozorne. Muszą zmieniać otoczenie, a nie tylko ścinać czubek piramidy.



PIOTR METENIOWSKI – wiceprzewodniczący Zarządu Regionu WLKP NSZZ "S"

– Postulaty SW uważam za słuszne. Mają odwagę wypowiedzieć poglądy, o którym szepcze większość społeczeństwa. Błędem SW jest to, że manifestacji nie legalizuje. Miałyby wówczas prawo do ochrony. Nie wierzę, że na te manifestacje przychodzą sami zadymiarze. Podejrzewam, że komuś



EWA ŁĘSKA-ZYDOREK – nauczycielka, członek NSZZ "S"

– Ogólnie zgadzam się z hasłami manifestacji SW. Jednak ich organizatorzy w pełni ponoszą odpowiedzialność za jej przebieg i konsekwencje. Dzisiaj organizowanie demonstracji z przemarszem np. na ul. Kocheanowskiego, pod siedzibę WUSW doprowadza do przyłapania się tych, którzy chcą tylko rzucać kamieniami.

niechęci na wykorzystaniu takich demonstracji. Służby, które są niepotrzebne mogą zaznaczyć, że są niezbędne.

SPRZEDAWCZYNI W SKLEPIE SPOŻYWCZYM – ok. 30-letnia, nie chciała się przedstawić ani sfotografować

– To wszystko są szczeniaki, którzy chcą się bić i rozrabiać. Polityka (śmiech) jaka polityka. Oni nawet nie wiedzą kto w Polsce rządzi. Albo bym ich pozamykała, albo sprawiłabym im takie lanie, żeby przez parę dni nie wiedzieli na czym siedzieć. Jak nie chcą się uczyć, to niech idą do pracy.

Tomasz Dobrzyński

O czym się w Polsce mówi?

Mówi się o coraz głębszych podziałach w obozie rządzącym, czyli w "Solidarności". Mówi się półgębkiem, nieoficjalnie, a każda poważna enuncjacja na ten temat zakrawa na skandal polityczny. Powiada się, że Lech Wałęsa otwarcie już steruje w kierunku Belwederu, a największych przeciwników tego kursu ma we własnej załodze, którą sam kiedyś wprowadził na pokład. Ma ich w parlamencie i w rządzie. Po pierwsze dlatego, że Wałęsa jako superszef państwa mógłby być nie do zniesienia, po drugie zaś dlatego, że liderzy owych dwóch solidarnościowych obozów – szef frakcji parlamentarnej OKP Bronisław Geremek i szef rządu Tadeusz Mazowiecki sami są wymieniani wśród ewentualnych następców Wojciecha Jaruzelskiego.

Członkowie parlamentu obawiają się, zwłaszcza ci z OKP, którzy pozwolili na zdjęcie z przewodniczącym Solidarności, że Wałęsa-prezydent zbyt często chciałby korzystać ze swoich uprawnień w stosunku do obu wysokiach izb, z prawem do ich rozwiązywania włącznie. Ministrowie żywią obawę, że byłby on za nadto aktywny w kontaktach z rządem, zbyt drobiazgowo ingerując w jego pracę. Jedno i drugie ciało, choć stworzone przy własnym udziale Wałęsy, żyje już własnym życiem i nie chce być prowadzone za rękę.

Panuje powszechne przekonanie, że niegdysiejszy doradca szefa NSZZ "Solidarność" prof. Bronisław Geremek jest najpoważniejszą przeszkodą na drodze do tego, by Lech Wałęsa mógł pewnego dnia porozmawiać z Vaclavem Havellem jak prezydent z prezydentem. Przede wszystkim stoi on na czele drugiej co do wielkości frakcji parlamentarnej w Sejmie i jako przewodniczący OKP miałby poważny wpływ na wynik głosowania w Zgromadzeniu Narodowym. Tym bardziej, że w jego kierunku zeżuje część członków obecnego klubu "lewicy demokratycznej". A na dowód jego całkowitej niezależności od Gdańska przytacza się ubiegłoroczną próbę zawiązania parlamentarnej koalicji OKP z reformatorami z PZPR, zastopowaną dopiero przez Wałęsę poprzez odwołanie sojuszu. Nikt wprawdzie nie potwierdził, że

rzeczywiście próba taka miała miejsce, ale po ostatnim zamkniętym posiedzeniu OKP nawet szeregowi członkowie klubu nie mają co do tego wątpliwości.

Prof. Geremek nie jest już przewodniczącym Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. Zastąpił go na tym stanowisku Zdzisław Najder. Czy nastąpią dalsze zmiany w pozycji polityka, którego nazywano kiedyś Mózgiem Opozycji? Przy obecnym natłoku zdarzeń trudno prorokować miesiąc naprzód. Jeżeli pewnego dnia zmieni się skład prezydium OKP, zdominowanego dotąd przez lewe skrzydło frakcji, będzie to znaczyło, że plan zdobycia Belwederu realizowany jest konsekwentnie. Gdyby jeszcze rozpadł się klub post-PZPR-owski, mogłaby nastąpić szybsza dezintegracja OKP-u, utworzyłyby się nowe sojusze i wszystko stałoby się możliwe.

Oczywiście cała gra miałaby sens tylko wówczas, gdyby obecny prezydent RP zdecydował się wcześniej zakończyć kadencję. Z sygnałów nadawanych przez gen. Jaruzelskiego wynika, że z taką ewentualnością należy się liczyć. Któż więc może objąć najwyższy w państwie urząd po człowieku w ciemnych okularach? Facet z wąsami? W wyborach bezpośrednich miałby on olbrzymie szanse. W przypadku wyboru przez Zgromadzenie Narodowe jego szanse maleją. Cóż więc prostszego jak rozpaść nowe wybory? Mówi się przecież, że ten parlament wybrano niedemokratycznie.

Inna rzecz, że dla Wałęsy sytuacja staje się wręcz dramatyczna. Stanowisko przewodniczącego nie najliczniejszego nawet związku nie jest na miarę jego pozycji i aspiracji, a kraj o dwóch prezydentach normalnie funkcjonować nie może. Zresztą nic takiego nie przewiduje żadna konstytucja. Może więc do Sulejówka? ■



Bronisław Geremek i Lech Wałęsa: który zostanie prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej? fot. Jarosław M. Gólszewski

CO PISZA INNI

"Wałęsa w USA. Cóż za entuzjazm. W Kongresie senatorowie wielokrotnie wstawiali Wałęsę, który do dziś nie nauczył się płynnie czytać, usłyszał się okrutnie. Nantomasty jego tłumacz, Jacek Kalabłński, mówiący o sile lepiej po angielsku niż Amerykanie, deklamował wspaniale, jakby recytując żądaj nieposposzczenie obiad składający się z najbardziej wyrafinowanych potraw. W tym czasie Wałęsa zamarzł w potójnej brzoździe gorączkowo powtarzał sobie tekst. Trzymał się kuczowo karku, nie odrywając od niej oczu, jak taniący deski. "Podbił Amerykę", napisały gozety. Szesćdziesiąt dwa uniwersytety kłóciły się, który dostąpił łaski przyznania na doktoratu honoris causa. (Jako nagrodę dla Kazimierza Dzięwanowskiego, który napisał Wałęsę przemówienie)."

W wywiadzie dla polskiej telewizji Wałęsa powiedział m.in. "Trzeba powołać grupę mieszana, która zagospodarowałaby brak naszej kompetencji". Miał by napisać – podbił polski język. No tak, ale nawet te potknięcia, jak twierdza wielbiciele, rodzą perlę."

Witold Charlamp, Dziennik Zewnętrzny, Kultura nr 3/510, Paryż 1990.

Nie będę kontrkandydatem Wałęsy

— z Janem Rulewskim rozmawia Edward Klimczak

Edward Klimczak — Gratuluję Ci wyboru na przewodniczącego Zarządu Regionu "Solidarność" w Bydgoszczy, wyboru, który miał miejsce w grudniu ub. roku. Fundamentalści twierdzą, że podpisałeś "lojalkę" w stosunku do Wałęsy, który udzielił Ci błogosławieństwa i to spowodowało, że zostałeś wybrany.

Jan Rulewski — Najpierw pewnie sprostowanie. Związkowcovi gratuluje się po zakończeniu kadencji, a nie z chwilą jej objęcia...

— ...na razie gratuluję Ci tylko wygraną wyborów!...

— ...Sztuką, zwłaszcza w Polsce, jest przetrwać w dobrej kondycji całą kadencję. Ta ostatnia była jak wiadomo bardzo długa. Jeśli chodzi o zarzuty dotyczące lojalności, to nie opierają się one na faktach. Do tej pory nie odwiedziłem Wałęsy i pozostaję nadal w Bydgoszczy mimo jego serdecznych, a nawet kordialnych zaproszeń do pracy w KKW czy w Prezydium, gdyż uważam, że uczestnictwo w pracach KKW nie byłoby zgodne z tym, o co walczyłem z grupą członków Związku...

— ...a o co walczyłeś?

— Walczyliśmy o zachowanie zasad Statutu. Statut nakazywał, aby respektować wybrane władze.

— Ale Stana został zmieniony przed "okrągłym stołem" przez Wałęsę...

— ...Jeśliby nawet przyjął, że ten Statut został jakoś tam zmieniony czy okoliczności go zmieniły, to i system wyborów do KKW polegał na nominacji. KKW nie posiada charakteru statutowo-prawnego.

— Uważasz, że robotnicy Ciebie wybrali, Ty jesteś "Solidarność", a KKW to nie "Solidarność"?

— Niekoniecznie, ale to nie jest władza Związku, Zarząd Regionu nie udzieliłby mi delegacji na nieformalne posiedzenia.

— To znaczy — w Bydgoszczy wszystko jest demokratyczne. A jak się to stało, że stanąłś w ogóle do wyborów, przecież nie pracowałeś w żadnym zakładzie, byłeś taksówkarzem, byłeś prywatnym przedsiębiorcą.

— Byłem "zesłany" na taksówkę, a to jest różnica, czyli pozbawionym pra-

cy. Pozbawieni pracy podlegają szczególnej ochronie i są nadal członkami Związku.

— Ale gdzie indziej twierdzono, że niektórzy działacze z '81 roku nie są w "Solidarność", bo nie podpisali deklaracji nowego Związku. Czy Ty taką deklarację podpisałeś?

— Nie. Myślny utrzymałem zasadę polityczną, że jak najbliżej Statutu, jak najdalej od podziaków — w związku z czym przyjęto jedynie formalnie i deklaratoryjnie zmiany w Statucie. Osobiście głosowałem przeciwko, ale zostałem przegłosowany. Przyjęto zmiany w Statucie z zapowiedzią ich zmian na zjeździe Związku, czyli można w tym sensie mówić tu o "lojalu" wobec Lecha Wałęsy.

— To znaczy, nie byłeś członkiem "Solidarność", tej zarejestrowanej w kwietniu ub. roku, a jednak startowałeś w wyborach przeciwko Tokarczukowi. Jak to zostało formalnie zrobione?

— Na zasadach Statutu z '89 roku.

— I wygrałeś te wybory, a wszyscy ci według Ciebie z KKW, to są ludzie w tej chwili mianowani...

— Większość, aczkolwiek to ulega zmianie, bo Wałęsa nominuje nadal wszystkich, którzy zostali już wybrani, z wyjątkiem kogoś z Leszna — chyba Matyjasa.

— Czy sądzisz, że uda mu się w ten sposób również zamianować nowy zarząd Związku na Zjeździe w kwietniu?

— Mogę podzielić takie obawy, gdyż w ogóle przygotowania organizacyjne do Zjazdu przebiegają w wielkiej tajemnicy.

— Czy wiadomo, o czym będzie się mówić na Zjeździe, czy jest program?

— Nie, nie ma też, o programie wiadomo, że Zjazd go



Jan Rulewski: "Przyjechałem do Berlina po części zamienne". Pogląd

zaterdag, natomiast nie wiadomo też, jak powoływane są ciała typu Komisja Organizacyjna, Komisja Programowa, z drugiej strony trzeba oddać, że niewielu jest chętnych do pracy w tym wszystkim. Wobec tego łatwiej o manipulację.

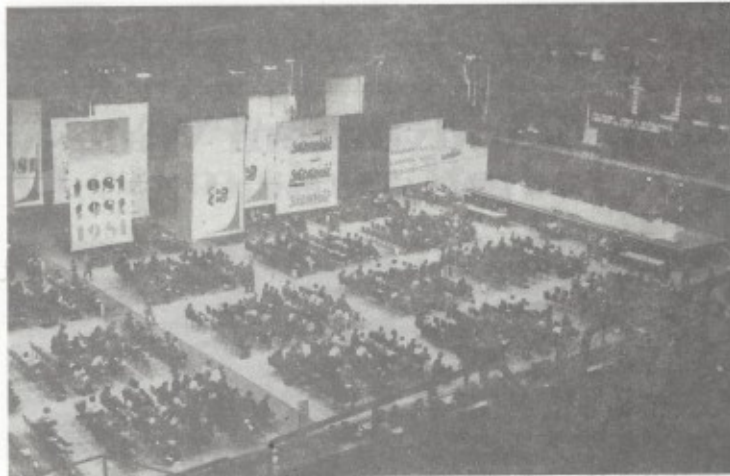
* — Czy jest ustalony porządek obrad, kto go ustala?

— Nad tym pracuje dopiero Komisja Problemowa.

— Czy region bydgoski bierze udział



"Walczylimy o zachowanie zasad Statutu."



Gdańsk 1981 r., I Zjazd "Solidarności". "...przygotowania organizacyjne do Zjazdu przebiegają w wielkiej tajemnicy."

w przygotowaniach do Zjazdu?

— Tak. Kilku delegatów uczestniczy w tych pracach, między innymi w Komisji Programowej, Komisji Regulaminowej.

— Więc to przeczy temu, co przed chwilą powiedziałeś, że nie wiadomo, kto jest jego organizatorem.



Stocznia Gdańska, Sala BHP, sierpień 1980 r. "...Wałęsa nominuje nadal wszystkich..."

— Ja nie powiedziałem, że nie wiadomo, kto jest organizatorem, tylko powiedziałem, że nie znane są zasady wybierania tych ciał.

— To znaczy zamianowane przez Wałęsę? Nie znany jest porządek obrad, nie znane są tezy, nie znane są tematy, może znane są problemy, jakie będą poruszane na Zjeździe?

— No tak. Przede wszystkim nastąpi chyba powrót do formuły związkowej z racji tej, że za dużo jest "kija" Balcerowicza, a za mało "plastra miodu" Wałęsy, wobec tego należy oczekiwać, że Zjazd będzie głównie poświęcony rewindykacjom płacowym i socjalnym.

— Co powie Rulewski robotnikom na Zjeździe, bo Zjazd będzie mówił nie tylko o problemach, będzie również wybierał władze Związku. Czy zastartujesz w wyborach na przewodniczącego "Solidarności"?

— Nie przewiduję walki z Lechem Wałęsą, gdyż uważam, że ta walka niewiele by wniosła do samego Zjazdu, zaś wiele zaszkodziłaby stosunkom między nim a organizacją regionalną w Bydgoszczy z racji charakteru Lecha Wałęsy; po prostu musimy mówić o odwecie.

— To znaczy, iż obawiasz się, że przegnalbyś wobec Lecha Wałęsy.

— Przegrana nie jest groźna, groźny jest odwet ze strony Lecha Wałęsy, tego doznałem w '81 roku za konkurencję wyborczą.

— Uważasz więc, że Lech Wałęsa jest człowiekiem mściwym, nie jest politykiem obiektywnym, że w jego działaniach decydują emocje...

— Powiem więcej, bo obiektywizm to takie abstrakcyjne — nie jest człowiekiem sprawiedliwym.

— Czy istnieje w Związku "Solidarność" frakcja Jana Rulewskiego?

— Nie. Ponieważ już wcześniej podkreśliłem, że my jesteśmy za przestrzeganiem Statutu. Jeśli jest taka frakcja, to będzie się nazywała frakcją przestrzegania Statutu i demokracji związkowej.

— No tak, ale należy do niej jeszcze kilku działaczy oprócz Rulewskiego, być może Słowik z Łodzi, kiedyś należał do niej Jurczyk ze Szczecina.

— Jurczyk teraz, jak wiadomo, utworzył nowy Związek.

— Jaką siłą jest dzisiaj "Solidarność"?

— Nie jest tą siłą z lat '80-tych, ale jest jedyną powszechną i w miarę dużą siłą w kraju, zdolną ustabilizować proces przemian, jest jedynym gwarantem przemian, i na razie nie ma innej alternatywy społecznej, a nawet politycznej.

— Czy "Solidarność" dzisiaj to duży związek? Wiesz, ilu ludzi masz w regionie, ilu ludzi jest w kraju w "Solidarności"?

— W kraju nie, gdyż liczby się zmieniają i to z tendencją jednak rosnącą, wbrew pesymizmowi niektórych, a tu i Pana Redaktora. W Bydgoszczy jest 50 tysięcy.

— Ja stawiam tylko pytania. Jak się ma to do ilości zatrudnionych?

— Jest to 1/6 zatrudnionych. Niemożliwy jest powrót ilościowy do roku 1981, gdyż nastąpiła jednak szeroka dywersyfikacja własności, utworzono wiele zakładów gospodarczych o charakterze spółek drobnych, małych, firm nawet polonijnych, gdzie są załogi 5-6-osobowe, czasem 12-osobowe, gdzie ludzie załatwiają swoje sprawy socjalno-bytowe w drodze bezpośrednich negocjacji.

— A więc związek zawodowy istnieje tylko w dużych zakładach, a w małych jeszcze nie.

— Jeśli chodzi o powrót do stanu

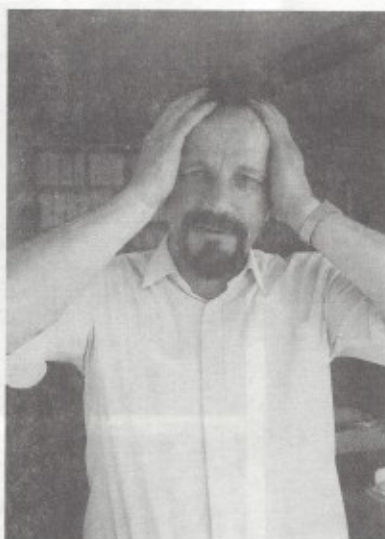
poprzedniego, to nie jest możliwy ilościowy, zwłaszcza że i zatrudnienie w przemyśle się zmniejszyło, zaś moją ambicją jest, aby nastąpiło osiągnięcie poziomu przewagi związkowej przynależności pracowników we wszystkich zakładach pracy. Dane wskazują, że ponad 50% zatrudnionych nigdy nie przystąpiło do reżimowych związków zawodowych, zatem można przyjąć, że pozostało wiernym "Solidarności". Poprzednich stanów liczbowych nie osiągnęliśmy, to znaczy, że jeszcze jest dużo do roboty.

— Czy "Solidarność" bydgoska pod wodzą Jana Rulewskiego stanie na czele robotników, jeżeli dojdą oni do wniosku, że mają dosyć programu Balcerowicza i zażądają więcej pieniędzy?

— Może stanąć pod wodzą Zarządu Regionu. Związek jest niezależny i nie kieruje się sympatiami, wystąpi tak, jak to uzna Zarząd w oparciu o opinie robotników. Nie wykluczamy możliwości strajku, akcji protestacyjnych, właściwie to wszystko, co do tej pory robimy, np. spotkania bezpośrednie z ministrami, mają przygotować związkową odpowiedź.

— Znaczący, że nie interesują Cię gierki na poziomie "Solidarność" — rząd, tylko "Solidarność" rozumiesz jako związek zawodowy, jako organizację, absolutną reprezentację robotników w nim zrzeszonych.

— Ale też pewną formę uczestnictwa w przemianach kraju, wobec tego bardziej skłaniamy się ku obronie czynnej niż ku obronie bierniej, do której jakby tu pytaniami nakłaniasz. Obrona czynna polega oczywiście na rozróżnieniu kompetencji rządu i Związku, ale również mówi o konieczności pomagania samym sobie, np. przez stworzenie alternatyw polityki socjalnej, w czym się mieści przykładowo inny sposób zagospodarowania czasu wolnego, inny sposób rozwiązywanie problemu bezrobocia. Przyjęliśmy skrócony tydzień pracy, więc jest on społecznie sprawiedliwszy i do przyjęcia. Podejmujemy działania w poszukiwaniu miejsc pracy, zgłaszamy propozycje stwarzania nowych miejsc pracy, dotyczy to również budownictwa. Odrzucamy np. merkantylny program budownictwa min. Paszyńskiego, bazujący na willach; będziemy naciskali na budownictwo socjalne, będziemy również uzupełniali "zupki Kuronia" innymi instytucjami. Przygotowujemy się między innymi do otwarcia sklepów dla ubogich, dla bezrobotnych, dla wielodzietnych rodzin. Domagamy się nadto — od czego rząd się uchyla — minimum socjalnego, czyli tego elementarnego



"Nie przewidują walki z Lechem Wałęsą"

fol. Pogład

koszyka usług, kawałka dachu nad głową, jako kategorii ekonomicznej, która pozwala oceniać rząd Mazowieckiego z pozycji pracownika, konsumenta, lokatora, obywatela.

— A jakie konkretne żądania, jako przewodniczący Związku w regionie, wysuwasz w stosunku do pracodawców w imieniu robotników, którzy dzisiaj zarabiają bardzo mało i którym prowadzi się gorzej niż źle?

— To jest duża paleta żądań — ujęta jest ona w uchwałach. Pierwszy problem to jest przede wszystkim zapewnienie przeżycia, czyli sprawa minimum socjalnego, określenie przez rząd zasad comiesięcznego jego weryfikowania. Druga sprawa to ruszenie budownictwa socjalnego, które stoi.

— Państwo ma być budowniczym

czy prywatne firmy?

— Państwo ma stworzyć podstawy produkcyjno-usługowe budownictwa socjalnego — takie zanikło już za erasów Jaruzelskiego.

— Ale to są programy pośrednie, bezpośrednio robotnikowi dzieje się źle, zarabia za mało, chce zarabiać lepiej, chce żyć lepiej. W jaki sposób szybko to osiągnąć?

— Uważamy, że programy rządowe są programami zerzniętymi z krajów dostatku, czyli krajów zachodnich, zaś problemy polskie są zupełnie inne i właśnie budownictwo domków i willi nie przystaje do rzeczywistości polskiej. Bezrobocie — ostatnio np. jest to nasz codzienny elementarz, z tym co dzień się budzimy, z tym co dzień pracujemy. Od wymagań dotyczących przyspieszenia zorganizowania pośrednictwa pracy, które miałyby nie tylko rejestrować bezrobotnych, ale również prowadzić przeszskolenia, następnie uruchamiać szereg prac...

— ...taki niemiecki "Arbeitsamt", zerznięty z Zachodu...

— ...tak jest, ale o bardzo szerokiej płaszczyźnie, również po to, żeby się zajęła młodzież, która w czerwcu opuści szkoły i będą to tysiące. To nie jest tylko problem wypłaty zasiłku i ewidencji, ale jest to również szkolenie, nawet nawiązywanie kontaktów z zagranicą, szkolenie wolnych miejsc pracy.

Oprócz problemów typowych, jak reindykacja mienia organizacji przez rząd i władze lokalne, zagadnieniem nierozwiązanym jest rewaloryzacja indeksowanego zasiłku dla bezrobotnych.



Jan Rulewski pobity przez milicję w marcu 1981 roku w siedzibie Rady Narodowej w Bydgoszczy.



"Bezrobocie — ostatnio np. jest to nasz codzienny elementarz, z tym co dzień się budzimy, z tym co dzień pracujemy. ...Podjęliśmy działania w poszukiwaniu miejsc pracy, zgłaszamy propozycje stwarzania nowych miejsc pracy..."
fot. Dementli



— A co dla robotników pracujących, niebezrobotnych?

— Tu wróciłbym do tej naszej opcji, bo jak wiadomo nasze drugie walne zgromadzenie delegatów przyjęło opcję — związku rewindykacyjno-partycypacyjnego. Wobec tego od przedsiębiorstw domagamy się rozwiązań konkretnych dla sanacji, dla uzdrowienia zakładów. Dyrekcje są bierne, nadal trwają w przeszłości, kiedy takie ustalenia przychodziły z góry.

— To znaczy, żądacie prywatyzacji.

— Niekoniecznie, przede wszystkim takich rozwiązań organizacyjnych, które dawałyby prace i to...

— Jakich, konkretnie?

— No więc przebudowy schematów na rzecz współpracy z przedsiębiorstwami zagranicznymi, napływu kapitału.

— Ale przedsiębiorca zagraniczny nie zechce współpracować z przedsiębiorstwem, którego własność i którego rachunek ekonomiczny nie jest wyjaśniony.

— To już wcześniej zostało rozstrzygnięte i chyba pamiętasz, że w '81 roku byłem jednym z nielicznych, którzy domagali się wprowadzenia reformy własnościowej zwłaszcza w zakresie akcjonariatu pracy. Stoimy na stanowisku, że to, co rząd proponuje do prywatyzacji, to niewielki ułamek własno-

ści. Jest on dla pracowników zbyt szczupły. Radowałby nas system szwedzki, gdzie pracownicy zrzeszeni w związkach byłiby współwłaścicielami zakładów pracy, gdyż wariant, który oferuje minister Lis, pełnomocnik d/s własnościowych, zapowiada jedynie niewielki procent własności dla indywidualnych pracowników, nadto jeszcze jest on w ciągu roku ograniczony. Uważamy, że po paru latach ci robotnicy nie znając gier giełdowych, stracą nawet ten ułamek. Żądamy zatem, aby mieli oni reprezentację gospodarczą, w tej chwili najlepsza byłaby dla nich reprezentacja związkowa.

— Wróćmy do problemów regionu bydgoskiego. Powiedziałeś, że jest 50 tysięcy członków. Jaka jest wysokość składek związkowych?

— Powinna być 1% zarobków brutto, ale nie jest, gdyż szeroka demokracja związkowa spowodowała, że ludzie różnie uchwalali te składki.

Wpływy ze składek wynoszą nie więcej niż 40 milionów zł.

— 40 milionów zł otrzymuje Zarząd miesięcznie i za te pieniądze ma działać, utrzymać się, prowadzić biuro...

— Płace wynoszą gdzieś 28 milionów, są to płace oczywiście zaniżone, odbiegające częstokroć od płac, jakie działacze ci posiadali w miejscach pracy.

— To znaczy, że za te pieniądze jesteście w stanie utrzymać około 25 etatowych pracowników i Rulewski jako przewodniczący regionu musi sam przyjechać na delegację do Berlina, aby kupić części zamienne do urządzeń biurowych.

— Związek daje tylko pół delegacji, resztę płacę z własnej kieszeni, częstokroć "na kolanach" staje przed panem Klimczakiem, aby dał...

— No, bez przesady! "Towarzystwo Solidarność" w jakiś sposób pomagało również Rulewskiemu czy "Solidarno-

ści" w Bydgoszczy, ale to inna sprawa. Czy można być siłą polityczną nie mając pieniędzy?

— Jest to niemożliwe, zwłaszcza w warunkach Polski obecnej, po pierwsze przyjmujemy zasadę, że musimy istnieć niezależnie, nie bierzemy administracyjnych pieniędzy, a po drugie koszty są olbrzymie, zaś rząd, Wałęsa i KKW nie zrobili nic, aby odzyskać miliardowych wielkości majątek Związku. Składki wystarczają jedynie na działalność bieżącą. Nigdy inaczej nie było, składki nie służą inwestowaniu.

— Czy będziesz występował na Zjeździe o rewindykacji mienia "Solidarności", o jego zwrot?

— My w Bydgoszczy już to robimy, metodami, które jednak nie mają charakteru uniwersalnego, zaś na Zjeździe będziemy domagali się, aby Sejm ustawą zwrócił majątek Związku, gdyż jest to w tej chwili jedna z czterech barier hamujących rozwój Związku.

— Jakże są pozostałe?

— Druga to strach. Nadal działa syndrom stanu wojennego, wzmocniony jeszcze możliwością utraty pracy. W zakładach istnieje jeszcze nomenklatura odczuwana jako warcholstwo kierownictwa. Jest wreszcie nomenklatura polityczna. Trzecia bariera to fakt, że rząd i parlament wessały clity związkowe i Związek został pozbawiony czynnika intelektualnego — trzeba to uzupełnić. Wielki Związek, który liczył wiele milionów ludzi, nie posiada doradców, ekspertów. Czwarta sprawa to program. Związek nie posiada programu, niedokładnie została zdefiniowana jego tożsamość, co wynika z Twoich pytań. Czy Związek nie jest zbyt defen-

sywny? — musimy właśnie się do tej zmieniającej się rzeczywistości Polski podłączyć. Czy przyjmujemy model rewindykacyjny, czy też model, za czym ja się opowiadam, żeby Związek był gwarantem przemian i jednocześnie określił granice, poza które te przemiany nie mogą wejść, m.in. prywatyzację. Chodzi o to, aby prywatyzacja nie zniszczyła celów, o które związek stale się bił, np. tego minimum socjalnego, prawa do pracy, do zasiłku.

— 50 mln zł miesięcznie, 28 mln na pensję, ileś milionów na utrzymanie biura, a gdzie jest fundusz strajkowy, czy on w ogóle istnieje?

— Takiego funduszu nie ma. Strajki w Polsce nie mają charakteru rewindykacyjnego, zwykle są to zaledwie demonstracje. Rewindykacyjny charakter mogą jednak mieć w przedsiębiorstwach prywatnych, gdzie jest wyraźnie zdefiniowany właściciel jako pracodawca.

— Jaka to różnica — czy prywatny czy państwowy — dla robotnika, jeśli za mało zarabia?

— Różnica polega na podziale dochodów. W tej chwili nadal osiemdziesiąt parę procent zakładów jest własnością ludzi, którzy w nich pracują.

— Ale tylko teoretycznie.

— Nie, rzeczywście! Problem w tym, że podział dochodów nie jest dobrze rozwiązany. W praktyce jest tak, że w imieniu tych 12 mln pracujących w



Do zobaczenia na Zjeździe...

fol. Pogłęb

gospodarce narodowej pan Mazowiecki nią zarządza.

— Tak, ale ci ludzie nic z tego nie mają.

— Mają, ale w nie najlepszy sposób — w kapitalizmie też zarządcy nie najlepiej zarządzają...

— Ale wiadomo jest, że pracownik nie jest właścicielem i identyfikuje się na tyle z firmą, na ile otrzymuje zapłatę za swoją dobrą pracę, a tzw. teoretyczny tytuł własności, jeśli pracownik nawet by go miał, nie interesuje go. On musi korzystać codziennie z tego tytułu, a jeżeli nie korzysta, to nie ma on dla niego znaczenia. Tak samo te 12 mln ludzi pracujących w tzw. uspołecznionej czy państwowej gospodarce z tego tytułu własności nie korzysta i z tego nic nie ma, a więc ja osobiście nie widzę żadnej tu różnicy, ale to inna sprawa.

— W tych dniach to ulega zmianie. Prywatyzacja została postanowiona, jest też rzecz Związku, jako że zgodził się on na tak daleko idącą prywatyzację, czyli oddanie za bezcen różnym ludziom nie tylko z nomenklatury, ale też i cwaniakom, dość wielkiego dobra. Masz rację, że nie korzystają z tego tutaj robotnicy.

— Dziękuję za rozmowę i za zaproszenia na kwietniowy Zjazd. Życzę wszystkiego najlepszego.

Berlin, 19.03.1990



Jan Rulewski (stol): "...jeszcze jest dużo roboty."

fol. M. Marachowski

Pytania zadawał Edward Klimczak

Nowe racje istnienia Radia Wolna Europa

Czy finansowana przez Kongres USA, monachijska rozgłośnia Radio Wolna Europa, słuchaczom sowieckim znana jako Radio Swoboda, przez cztery dziesięciolecia zwalczająca komunizm ma jeszcze rację bytu? — zastanawia się zachodniemiecka dziennikarka Kerstin Holm na łamach *Frankfurter Allgemeine Zeitung*. Kraje Bloku Wschodniego są wolne, misja rozgłośni została spełniona, co dalej? Wątpliwości rozwiewa dyrektor RWE Robèrt Gillette przypominając niedawną wypowiedź w czeskosłowackiej telewizji Vaclava Havela, którego zdaniem Radio Wolna Europa potrzebne będzie także w przyszłości. Podczas wizyty w USA prezydent Havel dał do zrozumienia prezydentowi Bushowi, że właśnie teraz finansowe wsparcie potrzebne jest rozgłośni bardziej niż "kiedykolwiek".

Także Lech Wałęsa podkreślił w krótkim, osobistym liście skierowanym do dyrektorów RWE jak ważna jest rola rozgłośni w Polsce i innych krajach Europy Wschodniej na ich "nie zawsze i nie wszędzie pewnej drodze do demokracji". Pozbycie się starych reżimów jest według R. Gillette pokonaniem dopiero pierwszego, najłatwiejszego etapu procesu wolnościowego.

Blizniacze rozgłośnie powstały (Radio Wolna Europa w 1949 roku, Radio Swoboda w 1953 roku) pod znakiem zimnej wojny i do 1971 roku po-

zostały w ścisłym związku z amerykańską służbą wywiadowczą CIA. W przeciwieństwie do rozgłośni rządowych takich jak Głos Ameryki czy BBC, Radio Wolna Europa nie wyrażała stanowiska jakiegokolwiek rządu, a prezentowała różnorodność tematów i opinii niemożliwych do wypowiedzenia w krajach Bloku Wschodniego. Idea rozgłośni było przekazywanie obiektywnego serwisu informacyjnego, stworzenie forum dla niekomunistycznych komentarzy, prezentowania tematyki religijnej czy literatury podziemnej. Wobec sponsorów rozgłośnia zobowiązana jest jedynie do zachowania standardu zachodniego dziennikarstwa oraz trzymania się ogólnej linii amerykańskiej polityki zagranicznej.

Współpracownicy RWE rekrutowali się przeważnie z byłych dysydentów — uchodźców politycznych ze Wschodu. Nie bez powodu mówiono więc często, że rozgłośnia nie jest żadną bazą Zachodu w Europie Wschodniej, tylko odwrotnie — jest przyczółkiem wschodnioeuropejskich krajów na Zachodzie. Jednocześnie jej współpracownicy, najczęściej posiadacze burzliwych życiorysów nie przestrzegali tego, co rozumie się pod pojęciem zachodniego dziennikarstwa. Radio Wolna Europa, wśród rozgłośni zagranicznych posiadająca najwięcej słuchaczy, plasuje się zarazem na pierwszym miejscu pod względem ilości kierowanych

do niej skarg, przede wszystkim na wrogi, demagogiczny ton wielu komentarzy, tak daleki od pełnego rozwoju charakteru programów BBC i Głosu Ameryki.

A przecież RWE zdobyła dzięki nadawanym przez siebie informacjom i analizom ogromny autorytet. Aby uniknąć zarzutu niewiarygodności kierownictwo rozgłośni przyjęło za regułę nadawanie tylko takich informacji, które pochodzą z co najmniej dwóch pewnych źródeł. Do dziś opowiada się w RWE o powściągliwości, z jaką szef sekcji rumuńskiej Nicolae Stoescu potraktował meldunek jugosłowiańskiej agencji informacyjnej Tanjug na temat liczby ofiar powstania w Timișoara. Jugosłowiańska agencja mówiła o kilku tysiącach ofiar. Stoescu wykorzystał oficjalną informację rządową mówiącą o 200 zabitych. Współpracownicy śmiali się ze skrupulatności szefa, słuchacze zarzucali mu zaniżenie liczby ofiar. Prawdziwą okazała się informacja o 200 zabitych.

Bez wątplenia Radio Wolna Europa wpłynęło na przebieg rewolucji w Europie Wschodniej, co szczególnie pokazuje przykład rumuński. Podczas przełomowych wydarzeń w NRD i Czechosłowacji współpracownicy rumuńskiej redakcji jeździli do tych krajów przekazując stanątd relacje. Szczególnie podkreślali w nich pokojowy charakter demonstracji i solidarność wojsk z demonstrującymi, dzięki czemu wojska zdobyły sobie tam tak duże poważanie. Jednocześnie redakcja cytowała opinie zachodnich komentatorów ubolewających, że tylko jeszcze w Rumunii wszystko trwa po staremu. Podczas walk z Securitate telefonowano z Rumunii do RWE mówiąc jak nieodzownym, moralnym wsparciem były dla żołnierzy audycje rozgłośni.

Po otwarciu się krajów Europy Wschodniej ciężar pracy rozgłośni przenosi się na ich teren. Wszystkie sekcje mają w swoich krajach korespondentów. Sekcje czeska i węgierska od roku posiadają w Pradzie i Budapeszcie swoje biura. W kwietniu otwiera biuro w Warszawie rozgłośnia polska. Rozgłośnia bułgarska nadaje programy w ramach audycji Radia Sofia i jak informuje jej dyrektor Kirill Panow



trwają rozmowy na temat projektu przyszłej współpracy. Pracownicy rozgłośni piszą do wychodzących w Bułgarii gazet.

Sekcja rumuńska do dzisiaj zbiera pochwały i podziękowania od "Frontu Ocalenia Narodowego" za swą pracę w przeszłości. To, że w tej chwili dziennikarce RWE niezbyt chętnie się w ten front angażują rejestrowane jest naturalnie z irytacją, ale nikogo nie spotykają z tego powodu kłopoty.

W całej Europie Wschodniej panuje obecnie ogromne zapotrzebowanie na konkretne informacje dotyczące funkcjonowania demokratycznego społeczeństwa. Ludzie chcą wiedzieć jak zarządza się wolną, państwową telewizją, jak pracują niezależne sądy lub związki zawodowe, jak buduje się gospodarkę wolnorynkową lub organizuje kampanie wyborcze. "Ustanowiono w Europie Wschodniej wolne wybory ale nikt nie wie jak się je organizuje" – mówi dyrektor rozgłośni węgierskiej Laszlo Ribanszky.

Minie jeszcze zapewne wiele czasu nim w Europie Wschodniej można będzie mówić o wolnych mediach, choć już cenzura jest właściwie bezczynna. W Polsce na przykład – jak twierdzi dyrektor sekcji polskiej Piotr Mroczyk – dziennikarze zachowują daleko idącą lojalność wobec solidarnościowego rządu. Mają na nich wpływ nawet telefony niezadowolonych z czegoś członków rządu. W Rumunii dziennikarze wstrzymują się od jakiegokolwiek krytyki "Frontu Ocalenia Narodowego".

Na Węgrzech demokratyzacja mediów przebiega nieco powierzchownie, zwłaszcza w telewizji, w której zachłyśnięto się Zachodem uznając, że wolność przekazu polega na szafowaniu błyskotliwymi efektami i szybkiej zmianie obrazu. Euforia, w jaką wprawili dziennikarzy węgierskich nowo uzyskana wolność prowadzi do tego, że nie sprawdzają oni informacji. W czasie rewolucji rumuńskiej węgierska telewizja nieustannie prostować musiała nadawane przez siebie doniesienia.

Za swe szczególne zadanie kierownictwo Radia Wolna Europa uważa umożliwienie wypowiedzenia się różnym, nowo powstającym wszędzie grupom opozycyjnym, które poza rozgłoszną szansy tej prawie nie mają. Związane jest z tym oczywiście ryzyko, że wykorzystają rozgłoszenie do swych celów grupy wątpliwej kondyty. Często jednak opozycjoniści szkodzą sobie sami, głównie brakiem profesjonalizmu

– stwierdza L. Ribanszky przypominając telewizyjną audycję mającą być reklamą węgierskich nacjonalistów a polegającą na tym, że przez długą chwilę trzech starszych panów śpiewało hymn narodowy.

Przypuszczalnie długo jeszcze kraje Europy Wschodniej nie będą mogły zastąpić zagranicznych korespondencji nadawanych przez RWE korespondencjami własnymi. Zbyt wysokie są koszty utrzymania zagranicznych korespondentów. Jest ich więc niewiele, czego wyrazem oszczędna ilość doniesień zagranicznych we własnych mediach. Rumuńskie środki przekazu nie zatrudniają na przykład żadnego korespondenta.

Redakcje litewska, łotewska i estońska nie należą do Radia Wolna Europa tylko do Radia Wolna Europa, ponieważ Stany Zjednoczone nigdy nie uznały aneksji tych krajów przez Związek Sowiecki. Na Litwie, najkonsekwentniej odłączającej się od Związku Sowieckiego, zakres informacji nadawanych przez tamtejsze media ciągle jeszcze wyznaczany jest przez komunistów – mówi dyrektor sekcji litewskiej Kestutis Girmius. Jednocześnie jednak rozgłoszenia litewska działa jak katalizator. Kiedy w listopadzie ubiegłego roku spotkali się "partyzanci", przez 40 lat zwalczający sowiecką władzę, relacje z tego spotkania chciały pierwotnie przekazywać media państwowe. Wycofały się z tego zamiaru po nadaniu informacji przez RWE.

Kierownik sekcji estońskiej Tomas Ilves ze znużeniem mówi o estońskich środkach przekazu informacji. Ich milczenie było typowe – zauważa – gdy szef partii komunistycznej Vaino Väljes kojarzył możliwie daleko idącą niezależność swego kraju z potęgą sowiecką. Estońscy komuniści wspierali ruch niepodległościowy tylko o tyle, o ile dawało im to możliwość uratowania resztek wyrykającej się im władzy.

Radio Wolna Europa cytowane jest teraz wszędzie. Szczególnie ściśle współpracuje łotewska redakcja z niezależną gazetą *Atmoda*, której profesjonalizm przewyższa wielokrotnie poziom sowieckich gazet. Dyrektor sekcji łotewskiej Janis Trappans jest dumny, że *Atmoda* drukuje informacje nadawane przez jego rozgłoszenie.

Możliwe, że wyzwolone media wschodnioeuropejskich krajów odbiorą kiedyś RWE jej słuchaczy. Tymczasem jednak kraj jej słuchaczy wzrasta. Najdłużej prawdopodobnie pełniły bę-

dą swą rolę przekazy RWE do Związku Sowieckiego, uważa dyrektor Radia Wolna Europa Enders Wimbush. Istnienie Radia Wolna Europa odpowiada na razie interesom całego Zachodu dążącego do umocnienia demokratycznych społeczeństw na Wschodzie.

Obok pełnienia funkcji przekaziciela informacji, RWE pełni też rolę placówki badawczej zajmującej się polityką i historią Europy Wschodniej i Związku Sowieckiego. Działy researchu, tj. zbierania informacji z ok. 100 pracownikami, które pierwotnie opracowywały materiały do nadawanych audycji, od dawna pracują już na własne potrzeby. Przygotowywane przez nie tygodniowe raporty na temat Związku Sowieckiego i Europy Wschodniej czytane są teraz w całej Europie. "Czerwone archiwum", w którym od początku lat sześćdziesiątych gromadzone artykuły z prasy sowieckiej jest jedynym w swoim rodzaju a z jego zasobów korzystają dziś specjaliści z całego świata.

Przyszłość Radia Wolna Europa wydaje się dziś zależeć nie tylko od wysokości finansowych dotacji z Waszyngtonu, od siły nabywczej marki zachodniemieckiej, niemieckiej polityki wewnętrznej czy stopnia liberalizacji krajów Europy Wschodniej, ale od tego, jak mocna będzie pozycja RWE u wymagających słuchaczy gotowych potraktować rozgłoszenie jako stały element "informacyjnego krajobrazu" Europy.

litum. i oprac. St.



Do nabycia w berlińskiej redakcji "Pogład"

Trzy lata temu w jednej z wileńskich szkół średnich wybuchła afera. Któryś z uczniów narysował sobie na okładce zeszytu symbol ulubionego klubu sportowego i ozdobił go napisem: ŽALGIRIS – LIETUVA. Wzywano do szkoły rodziców, rodzinę oskarżono o nacjonalizm. "Žalgiris" mógł być klubem sowieckim, wileńskim, bądź kowieńskim. Nigdy litewskim. Gdyby dziś ten uczeń napisał pod nazwą klubu "SSSR", miałby kłopoty równie wielkie.

Wybrany w wolnych wyborach parlament litewski przywrócił nadnie-meńskiej krainie niepodległość utraconą w 1940 roku wskutek niemiecko-sowieckiej zмовy. Najwyższym aktem prawnym nie jest już w tym kraju Konstytucja ZSSR, ale ustawa zasadnicza Republiki Litewskiej. Związek Sowiecki jest obcym państwem, z którym wolna Litwa nawiąże stosunki dyplomatyczne i gospodarcze.

Dla chłodnych obserwatorów oglądających rozgorączkowane tłumy zebrane na wileńskim Placu Katedralnym i śpiewające pełnym głosem hymn "Lietuva tavyne musu" ("Litwa ojczyzna nasza") jest jasne, że nawet największy entuzjazm nie będzie w stanie rozbić muru trudności, jaki otoczy wkrótce to nowe wolne państwo na europejskiej scenie. Trudności stawianych celowo i wyolbrzymianych przez potężnego sąsiada oraz kłopotów obiektywnych, wynikających z nowego usytuowania kraju. Już pierwszego dnia niepodległości Moskwa oświadczyła, że Wilno jest jej winne 21 mld rubli, i że wszelkie rozliczenia Litwy z republikami sowieckimi prowadzone będą w twardej walucie. Udowodnienie innym republikom marzącym o suwerenności, że niepodległość po prostu się nie ophca, wydaje się być przedostatnią szansą Kremla na utrzymanie jedności Związku. Ostatnią są czolgi.

Ale Litwa nie pozostaje Moskwie dłużna. Wystawia jej rachunek za przymusową pracę trzystu tysięcy swoich obywateli wywiezionych w głąb imperium w latach czterdziestych. Będzie domagała się opłat za używanie sowieckich baz wojskowych na swoim terenie. Może sparaliżować sowiecki przemysł produkujący telewizory. Ważną dla Związku Sowieckiego rolę odgrywa też litewski przemysł chemiczny. Od litewskich dostaw uzależnione są całe gałęzie przemysłu w Rosji. Ten bicz ma oczywiście dwa końce – Rosjanie mogą po prostu nie kupować nic od Litwy. Mogą na przykład zaopatrywać się w niektóre towa-

Litwa

Cienie niepodległości





ry w Polsce. Ta republika stanowiła za ledwie nieco ponad jeden procent soczewki potencjału demograficznego i przemysłowego. Wydaje się, że zgnieść taki krzyk będzie łatwo.

Nie trzeba ulegać złudzeniom. Obniżenie relatywnie wysokiej stopy życiowej litewskiego społeczeństwa to rzecz raczej przesadzona. Lecz radość z odzyskanej niepodległości powinna pozwolić przetrwać mu najtrudniejszy okres, później zaś można spodziewać się nawiązania nowych więzi kooperacyjnych z sąsiednimi – może już też wolnymi – republikami, ze Skandynawią, z Polską.

Choćby stosunki z Polską są wielką niewiadomą. Obecny rząd w Warszawie pragnie jak najlepszych układów z Kremlem i z Wilnem jednocześnie. Jak się zachowa w obliczu konfliktów między sprzecznymi racjami? Po której stronie stanie? Litewska racja stanu

każe nie podnosić sprawy jakiegokolwiek rozseparowania terytorialnych i rewizji granic. Równocześnie jednak sposób, w jaki parlament litewski doprowadził do odzyskania suwerenności – przez uznanie aktu włączenia Litwy w skład ZSSR za nieważny od początku – do rewizji takich wręcz zaprasza. To przecież pakt Ribbentrop-Mołotow umożliwił Stalinowi wchłonięcie Litwy i dzięki Moskwie przyłączono do tej republiki rejon Kłajpedy oddany przed wybuchem wojny Niemcom oraz należącą do Rzeczypospolitej Polskiej Wileńszczyznę. Skoro chcemy zlikwidować skutki tego układu, to bądźmy konsekwentni – może oznajmić Moskwa, nie licząc nawet na spełnienie groźby, ale trzymając w szachu i Litwę i przy okazji Polskę, która dla własnego dobra żadnych pretensji do Wileńszczyzny zgłaszać dziś nie może.

Osobna sprawa to pozycja trzystu

tysięcy Polaków zamieszkujących Litwę, a także tyłuż Rosjan. Choćby sytuacja obu grup jest odmienna, Polacy to ludność "tutejsza", Rosjanie zaś to w ogromnej większości imigranci i rodziny wojskowych. Dotychczas mniejszość polska poprzez swoich orędowników ze Związku Polaków na Litwie spoglądała raczej w kierunku Moskwy jako ich obrońcy przez rzeczywistą bądź domniemaną lituanizację. Tych kilku Polaków, którzy weszli do wybranego w lutym i marcu parlamentu reprezentowało w większości – odrębną od niezależnej Litewskiej Partii Komunistycznej – kierowaną z Moskwy Komunistyczną Partię Związku Sowieckiego, dla której w niepodległej Litwie miejsca być nie może. Co ciekawe – nie został członkiem parlamentu jeden z najbardziej bojowych działaczy polskich z Wilna, dziennikarz Jan Sienkiewicz, prezes Związku Polaków, choć z prostego rachunku wynikało, że w swoim obwodzie powinien był wygrać. Może to świadczyć o zwrocie części Polaków, którzy dotąd opowiadali się za opcją moskiewską, ku litewskości, to znaczy ku idei wielonarodowego państwa litewskiego głoszonej oficjalnie przez ruch "Sajudis" będący motorem przemian nad Niemnem i Wilną.

Nie znaczy to, że nieufność Polaków do "Sajudisu" minęła. Ludność polskojęzyczna najlepiej za co dzień odczuwa różnicę między pięknymi hasłami i ich realizacją, między planami i praktyką. Gdy zabraknie moskiewskiego parasola, konflikty mogą rozgorzeć z nową siłą.

Na razie Litwini zachylają się szybko i dość niespodziewanie odzyskaną niepodległością, gotowi bronić jej aż do desperacji, choć organizatorzy tej gry politycznej, czyli działacze "Sajudisu", siłowego jej finału raczej nie przewidywali. Prowadzili ją umiejętnie, z poczuciem realizmu, sprytnie. Uznając Gorbaczowa za swego sprzymierzeńca, który łaje i poucza, ale nie robi nic dla zdławienia ruchu, wymierzili poważny cios neoimperialnej polityce Moskwy, która polega na postępowaniu w myśl starej zasady kolonialnej "odejść, aby pozostać", tym razem już na własne życzenie kolonialnego rządu. Litewski parlament takiego życzenia nie ma. To też jeśli któregoś dnia na ulicach Wilna i Kowna pojawią się czołgi, będzie to w powszechnej opinii oznaczano kres gorbaczowskiej "pieriestrojki".

Warszawa, 14.03.90

Witold Kołtys

Zdjęcia: Witold Krassowski

Witold Pronobis

Pół wieku niewoli

11 marca 1990 r. Rada Najwyższa Republiki Litewskiej postanowiła i uroczystie ogłosiła, że przerwana obcą przemocą w 1940 r. realizacja suwerennych praw państwa litewskiego zostaje przywrócona. Moskwa uznała ten akt za bezprawny, sami Litwini twierdzą jednak, że ich państwo, zgodnie z powyższą proklamacją pojawiło się znów, po półwiekowym niebycie, na politycznej mapie Europy. I to jako pierwsze spośród krajów ujarzmionych kiedyś przez Rosję i przyłączonych w postaci kolejnej republiki do sowieckiego imperium. Nie jest to zapewne historyczny przypadek. Zastanawia i zmusza do refleksji fakt, iż o ile

silniejsze dążenia do pełnej samodzielności państwowej i zrzucenia narzuconej przemocą dyktatury komunistycznej przejawiała Polska, tak wśród narodów żyjących w granicach państwa sowieckiego najbardziej konsekwentnie niepodległościowe dążenia reprezentowała właśnie Litwa, tak ściśle z Polską przez całe wieki historycznie związana. Łączy nas nie tylko wspólna historia, od bitwy grunwaldzkiej do rozbiorów, ale też wspólna wiara chrześcijańska. Zwracam na to uwagę, gdyż w niezłomnym od początku niewoli, litewskim oporze przeciwko sowietyzacji Kościół katolicki odgrywał rolę wodzową.

Najnowsze dzieje Litwy są niestety mało znane. Jednym z elementów polityki Moskwy było przeciw wykreślenie ze świadomości Litwinów ich własnej historii, przede wszystkim dwudziestu dwu lat państwowej niepodległości, między rokiem 1918 a 1940. Z tych samych powodów i peerelowska cenzura strzegła zafalszowanej wersji litewskiej przeszłości, choć może mniej skrupulatnie niż sowiecka, czego dowodem mogą być historyczne prace Piotra Łossowskiego.

Państwo litewskie z wiekowej niewoli wyłoniło się, podobnie jak Polska, a także dwa inne państwa bałtyckie: Estonia i Łotwa, gdy z końcem I wojny światowej nastąpił rozpad carskiego imperium rosyjskiego, zaś Niemcy uległy militarnie państwom sprzymierzonym. Litwa bowiem podzieliła los Polski w okresie rozbiorów, a jej ziemie włączone zostały w większej części do Rosji, częściowo do Prus. Oficjalny akt niepodległości Litwy ogłoszony został 16 lutego 1918 r. Do faktycznej niepodległości było jednak daleko. O jej pełne urzeczywistnienie walczyć musieli Litwini i z bolszewikami, i z Niemcami, którzy sprawowali zbrojną opiekę nad znaczną częścią tych ziem po traktacie brzeskim i wreszcie z Polakami, którzy wprawdzie uratowali Litwę przed zalewem bolszewickim, ale sami zawładnęli Wilnem, wraz z przylegającym obszarem. Przewaga polskiej ludności w tym mieście nie



była dla Litwinów wystarczającym argumentem, co zaowocowało litewską nienawiścią do Polski i trwale zepsuło stosunki między obu państwami w całym międzywojennym dwudziestolecie.

Stolicą niepodległej Litwy stało się Kowno, gdzie urzędował pierwszy prezydent, Antanas Smetona, rząd i parlament, wybrany według pięcio-przymiotnikowej ordynacji wyborczej. Jednym z największych sukcesów w pierwszych latach istnienia państwa było przyłączenie do Litwy, na zasadach autonomicznych, w 1923 r. okręgu kłajpedzkiego. Posiadanie w Kłajpedzie własnego portu na Bałtyku miało ogromne znaczenie gospodarcze dla rozwijającego się kraju.

System parlamentarny utrzymał się na Litwie do 1926 r. W wyniku przewrotu dokonanego przez litewskich narodowców na czele z Antansem Smetoną, znacznie ograniczono swobody demokratyczne. W maju 1928 r. ogłoszona została nowa konstytucja, utrwalająca rządy prezydenckie.

Niepodległa Litwa była krajem zdecydowanie rolniczym. Dochód przynosiła przede wszystkim hodowla. Litewskie masto i bekony znajdowały chętnych nabywców w Anglii i w Niemczech. Przemysł, choć pozostał niewielki, w krótkim czasie ponad trzykrotnie zwiększył produkcję. Dynamicznie rozwijał się przemysł drzewny, włókienniczy i przetworów rolnych. Ogromną rolę władze litewskie przywiązywały do rozwoju zaniedbanej przez zaborców oświaty. Powstało kilkadziesiąt nowych szkół, głównie zawodowych. Inteligencję kształcił w



Prezydent Litwy Vytautas Landsbergis



Katedra Wileńska

Kownie Uniwersytet Witolda Wielkiego, Szkoła Sztuk Pięknych, Konserwatorium i Instytut Weterynaryjny. W Kłajpedzie Wyższa Szkoła Handlowa i Konserwatorium, zaś w Datnowie – Akademia Rolnicza.

Dalszy rozwój kraju przerwała wojna. Wypełniając tajną umowę z hitlerowskimi Niemcami wojska sowieckie 18 września 1939 r. zajęły polskie Wilno, które po ograbieniu oddały "wspañiałomyślnie" Litwie. W zamian jednak zmuszono ją do podpisania układów z klauzulą wzajemnej pomocy, czego konsekwencją było zainstalowanie na Litwie stałych sowieckich baz wojskowych. Od tej chwili rząd litewski cieszył się jedynie pozorami suwerenności, pozostając pod wszechwładną kuratelą sowieckiego posła w Kownie, Pozniakowa.

Ograniczona suwerenność trwała krótko. 15 czerwca 1940 roku, bez ostrzeżenia, cały obszar Litwy zajęty został przez armię czerwoną. Przedstawiciele prawowitych litewskich władz zostali aresztowani, zaś na czele nowego, tzw. "ludowego" rządu stanął, przygotowany wcześniej w Moskwie na to stanowisko litewski komunist Justas Paleckis. W połowie lipca 1940 r. ludność Litwy została w atmosferze terronu zmuszona do udziału w pseudowyborach do parlamentu ludowego, który natychmiast, podobnie jak miało to niemal równocześnie miejsce na Łotwie i w Estonii, zwrócił się z prośbą do Najwyższego Sowietu o przyjęcie Litwy w skład "rodziny narodów ZSSR".

Rządy sowieckie na Litwie, lub mówiąc inaczej – pierwsza okupacja sowiecka – trwała niespełna rok, przerwana niemieckim atakiem na ZSSR. Bilans cierpień narodu litewskiego w

ciągu tego krótkiego czasu był jednak ogromny. Na skutek deportacji i egzekucji Litwa straciła około 34 tys. swoich obywateli. W następstwie znacjonalizowania przemysłu i "reformy rolnej" nastąpiło gwałtowne zubożenie mieszkańców. Choć na tym etapie zrezygnowano z kolektywizacji, obowiązkowe dostawy i podatki doprowadziły chłopię gospodarstwa do całkowitej ruiny.

Odpowiedzią na sowiecką aneksję był spontaniczny, gwałtowny rozwijający się ruch oporu. Do najbardziej masowych, antysowieckich organizacji konspiracyjnych należał Litewski Front Aktywistów, przygotowujący w oczekiwaniu sprzyjającego momentu zbrojne powstanie. Wybuchło ono rzeczywiście już w pierwszym dniu niemieckiej inwazji na ZSSR, 22 czerwca



Podpisanie paktu Ribbentrop-Mołotow w 1939 r.

1941 r. Opanowana przez powstańców radiostacja w Kownie ogłosiła proklamację przywrócenia niepodległości Litwy i przejęcie władzy przez Rząd Tymczasowy. Powstańcze oddziały zaatakowały stacjonujące na Litwie jednostki sowieckie.

Nadzieje Litwinów na odrodzenie ich państwa w sojuszu z Niemcami okazały się jednak iluzoryczne. Litewski Rząd Tymczasowy z Juozasem Ambrazeviciusem przetrwał jedynie dwa miesiące, po czym został zlikwidowany przez Niemców. Terror i masowa zagłada litewskiej ludności żydowskiej spowodował przeorientowanie się litewskiego ruchu oporu na antyhitlerowski, pod przewodnictwem Najwyższego Komitetu Wyzwolenia Litwy.

Pod koniec 1944 r. Litwa znalazła się ponownie we władaniu ZSSR, a NKWD przystąpiła natychmiast do zakrojonych na szeroką skalę egzekucji i deportacji osób związanych z konspiracyjnym podziemiem, które oskarżano o kolaborację z Niemcami. W dwóch wielkich akcjach, w wrześniu 1945, i w lutym 1946 r. deportowano z Litwy prawie 100 tys. osób.

Represje i ucisk narodowościowy zesała dopiero po śmierci Stalina. Litwa była już jednak w znacznym stopniu zrussyfikowana. Litewska partia komunistyczna składała się w dużej części z nashanych Rosjan. "Odwilż" polegała m.in. właśnie na ponownym "unardodowieniu" litewskiej partii. Na Litwę zaczęli też powracać z łagrów i zsyłek deportowani w poprzednich latach. Liberalizacja nie trwała długo. W początkach lat 60-tych podjęto na Litwie kampanię tzw. "antynacjonalistyczną" i antyreligijną, nasilono procesy russyfikacyjne, a wiele kościołów przeznaczono na cele świeckie. Szykany dotknęły litewskich duchownych. Dwaj biskupi, Stepanovicius i Šladkovaicius zostali zmuszeni do opuszczenia swych siedzib w Wilnie i Kownie.

Nowy etap russyfikacji przyniósł rok 1968, wraz z breżniewowską doktryną o "ograniczonej suwerenności". Na Litwie russyfikacja objęto wówczas nawet przedszkola. Ponownemu nasileniu uległa imigracja Rosjan na Litwę. W widoczny sposób sytuacja zaczęła zmieniać się dopiero po objęciu władzy na Kremlu przez Gorbaczowa.

Litwini nigdy nie pogodzili się z niewolą, choć ogrom przeżytych

cierpień w okresie stalinowskim spowodował na jakiś czas społeczne odretwienie i apatię. Nigdzie tak długi jak na Litwie, bo aż do początków lat 50-tych, nie utrzymała się masowa, wielotysięczna leśna partyzantka, koordynowana politycznie przez litewski Zjednoczony Demokratyczny Ruch Oporu. W litewskiej partyzantce walczyło wielu katolickich księży. Działala ona jednak w całkowitym osamotnieniu, a wiadomości o niej przeniknęły na Zachód po ucieczce jednego z przywódców Lukasy-Daumantasa, który opisał swoje przeżycia w książce "Partyzanci za żelazną kurtyną".

W 1956 r. został aresztowany i stracony ostatnio przywódca partyzantki litewskiej, Adolfas Raumanuskas-Vanagas.

W tym samym roku doszło na Litwie, w dzień zaduszny, do masowych antyrosyjskich wystąpień oraz rozruchów studenckich w Wilnie.

Kolejne ożywienie narodowe, które z tendencją wzrastającą utrzymało się już do dzisiaj, nastąpiło w początkach lat 70-tych. Opór uświadczniał się w różnych formach, od oficjalnych petycji protestacyjnych w obronie prześladowanych księży do samizdatowej działalności konspiracyjnych ugrupowań niepodległościowych. Najbardziej znanym tytułem republiki była wychodząca od 1972 r. "Kronika Kościoła Katolickiego na Litwie". Litewski samizdat docierał, w odróżnieniu od rosyjskiego, nie tylko do środowisk inteligentnych. W krótkim czasie Litwa stała się najsilniejszym ośrodkiem "wolnego słowa" w całym Związku Sowieckim.

O determinacji Litwinów świadczą też protestacyjne samospalenie się w Kownie, w maju 1972 r., Romasa Kałanty, co wywołało falę niepokojów w całej Republice. Od przełomu lat 70-tych i 80-tych stały się, sygnowane wspólnie przez opozycję trzech narodów bałtyckich, odczyty do międzynarodowej opinii publicznej, informujące o nieugiętym dążeniu do zrzucenia sowieckiej niewoli.

Procesy, których widownią jest dzisiaj Litwa, nie powinny więc dziwić w obliczu innych, konsekwentnych mimo represji i szkian, przykładów obrony własnej litewskiej, narodowej tożsamości.

Witold Pronobis

Dr Witold Pronobis jest historykiem, w RWE Monachium kieruje działem badań prasy niezależnej.

LITWA OGŁASZA NIEPODLEGŁOŚĆ 11 MARCA

z Wilna mówi Senator
dr Jan Ciechanowicz:

W sobotę 10 marca zbierze się po raz pierwszy nowo wybrana Rada Najwyższa Litwy, gdzie przewagę ma organizacja Sajudis i odłam Komunistycznej Partii Litwy, który ogłosił swą odrębność od Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. W tym parlamencie Litwy wybranym w wolnych wyborach zasiadają 141 posłów w tym 8 Polaków z różnych orientacji, a więc prolitewskich jest 2, jeden promoskiewski i pięciu po prostu naszej orientacji. Kilku Polaków, w tym Prezes Związku Polaków pan Jan Sienkiewicz przegrało wybory. Przyczyną tego jest, że przez ostatnie kilka miesięcy zabiegał on o dobre stosunki z Sajudisem, co zostało bardzo źle przyjęte przez jego polskich wyborców. Oni przeciwko Sajudisowi już odruchowo mają wstręt po tym, co nam zrobili. Wygrał dla przykładu bardzo prolitewski pan Okiańczyk, ale ten ubiegał się o mandat w okręgu bardzo litewskim i tam propaganda Sajudisa mu bardzo pomogła. W polskim okręgu by go dobiła.

W niedzielę 11 marca zapewne zostanie ogłoszona niepodległość Litwy, ale z tym będą większe kłopoty. Dziś wieczór byłem na oficjalnym spotkaniu, gdzie I Sekretarz KPL Brezankas poinformował nas, że Gorbaczow mu powiedział, że Kłajpeda zostanie przyłączona do Republiki Rosyjskiej a Wileńszczyzna, czyli ta część Litwy dzisiejszej, która była częścią Polski w okresie II Rzeczypospolitej zostanie dołączona do Białorusi.

W tej sytuacji na północnej Białorusi, od Grodna po Wilno i Witebszczyznę powstaje wielka enklawa licząca 4.000.000 Polaków. Będziemy dążyć do tego, by tam utworzyć Autonomiczną Republikę Polską w składzie Republiki Białoruskiej. W tej sprawie będę składał interpelację poselską w Moskwie w czasie nadchodzącej sesji Rady Najwyższej za parę dni.

Polacy po ostatnim roku otwartej antypolskiej działalności Sajudisa wcale nie będą się przeciwstawiali przyłączeniu Wileńszczyzny do Białorusi, gdyż wtedy tam będziemy stanowili już siłę. Pomadno na terenach Białorusi polskość w ciągu ostatniego roku rozkwitała wspaniale. Nie było tylu przykrości



Jan Ciechanowicz

jak było na terenie oswobodzającej się Litwy, gdzie nie chciano dopuścić polskiego programu TV z Warszawy, gdzie nie chciano zezwolić nam na mszę polską w Katedrze i nawet nie chciano zezwolić na otwarcie polskiego konsulatu.

Ostatnio miałem kilka nieprzyjemnych spraw, bo litewskie kierownictwo Instytutu, gdzie pracuję, chce mnie wyrugować. Zmieniono nagle moje godziny zajęć ze studentami nie informując o tym ani mnie, ani studentów. Dalej rektor, zresztą żonaty z Polką i jego dwaj zastępcy napisali na mnie raport do Moskwy i chcą mnie wyrugować z Instytutu.

Ciekawe, że Litwini z Sajudisa krzyczeli, że udaje się na ratunek do Moskwy, a oni stosują taką technikę pisząc do Moskwy takie donosy...

Najważniejszą rzeczą dla nas byłoby zdobycie maszyn drukarskich bo wcale nie chcą nam drukować polskich książek w tutejszych drukarniach, a bez polskiej książki polskość zamiera. Czy Polonia USA i Kanady nie mogła by nam tego przysłać? W ciągu roku nawet byśmy mogli spłacić ten sprzęt, bo takie jest zapotrzebowanie na nasze książki a mamy tu co drukować. Mamy sławnych pisarzy a ci teraz muszą drukować w Polsce gdzie też jest bardzo źle z możliwościami druku i książki leżą latami w wydawnictwach. Poza tym istniejące tu polskie pisma są za bardzo pod wpływami Sajudisa. Potrzebujemy własnych środków technicznych by nie być pod ich kontrolą.

Jan Ciechanowicz

Przedruk za ukazującym się w Toronto/Kanada dwutygodnikiem polonijnym "Polski Ekspres"

Od redakcji: W tekście zachowano stylizację i interpunkcję oryginalną.

Polska granica zachodnia

Witold Pronobis

Historyczne refleksje

Niezdecydowane stanowisko kanclerza RFN Kohla w sprawie polskiej granicy zachodniej znów obudziło w Polsce emocje, tym razem już nie "podsterowane" propagandowo przez władze, wokół "niemieckiego zagrożenia" czy mówiąc inaczej niebezpieczeństw "niemieckiego rewanżyzmu". Posługiwanie się historią dla podbudowania takiego czy innego stanowiska w bieżących sprawach politycznych jest zwykle efektywną manipulacją. Nie chcę więc uzasadniać historycznie, czy obawy przed Niemcami są uzasadnione czy też nie są. W końcu różnie w przeszłości bywało —

Jesteśmy tu niestety w gorszej sytuacji niż Niemcy za Łabą. Historiografia zachodnioniemiecka może się poszczycić szeregiem opracowań rzetelnie przedstawiających najnowsze dzieje Polski i wzajemnych polsko-niemieckich stosunków. Podobnych prac o Niemcach po 1945 r. w Polsce nie pisano. Gorzej jeszcze, i to równie źle po obu stronach, prowadzi się edukację młodego pokolenia. Mimo wieoletnich kontaktów tzw. komisji podreżnikowych, tak polskie jak i zachodni-niemieckie podręczniki historii — cały czas mam na myśli wzajemną wiedzę o najnowszych dziejach obu naszych nar-

od — są do-
kładnym przeciwieństwem tego, czego powinniśmy oczekiwać. Zapewne niemiecka strona we wspomnianych komisjach podreżnikowych nie była skłonna wysłuchiwać dezzyderatów strony polskiej (ściślej PRL-owskiej), skoro ta ostatnia, ze względu na ideologicznych, na krok nawet nie odstępowała od wersji, jaka obowiązywała

Wojna o międzynarodowe gwarancje dla tych granic determinowała polską politykę zagraniczną całego międzywojennego dwudziestolecia. Nie przyniosła jednak powodzenia. Nie uchroniła Polski przed ponownym rozbiorem, dokonanym tym razem wspólnie przez hitlerowskie Niemcy i Związek Sowiecki. Trudno więc dzisiaj zdziwić się polskiemu wyczuleniu na sprawę granic. Śięganie do historycznych doświadczeń nastawa się automatycznie, choć oczywiste polityczne realia w Europie różnią się jednak dość zasadniczo.

Analizie do obecnej sytuacji znaleźć można w roku 1925, gdy Zachód, zwłaszcza Francja, szukała uzyskania gwarancji swych granic z Niemcami. Zamiar ten zrealizowano podczas specjalnej w tym celu zwołanej konferencji w



Granice Niemiec z 1937 roku — niem. "Grenzen des Deutschen Reiches 1937." (linia ciągła). Na Konferencji Poczdamskiej oddano pod administrację polską tereny niemieckie na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej oraz część Prus Wschodnich — niem. "seit 1945 unter polnischer Verwaltung" (pozostała z Königsbergiem — pol. Królewiec — przypada Sowiecom). Linia przerywana oznaczono granicę polsko-niemiecką (niem. "Oder-Neiße-Linie").

to po pierwsze, a po drugie nigdy nie mieliśmy za naszą zachodnią granicą takich Niemiec, jakimi są one dzisiaj i jakimi będą jutro. Jest natomiast faktem, że Niemcy były, są i będą naszymi sąsiadami, z którymi jakoś musimy nasze wzajemne stosunki ułożyć. Wiele zresztą wskazuje na to, że akurat nie polityczne linie graniczne będą w przyszłej Europie ważne. Natomiast zawsze ważne pozostanie wzajemne zrozumienie obu sąsiadujących ze sobą narodów. Do tego zaś potrzebna jest niewątpliwie znajomość historii. Niezafalszowanej i niepodporządkowanej propagandowo polityce.

autorów przez całe ostatnie czterdziestopięcioletcie. Wersja ta kazała historyczny materiał filtrować zawsze w ten sposób, by rzekoma odwieczna "polskość" obszarów, które po II wojnie światowej znalazły się w polskich granicach, nie budziła najmniejszej wątpliwości. Oczekując więc nowych, rzetelnych podręczników historii w niemieckich szkołach, przystąpmy do odkłamywania naszych.

Wróćmy jednak do sprawy polsko-niemieckiej granicy.

Wbrew pozorom niewiele jest na świecie państw, dla których granice terytorialne mają tak kardynalne znaczenie



Wicepremier Mikołajczyk zdawał sobie sprawę, że ustanowienie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej wywołałoby nowy niemiecki rewizjonizm i niewolniczo uzależni Polskę od Moskwy.

w Lokarno. Polska usiłowała wówczas uzyskać takie same gwarancje dla swoich granic zachodnich – niestety bezskutecznie. Układy lokarneńskie, zawarte 16 października 1925 roku gwarantujące granicę niemiecko-francuską, a pomijające podobne gwarancje dla granicy niemiecko-polskiej, były kłeską polskiej polityki zagranicznej. Ale nie tylko polskiej. Wypadki pokazały, że brak solidarnej postawy Anglii i Francji i dbanie o własne jedynie interesy, odbiło się także na nich tragicznym rykoszetem w roku 1940. To, że dzisiaj świat tak jednomyślnie dopomina się o niemieckie gwarancje dla polskiej granicy z przyszłymi, zjednoczonymi Niemcami, jest więc zapewne, w jakimś sensie, nauką wyciągniętą z lekcji Lokarno.

O ile na kształt swych granic po I wojnie światowej Polska miała jednak pewien, choć ograniczony wpływ, tak nie miała go już zupełnie, po zakończeniu II wojny światowej. Wszystkie decyzje dotyczące polskich granic, tak na wschodzie jak i na zachodzie zostały podjęte arbitralnie przez Wielką Trójkę, de facto pod dyktando Stalina. W Moskwie bowiem powstał pomysł ustanowienia granicy polsko-niemieckiej na Odrze i Nysie Łużyckiej, czyli daleko

na zachód w stosunku doprzedwojennego stanu posiadania. Argumentowano to początkowo potrzebą rekompensaty wobec polskich strat terytorialnych na wschodzie.

Wielu ówczesnych niezależnych polskich polityków, w pierwszym rzędzie Mikołajczyk, który spośród nich miał wówczas najwięcej do powiedzenia, zdawało sobie sprawę z konsekwencji takiej "rekompensaty", która musiała wywołać nowy niemiecki rewizjonizm i niewolniczo uzależnić Polskę od Związku Sowieckiego. Zastrzeżenia Mikołajczyka zostały jednak zignorowane i przegłosowane przez posłusznych Moskwie przedstawicieli PKWN i TRJN.

Rozstrzygnięcie znalazło wyraz w komunikacie z Konferencji Poczdamskiej z 2 sierpnia 1945 roku. Czytamy w nim:

"Szefowie trzech rządów są zgodni co do tego, że zanim nastąpi ostateczne określenie granicy Polski, byle niemieckie terytoria na wschód od linii biegnącej od Morza Bałtyckiego i bezpośrednio na zachód od Świnoujścia i stąd wzdłuż rzeki Odry do miejsca, gdzie wpada zachodnia Nysa, i wzdłuż zachodniej Nysy do granicy czeskosłowackiej łącznie z tą częścią Prus Wschodnich, która nie została oddana pod administrację ZSSR (...) i włączając obszar byłego Wolnego Miasta Gdańska, powinny znajdować się pod

zarządem państwa polskiego i pod tym względem nie powinny być uważane za część sowieckiej strefy okupacyjnej Niemiec."

Tak więc rozstrzygnięcie to wcale nie było zamierzone jako ostateczne, co zresztą tym bardziej godziło w interesy Polski. Z jednej strony uznano tymczasowość linii granicznej Odra-Nysa Łużycka (do czasu zwołania konferencji pokojowej) – z drugiej zdecydowano o natychmiastowym przystąpieniu do wysiedleń z oddanych polskiej administracji terytoriów zamieszkałej tam ludności niemieckiej. Zaplanowano w ten sposób nieuchronną wrogość między nową Polską a Niemcami, którym jednocześnie – jakby pośrednio – przyznano prawo upominania się w przyszłości o ziemię oddaną jedynie "pod polską administrację". Interesu Stanów Zjednoczonych czy Wielkiej Brytanii trudno się dopatrzeć. Natomiast Moskwa zapewniała sobie w ten sposób przymusową lojalność przyszłych władz polskich, nawet gdyby kiedyś miałyby być one niekoniernie programowo prosowieckie. Niedawne negatywne ustosunkowanie się premiera Mazowieckiego do szybkiego wycofania wojsk sowieckich z Polski, jest wymownym przykładem dalszej aktualności tej tezy.

Już w 1950 r. Niemiecka Republika Demokratyczna, powstała w miejscu sowieckiej strefy okupacyjnej, uznała granicę na Odrze i Nysie za obowiązującą granicę państwową – co było niewątpliwie nie tyle aktem dobrej woli wschodnich Niemców, ile kolejną grą Moskwy. To nie Niemiec w ogóle mieli się odąd obawiać Polacy, lecz już jedynie rewizjonistycznie nastawionych Niemiec Zachodnich. Niezwykle chętnie pokazywało się w Polsce drażniące niemieckie mapki z podręczników szkolnych lub szkice niemieckich prognoz pogodowych, na których zachodnia część Polski oznaczana jest jako *Gebiete unter polnischer Verwaltung* – terytoria pod polską administracją. Te, budzące zrozumiałe przecież sprzeciw Polaków mapki, oddają jednak jedynie to, co zakomunikowały na konferencji poczdamskiej trzy alianckie mocarstwa. Inną



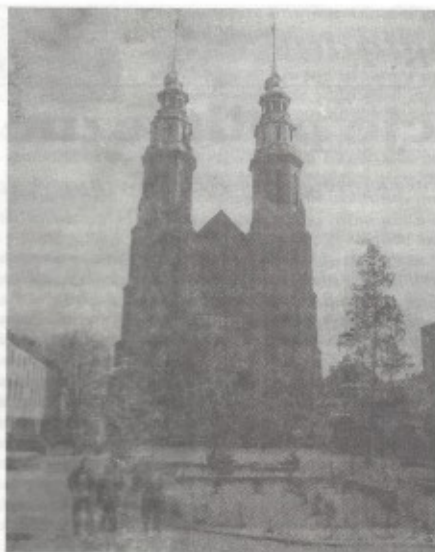
Granice Polski z 1938 roku Wielka Encyklopedia Powszechna, PWN, Warszawa

sprawą pozostaje natomiast odpowiedź na pytanie, czemu służyć mają podawane przez zachodni-niemiecką telewizję informacje o pogodzie na terenach, które co prawda określono przed 45 laty jako terytoria o nieprzesądzonej przynależności państwowej, ale które od tego czasu zamieszkuje kolejne już, zrodzone tam pokolenie Polaków?

W 1972 r. ratyfikowano w zachodni-niemieckim Bundestagu podpisane dwa lata wcześniej układy RFN z ZSSR i PRL, uznające zachodnią granicę Polski. Ratyfikacja ta przeszła jednak ze specjalnym zastrzeżeniem w postaci rezolucji Bundestagu głoszącej, że układy te nie przesądzają treści przyszłego traktatu pokojowego z Niemcami i nie są prawnym uzasadnieniem obecnie istniejących granic.

Odwrotnie niż Niemcy, komunistyczne władze Polski Ludowej szybko wyrzuciły z propagandowego języka argumenty o rekompensacie i ukrywały nietrwałość charakteru decyzji poczdamskich w sprawie polskiej granicy zachodniej. Nabytki na zachodzie określać zaczęto jako stare, piastowskie "ziemie odzyskane". Przystąpiono do wymazywania jakichkolwiek śladów niemieckiej przeszłości tych ziem. Odsuwano w zapomnienie niemieckie nazwy, traktując je jako germanizacyjne próby poprzednich, tymczasowych właścicieli tych ziem. Z historyczną uczciwością zabiegi te niewiele miały wspólnego. W powojennej Polsce wychowano całe pokolenia w nieugiętym przeświadczeniu, że obecne polskie granice obejmują terytoria, na których naród polski rozwijał się od niepamiętnych czasów.

Niemcy mają więc niewątpliwe powody do kwestionowania



"Nabytki na zachodzie określać zaczęto jako stare, piastowskie "ziemie odzyskane". Na zdjęciu Katedra w Opolu.

tej oficjalnej wersji historii Polski. Niezależnie od faktu nieodwracalności utraty przez nich wschodnich prowincji, nie można wymagać, by jednocześnie wyrzekli się ważnej części swego historycznego dziedzictwa. Dziesiątki miejscowości na "ziemiach odzyskanych" zapelniają dzieła niemieckiej przeciwieństwa, a nie polskiej architektury. W miejscach tych żyli i działali wybitni twórcy niemieckiej nauki i kultury, który to fakt wymazany został z historii tych miejscowości. Dzisiaj, na progu nowej ery w stosunkach polsko-niemieckich warto o tym także pamiętać. Nie zaprzecza to przecież faktom, iż w 1945 r. dokonano zmian, które muszą już pozostać ostateczne. Nikt przecież,



"Przystąpiono do wymazywania jakichkolwiek śladów niemieckiej przeszłości tych ziem." Na zdjęciu ruiny zamku w Lubowitz k. Raciborza (niem. Ratibor) miejscu urodzenia Josepha von Eichendorffa, znanego niemieckiego poety i prozaka.

także w Niemczech, nie wątpi, iż zmiana obecnego status quo oznacza kataklizm nowej wojny, a chyba niewielu tylko Niemców może nie wiedzieć, co to oznacza.

Warto też na zakończenie pokusić się o przykład z drugiej strony polskiego terytorium państwowego, gdzie podobnie narzucone przemocą rozdzielanie dwu historycznie zwaśnionych narodów; polskiego i ukraińskiego, dało w rezultacie okazję do wytchnienia i głębokiej, uczciwej refleksji.

Nie sądzę też, by jakkolwiek polski polityk odmówił gwarancji dla przyszłej granicy polsko-ukraińskiej w takim jej przebiegu, w jakim zarysowana jest ona obecnie.

Witold Pronobis

Przesiedleńcy z Polski

299 tys. przesiedleńców z Europy Wschodniej i Południowej w tym 53.000 z Polski przybyło do Republiki Federalnej Niemiec od stycznia bieżącego roku. Dlatego też rząd federalny RFN przygotował nową ustawę, według której uznanie obywatelstwa niemieckiego ma nastąpić w kraju zamieszkania — podał: telewizja ARD w dniu 29.03.90.

Drukarnia Polska KONTRAST

Breitensteinstrasse 33
D-8209 Schlossberg-Rosenheim
w 08931 / 7777

wykonuje:

książki, broszury, czasopisma, katalogi, prospekty, odezwy, ulotki, blankiety, karty święteczne i wizytowe oraz wszelkie inne prywatne, społeczne, naukowe i przemysłowe druki.

Skład elektroniczny we wszystkich językach europejskich, głównie w polskim i rosyjskim.

Solidne wykonanie — ceny umiarkowane

Dla P.T. Autorów aktualny niszczanie długoterminowy kredyt.

Polskie opcje polityczne

z postem Januszem Onyszkiewiczem rozmawiają Adam Kowalski i Zbigniew Żbikowski



Janusz Onyszkiewicz

fol. Jarosław M. Gólszewski

"Pogląd" — *Do niedawna numer Pańskiego domowego telefonu znalazł każdy dziennikarz. Teraz zmienił Pan ten numer, porozumiewał się z Panem trzeba przez sekretarkę. Co to, próbuje Pan wpuścić się w nową nomenklaturę?*

Janusz Onyszkiewicz — Mam nadzieję, że nie. Ale istotnie, jeszcze przed wyborami sfinalizowaliśmy długotrwałą

pojawilo się tylko dwóch nowych ludzi, minister i wiceminister, na kilkuset pracujących. Czyli nie bardzo to odpowiada posądzeniom o chęć stworzenia nowej nomenklatury. Te zmiany, które obserwujemy na rozmaitych stanowiskach, są widoczne i spektakularne, zapowiadają ogólną tendencję i kierunek, ale nie są one ani szybkie, ani masowe.

— Dobrze, ale dlaczego Pan pozostaje w cieniu? Z takim życiorysem, zasługami, umiejętnościami.

— Wielu jest takich, którzy nie wiedzą, co chcą robić w życiu i z nimi jest wielki kłopot. Ze mną też jest kłopot, bo ja wiem, czego chcę.

— Zestawiając Pana dotychczasowe funkcje, trudno doszukać się tam przypadku.

— Chciałbym zajmować się sprawami zagranicznymi i zajmuję się nimi, chociaż nie jestem w rządzie, a w Sejmie, gdzie mam funkcję przewodniczącego Komisji Zagranicznej OKP. Jest to w tej chwili ogromnie fascynujące, bo dożyliśmy takiego momentu w historii, w którym niemalże wszystko jest możliwe. Pojawiają się pytania, na które trzeba będzie wkrótce odpowiedzieć: o przyszłość Europy, o nasze w niej miejsce, o to, co robić z RWPG, z Paktem Warszawskim, o nowy system bezpieczeństwa itd. Poza tym, nie było tak, żeby mi niczego nie proponowano. Uważałem jednak, że na tamte stanowiska są inni ludzie, tak samo dobrzy, a może nawet lepsi i nie dałem się przekonać, aby "dla dobrej sprawy" odstąpić od swoich zainteresowań.

— To brzmi wzruszająco, ale byłby Pan np. dobrym rzecznikiem prasowym rządu.

— Kiedy pan Mazowiecki wrócił do Sejmu po uzyskaniu nominacji na premiera, spojrział na mnie i powiedział: Będziemy potrzebowali rzecznika prasowego rządu. Na co ja odpowiedziałem, że pół roku temu słyszałem jego słowa, że gdyby on został premierem, zatrudniłby Urbana. I dodałem: no, to kobyłka u plotu. On jednak z mojej rady jakoś nie skorzystał... Ja natomiast rzecznikiem być nie chciałem i to bardzo zdecydowanie. Bądźmy szczerzy, byłem tym rzecznikiem przez kilka lat, to mi spowszedniało, poza tym straciłem pewną świeżość, która do tej roli jest potrzebna. Do tego dołączył fakt wybrania mnie na posła. A jak sądzę, nie można łączyć funkcji rzecznika i posła dlatego, że kiedy przemawia się w Sejmie, powinno się mówić w imieniu swoich wyborców, a nie w imieniu organizacji czy urzędu, którego jest się rzecznikiem.

— Zapewnie zetknął się Pan z opinią, że nasza polityka zagraniczna jest zbyt selektywna, a przez to nie najlepsza. Z nadzieją patrzymy na bogate państwa Zachodu, z pewnym lękiem na jednoczącą się Niemcy, a zaniedbujemy naj-

Janusz Onyszkiewicz, lat 53, dr matematyki, starszy wykładowca na Uniwersytecie Warszawskim. Specjalista z zakresu teorii mnogości i logiki matematycznej. Znawca gór i grot, wspinacz wysokościowy. W 1981 r. został rzecznikiem prasowym NSZZ "Solidarność" i członkiem Komisji Krajowej. Rzecznik opozycji solidarnościowej podczas obrad "okrągłego stołu". Poseł na Sejm X kadencji. Członek Sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych. Przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych OKP.

»...nie odmawiać żadnemu narodowi prawa do decydowania o własnym losie...«

blźszych sprzymierzeńców i sąsiadów: Czechosłowacji, Węgry, Białoruś, Ukrainę...

— Mam nadzieję, że tak nie jest. Węgry są w okresie przedwyborczym i bardzo trudno nawiązać z nimi kontakty polityczne, bo, po pierwsze, nie wiadomo z kim, po drugie, tam opozycja jest bardzo ze sobą skłócona. Kiedy byliśmy w Rzymie na trójstronnej konferencji zorganizowanej przez Włochów, to jednak nie udało się doprowadzić do spotkania polsko-węgierskiego. Być może były jakieś względy techniczne, że Węgrzy to umówione spotkanie odwołał, ale odniosłem wrażenie, że oni nie bardzo chcieli znaleźć się w sytuacji, gdzie stanowiliby jedną stronę rozmów. Nasze stosunki z Czechosłowacją są znacznie lepsze, ponieważ tam mamy lepszych partnerów politycznych. Chociaż, prawdę mówiąc, to wciąż kontakty natury towarzyskiej, które dopiero podnoszone są do szczebla parlamentarnego.

— *Fatalnie wygląda współpraca gospodarcza.*

— Chyba dlatego, że Czechosłowacja jest ciągle w innym systemie gospodarczym; oni w gruncie rzeczy nie wyszli z systemu nakazowo-rozdzielczego. Nie zdecydowali się na tak szybką i gruntowną reformę gospodarczą, jak my, bo wielu z nich żywi nadzieję, że ten starsy system można, drogą korekt i ulepszeń, zmienić w system racjonalny. To iluzja, ale trochę czasu jeszcze upłynie, zanim oni do takiego wniosku dojdą.

— *Ich sytuacja gospodarcza zawsze była lepsza od naszej, może więc mogą trochę poczekać, może nie muszą wszyskiego robić naraz?... A co z republikami bałtyckimi?*

— Jeśli chodzi o republiki bałtyckie, to sprawa jest prostsza; tam są dokładnie wyklarowane struktury polityczne, rozpoczął się też proces tworzenia autonomicznych gospodarek, a to otwiera nowe możliwości współpracy między Polską a Litwą, Łotwą i Estonią. I to niemalże na takich zasadach, na jakich przebiega normalna współpraca między poszczególnymi krajami. Mówię "niemalże", bo nie jest jeszcze do końca jasny status tych trzech krajów, nie wiemy, czym się ten ruch do niepodległości zakończy. Natomiast jeśli chodzi o Białoruś i Ukrainę, sytuacja jest jednak inna. Tam te procesy są powolniejsze, nie tak wyklarowane. Poza tym mamy świadomość, że Ukra-

ina jest podzielona. Jest Ukraina Zachodnia, gdzie stopień narodowych aspiracji jest większy niż w Ukrainie Centralnej i Wschodniej. To podział historyczny, na który nakłada się podział religijny i nie jest całkowicie pewne, jak potoczą się losy Ukrainy. W ogóle pytanie, co stanie się z Związkiem Radzieckim, jest tak trudne, że nie potrafia na nie odpowiedzieć sami Rosjanie czy politycy radzieccy. Rozważane są różne scenariusze wydarzeń, włącznie ze scenariuszem wojny domowej. Chodzi o to, by oczywiście nie odmawiać żadnemu narodowi prawa do decydowania o własnym losie, ale jednocześnie nie wpływać na nic, co mogłoby powodować całkowitą destabilizację w Związku Radzieckim. I dlatego, mając kontakty i z Białorusią, i z Ukrainą, staramy się być ostrożni. Bo gdyby destabilizacja sytuacji w Związku Radzieckim poszła tak daleko, że staliśmy się świadkami czegoś na kształt wojny domowej, byłaby to i dla nas, i dla wszystkich perspektywa przerażająca. Nikt przecież nie wie, jak może wyglądać wojna domowa w mocarstwie atomowym, nikt nie wie, co może się zdarzyć, kiedy jakaś walcząca grupa opanuje elektrownię atomową i stawiając swoje żądania, zagrozi wysadzeniem jej w powietrze...

— *Przenieśmy się na zachodnią granicę. Oświadczenia polityków niemieckich raz budziły niepokój, raz wprowadza-*



"Lech Wałęsa jest samodzielnym elementem władzy" fot. Demetri

»...byłoby dobrze... gdyby Amerykanie pozostali w Europie Zachodniej a Rosjanie na terytorium dzisiejszego NRD.«

działy uspokojenie. Oczywiście chodzi o różnych polityków, choć niezupełnie...

— Przede wszystkim padły różne oświadczenia ze strony kanclerza Kohla i to wprowadzało element olbrzymiej niepewności. Stanowisko innych sił politycznych, takich jak liberalowie, socjal-demokraci, zieloni, od początku było jasne. A problem naszych zachodnich partnerów, tak myślę, nie jest problemem Polski, bo te granice są nie do zmienienia. Jesteśmy tam nie z własnego wyboru...

— *W tym miała się podobno objawić chytrność Szałina; tak wyczał granicę między Polską a Niemcami, żeby nas na zawsze wepchnął w ręce Rosjan.*

— Ale myślę, że Stalin o tyle się przeliczył, że w Niemczech są wystarczająco duże siły, żeby tę granicę zaakceptować, godząc się ze skutkami II wojny światowej. Niemcy udowodniły sobie i światu, że siła państwa, jego zasobność, wcale nie musi być mierzona obszarem terytorium, jakie ono zajmuje. Niemcy Zachodnie budowały obraz kraju, który dokonał przewartościowania swojej przeszłości, chcą widzieć siebie jako kraj zakotwiczony w Europie, zintegrowany z Europą, który chce pojednania polsko-niemieckiego w ramach istniejących granic. Wszelkie więc wahanie w sprawie uznania tych granic może postawić pod znakiem zapytania wiarygodność tego wszystkiego, co Niemcy budowali przez kilkadziesiąt lat... A my z okresu stanu wojennego w Polsce wiemy, że wiarygodność można budować przez dziesięciolecia, a stracić ją można w pięć minut głupim wystąpieniem w telewizji.

— *Przy okazji rozstrząsania spraw polsko-niemieckich wypłynęła ponownie kwestia obecności wojsk sowieckich w Polsce. Może nie warto ich tak szybko wypuszczać?*

— Byłbym przeciwny temu, żeby przesuwać linię oddzielającą NATO i Układ Warszawski z Łąby nad Odrę. Uważam, że byłoby dobrze, choćby z racji komfortu psychicznego, gdyby Amerykanie pozostali w Europie Zachodniej a Rosjanie na terytorium dzisiejszej NRD. Ale trzeba by pomyśleć o poważnej redukcji wojsk radzieckich, aby uniknąć takiej sytuacji, w której ogromne ilości tych wojsk mogłyby wzbudzać resentmenty narodowe w Niemczech. Jeśli zaś chodzi o Polskę, to jest to sprawa



"...duża część opozycji cierpi na zasadniczy niedowład: orzeł ma mieć koronę... musi być Rzeczpospolita..." fot. Jarosław M. Gólszowski

wtrąca w tym sensie, że tak długo, jak długo są wojska radzieckie na terytorium NRD, musi być jakaś radziecka obecność wojskowa również w Polsce, chociażby po to, żeby zapewniać sprawny przepływ zaopatrzenia, obsługę linii komunikacyjnych itd. Sytuacja zmieniła się, teraz te wojska to już nie symbol naszego zniewolenia, tylko element pewnego układu politycznego. A czy wojska radzieckie stacjonujące w Polsce powinny mieć oddziały operacyjne, to inna sprawa. Ja myślę, że nie. Bo te dwie dywizje, które teraz u nas są, nie mogą być traktowane jako rezerwa strategiczna. Po prostu, zbyt szcuple to siły i wobec tego ich pobyt tutaj nie jest konieczny... Czy wycofywać szybko? Czesi bardzo się spieszyli, chcąc osiągnąć spektakularny sukces, po czym okazało się, że z najrozmaitszych powodów nie jest to możliwe i zgodzono się na półtoraroczny okres wycofywania wojsk radzieckich.

— No dobrze, a jeśli sytuacja w Związku Sowieckim aż tak "się wahnie", że do władzy dojdzie partynja konserwa i będzie chciała przywrócić uległość w dawnych państwach satelickich; co wtedy?

— W końcu z Legnicy czy z granicy zachodniej jest znacznie dalej do Warszawy niż z granicy wschodniej. A te oddziały żołnierzy radzieckich stacjonujące w Polsce, to zbyt mała siła, aby mogły one spełnić funkcje policyjne.

— Tak czy inaczej, po komunizmie

trzeba posprzątać i zbudować nowe struktury polityczne, gospodarcze, społeczne, a to wymaga ciągłych wyborów i decyzji. Jakże są teraz główne ośrodki władzy w Polsce?

— Jest ich kilka. Jest rząd, parlament, prezydent, choć myślę, że jest to ośrodek o znacznie mniejszej sile oddziaływania, no i wreszcie "Solidarność", i Lech Wałęsa, który jest samodzielnym elementem władzy, zważywszy na pozycję, jaką zajmują w naszym życiu politycznym.

— Jak układa się współpraca między Warszawą i Gdańskiem?

— Ta współpraca istnieje, choć domyślam się, że nie codziennie Mazowiecki dzwoni do Wałęsy czy też na odwrót. Podobnie zresztą jest między OKP i Wałęsą. Obok naturalnych różnic istnieje tu pewien rodzaj więzi, wynikający nie tylko z przeszłości, wspólnego etosu, ale łączący nas wspólna determinacja, żeby rzecz całą doprowadzić do sukcesu.

— A dlaczego słaby jest NSZZ "Solidarność"?

— "Solidarność" jest teraz znacznie słabsza, ponieważ inne były oczekiwania społeczne. W roku 1980 panowało powszechne, choć jak się wkrótce okazało fałszywe, przekonanie, że w gruncie rzeczy sytuacja nie jest zła, towarów jest dużo, tylko rząd ukrywa je w jakichś przepastnych magazynach. Wystarczy więc je odnaleźć, sprawiedliwie podzielić i wszystko się samo uładzi. Kiedy okazało się, że takich magazynów nie ma, a zaczęło się to okazywać już pod koniec 1981 roku, związek zawodowy przestał być panaceum na taką sytuację, trzeba było szukać rozwiązań politycznych... Proszę sobie przypomnieć, jak po sfinalizowaniu rozmów "okrągłego stołu" żywiołowo rozwijały się komitety obywatelskie, jak to przypominało działania z roku 1980. W ciągu półtora miesiąca sieć komitetów pokryła cały kraj...

— Błędem więc była decyzja Lecha Wałęsy, rozwiązująca te komitety?

— Przyznam, że był to dla mnie moment niebywale trudny, bo jako rzecznik "Solidarności" musiałem przedstawiać stanowisko, z którym się głęboko nie godziłem. A gdybym wtedy zrezygnował z tej funkcji, mogłoby to dodatkowo sytuację skomplikować. Teraz mogę powiedzieć otwarcie: to był błąd. Ale komitety znowu są, bo muszą być, bo to logiczne, życiowe.

»...nasze doświadczenia pokazują, że czasem przydałoby się trochę autentycznej opozycji i pluralizmu.«

— Czy logika też sprawi, że z czasem przeksztalczą się one w partię polityczną?

— Prawie na pewno nie, ponieważ zbyt duży pluralizm polityczny charakteryzuje ludzi, działających w komitetach. Już szybciej może powstać z tego kilka partii. Ale jeszcze przez pewien czas komitety pozostaną ruchem na rzecz reform politycznych i gospodarczych. Jak długo taki układ się utrzyma, tego nie wiem, ale niechęć do partii politycznych, jaką obserwujemy w Polsce, czyni go prawdopodobnym również w przyszłości. Proszę zwrócić uwagę, że u nas termin "polityk" w powszechnym odbiorze niestety znaczy: "ktoś żądny władzy". I tym terminem określa się chyba tylko Moczulski. Podobnie z partiami; jeżeli w katolickiej Polsce partia chrześcijańsko-demokratyczna, która rozpoczęła swój polityczny byt od mszy św., celebrowanej przez ks. prymasa i po dłuższym okresie istnienia ma raptem 2 tys. członków, to chyba nie jest świadectwo, że Polacy tylko czekają na partie polityczne. Ale jeśli stanie się tak, że w przyszłych wyborach ruch "Solidarności" miałby zdominować układ polityczny, tak jak zdominował Senat, to wcale nie będzie dobrze, bo nasze



"Jak długo są wojska radzieckie na terytorium NRD, musi być jakaś radziecka obecność wojskowa również w Polsce..." fot. Jarosław M. Gólszowski

doświadczenia pokazują, że czasem przydałoby się trochę autentycznej opozycji i pluralizmu.

— *No proszę... A jak Pan reaguje na krytykę pozaparlamentarną, antyokapowską i nie postkomunistyczną? Czy opozycja podnosi idee godne analizy i zaakceptowania?*

— Podnoszą idee, które my realizujemy cały czas. I dobrze, że jest taka opozycja, bo nie pozwala zasnąć i czasem zwraca uwagę na rzeczy, które myśmy zakwalifikowali jako takie, które trzeba rozwiązać, ale może jeszcze nie w tej chwili, więc możemy przeorientować tryb załatwiania tych spraw. To tyle... Bo wzruszeniem ramion kwitujemy zarzut, że były tajne porozumienia w czasie rozmów "okrągłego stołu"...

— *W Magdalence też nic nie było?*

— Po tym wszystkim, co stało się z partią komunistyczną, czyż oni nie wyciągnęliby tej umowy i nie zażądali dotrzymania jej punktów? No przecież dawno by to zrobili! A nie zrobili tego, bo niczego takiego nie było i nie ma... Kiedy Urban próbował mówić, że była umowa w Magdalence co do tego, że Jaruzelski zostanie prezydentem i ja to zdementowałem, on potem musiał przyznać, że faktycznie, takiej umowy nie było, że to wynikało z ogólnej atmosfery, z ducha, że coś tam... I to jest jedyna rzecz, która wprawia nas w pewną irytację. Poza tym duża część tej opozycji cierpi

»Jeżeli nie będzie takiej konstytucji, którą moglibyśmy uznać za najlepszą z możliwych, to nie pójdziemy na żadne układy i będziemy musieli doprowadzić do kryzysu parlamentarnego i nowych wyborów.«

na zasadniczy niedowład, polegający na tym, że cały program sprowadza się do hasła: Polska powinna być niepodległa i suwerenna. Ale jeśli zapytać ich, jak to hasło ma być ucieleśnione, to okazuje się, że oni wtedy uciekają w symbole: że orzeł ma mieć koronę. No już me, na mój osobisty gust, trochę za wczesnie. Co tam jeszcze: że musi być Rzeczpospolita...

— *... że muszą być wolne wybory...*

— Muszą być, tylko zafundować sobie w tym roku dwa razy wolne wybory, to jakby przesada, poczekajmy!

— *... że ten Sejm nie powinien uchylać konstytucji...*

— Gdybyśmy chociaż mówili: trudno, konstytucja mogłaby być lepsza, ale ze względu na skład tego Sejmu, musimy się zgodzić na kompromisy. Ale my przecież tego nie zrobimy! Jeżeli nie będzie takiej konstytucji, którą moglibyśmy uznać za najlepszą z możliwych, to nie pójdziemy na żadne układy i będziemy

musieli doprowadzić do kryzysu parlamentarnego i nowych wyborów. Ale wcześniej chcemy spróbować.

— *... że jednak wyzeczkiwanie i dużo marazmu.*

— Jako poseł często słyszę: tam w Warszawie, w Sejmie, zmienili się, ale u nas na dole, w gminie, wszystko zostało po staremu. Nie ma co prawda partii, ale jest układ klik, mafia, popierają się kumpel. Komitety obywatelskie pełnią ważną rolę, jednak nie zawsze są w stanie z tymi układami się uporać. Dlatego tak ogromne znaczenie będą miały wybory do samorządów. To może przełamać impas i marazm, to będzie znaczyło, że proces demokratyzacji posuwa się, schodzi "pod strzechy". A najistotniejsze w tym wszystkim jest to, żeby przekonać ludzi, że naprawdę wszystko jest w ich rękach.

— *Podobno ma Pan być ambasadorem w Waszyngtonie...*

— Nie, to nieprawda. Gdyby tak było, musiałbym złożyć mandat. A jak by to wyglądało? Ludzie mówiliby: O, myśmy go wybrali, a on się odbił od tego jak od trampoliny i pojechał na ciepłą posadę za granicę. Dziękuję bardzo, ale ja tego zrobić nie mogę... Pomijając już fakt, że w Polsce jest znacznie ciekawiej.

— *Dziękujemy Panu za rozmowę.*

7 marca 1990

Rozmawiali: Adam Kowalski
i Zbigniew Żbikowski

Czym jest "Solidarność"?

Krzysztof Wolicki informuje francuskich czytelników w paryskim tygodniowym magazynie politycznym *Le Point*, czym jest dzisiaj "Solidarność". Oto skrót jego ocen:

Czasami trudno jest unieść swoje zwycięstwo. "Solidarność" po zniknięciu partii komunistycznej, głównego przeciwnika, zaczyna tracić zaufanie swoich zwolenników. Przed zdobyciem władzy siła "Solidarności" polegała na jej osobliwym kształcie: była jednocześnie związkiem zawodowym i ruchem społeczno-politycznym. Otóż dzisiaj ta dwoistość stała się niedogodnością i działa na jej niekorzyść. Liczebność "Solidarności" stanowi 20% stanu z roku '81. Jej struktura jest zdominowana przez wielkie przedsiębiorstwa przemysłu ciężkiego, które jako pierwsze zostają dotknięte bezrobociem, a w przyszłości zagrożone są likwidacją. (...)

Lech Wałęsa zaproponował jako pierwszy wycofanie wojsk sowiec-

kich. Rzecznik prasowy natychmiast podał do wiadomości, że pomysł ten nie wyszedł z gabinetu Mazowieckiego. Ale po upływie miesiąca rząd sowiecki zadeklarował gotowość podjęcia negocjacji, jeśli tylko Warszawa zwróci się z takim wnioskiem. Skoro Wałęsa wystąpił oficjalnie — poza rządem — to tylko po to, by stać się samowładnym królem. (...)

Przed kilkoma miesiącami oświadczył zdumionym słuchaczom, że nie chce związku zbyt silnego, gdyż kępowałby on reformy gospodarcze. Teraz przywódca z Gdańska wydaje się żałować tego stwierdzenia. Dla ziszczenia swoich nowych ambicji, potrzebuje związku silnego, który mógłby stanowić późniejszą bazę dla partii wałęsowskiej. (...)

Na trzy miesiące przed wyborami samorządowymi scena polityczna pozostaje pod dominacją "Solidarności", ale głos decydujący ma tu ruch komitetów obywatelskich. Aby mogły odnieść nowy sukces muszą — jak w ubiegłym roku — postawić na jedność i solidarność. Ale stan ducha Polaków nie wskazuje już na to, by poparli oni te dwa hasła. Skoro partia komunistyczna — nieprzyjaciel wewnętrzny — nie istnieje, skoro jej imperium runęło, święta jedność nie wydaje się już Polakom niezbędna. I wreszcie życie codzienne stało się tak trudne, że najprostsza solidarność stopniowo się wykrusza.

Być może więc "Solidarność", która zle zniósła swoje pierwsze wybory zwycięstwo, nie będzie w stanie uporać się z drugim.

("Le Point", z dn. 4.03.1990)

Trzeba oswajać Wałęsę z krytyką

— z psychoterapeutą Jackiem Santorskim rozmawia Anna Hadrysiewicz



Jack Santorski

fol. Marian Stefanowski

— Należy Pan do nielicznego grona najaktywniejszych i najwyżej cenionych polskich psychoterapeutów. Czy ktoś z ludzi sprawujących obecnie władzę w Polsce był Pana pacjentem lub korzystał z Pana konsultacji?

— Z oczywistych względów nie odpowiem na to pytanie.

— Czy ufa Pan członkom obecnego rządu?

— Ufam ludziom, którzy sprawują władzę nie z potrzeby żądzy jej posiadania. Mogę więc mówić o zaufaniu do niektórych osób. Część rządu to naukowcy, profesjonalści określonych dziedzin. Mam wrażenie, że zostali oni namówieni do zajęcia stanowisk pod presją moralnej odpowiedzialności za kraj. Myślę tu o takich ludziach jak premier Mazowiecki, minister Skubiszewski, profesor Trze-

ciakowski. To osoby, które wzbudzają moje zaufanie. Nie są profesjonalistami w dziedzinie władzy. Mogą się przez to gubić, popełniać błędy, ale w kryzysowych sytuacjach, na które polityk jest narazony, nie podejmują działań ukierunkowanych wyłącznie na zachowanie władzy.

— A co z tymi, którzy mają instynkt władzy?

— Obecny skład rządu stanowi wymieszanie tych dwóch kategorii ludzi. Ci z instynktem władzy energetyzują tych nastawionych wyłącznie na wartości.

— Czy obecny rząd daje społeczeństwu poczucie bezpieczeństwa?

— Ludzie sprawujący władzę sami są w głębokim stresie. Widać to między innymi w zewnętrznych znakach, jak spłycone oddychanie, podniesione ramiona, napięcie w ruchach. Stres ten wynika w dużej mierze z niekompetencji, bycia postawionym w nieoczekiwanej sytuacji. Wiele kroków podejmowanych przez członków rządu świadczy o lęku i stanie niepokoju. Społeczeństwo oczekuje na przykład rozliczenia poprzednich ekip. Rząd, być może w obawie przed konfrontacją a także przed własną agresją, nie w tym kierunku nie robi. Świadczy to o roztropności, ale i braku pewności siebie i to pomimo, że będący obecnie u władzy należą do nielicznych, którzy uzyskali zadośćuczynienie, choćby moralne, za deptyną godność.

Osobiście brakuje mi w sferach rządowych pogłębionej świadomości świata i siebie. Jednym z przejawów dysponowania tego rodzaju świadomością jest inny stosunek do własnego zdrowia. Na przykład nasi ministrowie i posłowie pokazują się w publicznych miejscach z papierosami w ustach. Dla mnie jest to symptom bez troskiej ignorancji w zakresie podstawowych wartości, które powinno się w Polsce ludziom przyswajać. Chodzi tu o wrażliwość zdrowotną, ekologiczną. Nie przez przypadek resort zdrowia został w nowym rządzie

obsadzony najsłabszymi ludźmi. Dzieją się tam ponure i przypominające dawną przeszłość historie. Polska jak każdy kraj chce być nowoczesnie rządzona. Stąd od ludzi sprawujących władzę oczekuje się uwrażliwienia nie tylko na kwestie wolności, demokracji i poprawy gospodarki. Z badań wynika, że poświęcenie własnego zdrowia w imię ważnych celów jest nadal dla Polaka źródłem chluby i metodą podwyższenia własnej wartości. Pytanie — dla kogo ma być ta wolność, dla kogo ta Polska? Dla umierających na raka i zawały?

— Skład rządu, to przede wszystkim walczący do niedawna działacze podziemia nastawieni na walkę i krytykę. Dzisiaj w całkiem odmiennych rolach. Jak widzi Pan tak nagłą zmianę?

— Pod koniec stanu wojennego przeprowadziliśmy dla działaczy samorządów solidarnościowych z dużych zakładów pracy w Warszawie psychologiczne warsztaty. Celem ich było przygotowanie do negocjacji. Korzystaliśmy z osiągnięć polskiej i amerykańskiej psychologii. Okazało się, że wielu uczestników spotkań nie było w stanie znaleźć się w sytuacji negocjacji, która nie jest walką.

Człowiek przywiązuje się do stereotypu funkcjonowania. Jeżeli sytuacja wymaga odejścia od tego, pojawia się stres. Nowe reguły, a w konsekwencji stereotypy, powstają w procesie destabilizacji, eksperymentowania. Stres pogłębia się, jeżeli eksperyment odbywa się na żywej i to bardzo przemęczonej tkance, którą stanowi nasze społeczeństwo. W takiej sytuacji zaczyna funkcjonować u niektórych polityków mechanizm regresji. Proszę sobie wyobrazić działacza opozycji X, który przez piętnaście lat swojej pracy dochodził do coraz nowocześniejszych form działalności opozycyjnej. Stał się mistrzem w tym zakresie. Nagle znalazł się w sytuacji, w której nie musi walczyć z ukrycia, tylko konstruować coś nowego. W poszukiwaniu wzorców do takiej postawy może odwołać się do wczesnych doświadczeń młodości, do swoich ideałów dobra, współczucia, wolności demokracji. A więc w sytuacji, która pozbawiła go dojrzałych mechaniz-

Jack Santorski, psychoterapeuta, lat 39, żonaty, troje dzieci. Współzałożyciel, obecnie współkierownik Laboratorium Psychoedukacji w Warszawie. Od '74 roku intensywnie pracuje z ludźmi, między innymi członkami obecnego establishmentu.

mów walki cofa się do swoich niedojrzałych mechanizmów konstruktywnego działania. I w takim działaniu może być on znacznie bardziej niedojrzały, aniżeli był w walce. Taką postawę przyjął Jacek Kuroń. Co wtorek nawołuje ludzi do wspólnego pomagania sobie, takiego na hura, czyta przy tym clikie listy od umęczonych codziennymi troskami ludzi. Typowe zachowanie młodego harcerza. Jako działacz opozycji miał daleko wyższą klasę aniżeli dzisiaj jako minister. Dlatego też pewne formy działania politycznego w Polsce przypominają dziewiętnastowieczny pozytywizm. Tego świat już nie robi. Przy obecnym rozwoju praktyk społecznych i politycznych istnieją nowocześniejsze rozwiązania.

— *Czy do sprawowania władzy niezbędny jest instynkt władcy?*

— Człowiek otwarty, uczuciowy (nie musi to być typ księcia Myszkina z "Idioty" Dostojewskiego) może okazać się zbyt wrażliwy, by wytrzymać frustracje związane z rolą polityka. A człowiek nakręcony instynktem władcy jest w stanie kosztem swojego zdrowia psychicznego i fizycznego daną funkcję sprawować. Dla mnie samego jest to pytanie, na ile instynkt władcy stanowi niezbędny motor motywacyjny. Ewolucja i rozwój świadomości obecnych czasów doprowadzi chyba do tego, że ludzie nie tylko inteligentni, z temperamentem działacza, ale również z wrażliwością, będą mogli kompetentnie sprawować władzę. Takim politykiem był na przykład amerykański mąż stanu, Benjamin Franklin.

Prótwa władzy może być motorem różnorodnym celem, którym służy. Człowiek pozbawiony tego motoru może nie mieć dosyć motywacji, aby w swojej roli wytrwać. Tak więc napęd jest potrzebny, ale prowadzi do pułapek. Zdarza się, że potrzeba władzy zautonomizuje się i staje się ważniejsza od celów i wartości, którym służy. Jako doradca czy terapeuta obserwowałem ludzi zajmujących dzisiaj ważne stanowiska. Mam dowody na to, że ci sami, którzy służą wspaniałym ideałom politycznym, stosowali i stosują w swoim życiu rodzinnym przemoc, nie mają kontaktu z dziećmi. Nasuwa to wątpliwości, na ile głęboko przeżywają i rozumieją wartości, którym służą.

— *Coraz więcej osób obserwuje z podziwem ale i niepokojem, zmiany w postawie Wałęsy. Co Pan o nim sądzi?*

— Wypowiedzi Wałęsy mogą świadczyć o tym, że jest on zagrożony tak zwanym *power trip* — odbiciem poczucia mocy. Powtarza często: "Powiedzcie mi, a ja wam to załatwię". Czyli, że postrzega siebie jako kogoś bardzo specjalnego i

nie widzi granic własnych możliwości. Człowiek, który w tak krótkim czasie rozwinął tak dużą klasę polityczną, w poważnych deklaracjach, w bardziej ogólnym komunikacie, który wypływa z jego zachowania, przekracza poziom swoich kompetencji. Zgodnie z teorią, że każdy dąży do szczybla własnych niekompetencji, on wpada właśnie w tę pułapkę. Wiem też, że większość spotkań Wałęsy z dyplomatami, przedstawicielami świata kultury, ma charakter spektaklu, monologu. Spotkania są mu potrzebne do autoprezentacji. Zaproszeni wypowiadają się z przekąsem, że u Wałęsy było wspaniale, tylko nie dał im dojść do głosu. W polityce nie ma jednoznacznego posłuchu czy wpływu. Wałęsa stoi na granicy wyalienowania się od idei, którą reprezentuje i dojścia do narcyzyzmu satysfakcji z posiadania nieograniczonego wpływu. Tego rodzaju postawę reprezentował jego zapiekły wróg Rakowski. Nie zdziwiłbym się, gdyby głębsza analiza charakterologiczna wykazała podobieństwo między nimi, zwłaszcza w obszarze kreacji własnego "ja". Podobieństwa są tu o tyle trudne do wychwylenia, że jeden sprzedał duszę diabłu, drugi służył świętej sprawie.

— *Jako psychoterapeuta uczestniczący w życiu politycznym kraju nie może Pan po prostu powiedzieć tego Wałęsie?*

— Ludzie o tak narcyzyzmu konstrukcji jest w stanie przyjmować informacji zwrotnych. Przekazanie krytycznych uwag komuś zahipnotyzowanemu własną mocą wywołuje jedynie opór.

— *Czy można wobec tego sugerować tego typu opinię bez osobistej znajomości człowieka?*

— Jako specjaliście od oddychania, dużo mówi mi sposób oddychania Wałęsy, charakterystyczne zasyśnienie powietrza w trakcie mówienia. Sylwetka człowieka z rozdetą klatką piersiową, uniesionymi ramionami, sztywno stawianymi nogami sugeruje ukrytą przemoc. Poza tym charakterystyczne formułowanie wypowiedzi. Każdy czytelnik może zabrać się w psychologa licząc w przemówieniu polityka ilość zaimków typu "ja", "mnie", "mój", "moje". Częstość tych zaimków jest wskaźnikiem osobowości narcyzyzmu.

— *Pomimo takiej postawy Wałęsa nadal jest ważny dla społeczeństwa i świata polityki.*

— Niebezpieczeństwo jest takie, że może dojść do mechanizmu polaryzacji. Jeżeli kogoś przez długi czas idealizujemy, tłumacząc swoje zastrzeżenia i negatywne uczucia, a on nas kilkakrotnie zawiedzie, rozczaruje czy okaże się śmieszny,



"Sylwetka człowieka z rozdetą klatką piersiową, uniesionymi ramionami, sztywno stawianymi nogami sugeruje ukrytą przemoc."

możemy z taką samą energią, z jaką dążyliśmy go atencją, zwrócić się przeciwko niemu. Jeżeli stanie się tak w przypadku Wałęsy, tracimy źródło naszej symbolicznej identyfikacji. Dlatego wszyscy powinniśmy zatroszczyć się o niego. Trzeba oswoić Wałęsę z krytyką. Nie bać się tego, że on jej nie znosi.

— *Czy sądzi Pan, że pracom naszego rządu towarzyszy porozumienie w sferze kontaktów czysto międzyludzkich?*

— Podejrzewam, że w naszej grupie rządowej jest raczej dużo nieporozumień. Jednocześnie tworząc organ wspólnego sobie organizmu wypadkowa ich działań może dawać neutralizowany efekt. Chciałbym tu podkreślić, że na poziomie treści dźwierzają się dwa różne, chociaż paradoksalnie podobne systemy wartości: lewicowy i katolicki. Z tego punktu widzenia ekipa ta prezentuje jednostronność polityczną. Albo socjalizujący Kuroń, albo Mazowiecki i katolicka nauka społeczna. Mam wrażenie, że najbliższe wybory zmienią naszą panoramę polityczną. Wielu działaczy o poglądach prawniczych czy alternatywnych związanych z myślą ekologiczną przepadło w pierwszych wyborach tylko dlatego, że nie byli na listach "Solidarności". Dla wielu ludzi program polityczny obecnego rządu jest zbyt mało barwny. Zjadają sobie sprawę, że dla wyzwolenia i przeprowadzenia Polski przez ten skok, który obecnie wykonujemy, potrzebny jest inny program, ale bezwzględnie inny potrzebny jest dla naszej samorealizacji narodowej.

Rozmawiała Anna Hadrysiewicz

Bezdomni w Polsce

Maria Mamczur

Kanał, dworzec, hotel

Na początku zeszłego roku ekipa remontująca warszawską sieć ciepłowniczą odkryła w żerańskim kanale zwłoki jakiegoś mężczyzny. Przypuszczano, że był to jeden z tych, co to mieszkają w kanałach na stałe. Milicja wyjaśniła: to przypadek. Coraz liczniejsze wieści o ludziach-szczurach uznano za zwykłe plotki.

Ale wtedy problem ludzi bezdomnych oficjalnie jeszcze nie istniał. Według rządowych zapewnień tych kilkunastu brudnych kłoszardów, wydających resztki zostawione na talerzach w dworcowych bufetach, śpiących na dworcowych ławkach lub na kartonach rozłożonych na klatkach schodowych i w bramach — to po prostu ludzie z marginesu, często chorzy psychicznie, uciekinierzy przed praniem...

Dzisiaj mówi się: w Warszawie żyje kilka tysięcy bezdomnych. Około pięciuset w kanałach, reszta przeważnie na dworcach.

Nikt ich dokładnie, do końca nie policzył. Bo nie mają adresu, stałego meldunku, aktualnych dokumentów. Bo nie każdy bezdomny korzysta z pomocy opieki społecznej. Bo jeszcze nie wszystkie "sypialnie" odkryto.

Ci z kanałów mają pewne cechy wspólne. Najpierw kłopoty z samym sobą. Nieumiejętność podejmowania walki o własne mieszkanie, pracę, czyjeś uczucie. Potem — wskutek niedośpania — pojawia się ciągły deficyt energii. Uczucie zimna. Dlatego nawet w upalne dni noszą ciepłe swetry, płaszcze, ciężkie, zimowe obuwie. Później — odparzenia. Wszyscy "chorują na nogi". Mają owrzodzenia, opuchliny, trudności w chodzeniu. Potem trudno już znaleźć buty, w które można by wcisnąć nabrzmiałe stopy. Toteż często zamiast butów noszą na nogach szmaty, zabezpieczone przed wilgocią workami z folii.

Jeszcze wszy — wszystkie trzy gatunki. Kłopoty z układem trawiennym. Jedzą najczęściej po kimś — z cudzego talerza, z cudzych śmietników. Często popadają w alkoholizm.

Nie planują przyszłości. Człowiek



Ludzie-szczury. W samej Warszawie jest ich około 500

fol. Leopold Dzikowski

by oszalał, gdyby myślał, że jutro, pojutrze, kiedyś, znowu będzie to samo. To znaczy — nie będzie nic. Dlatego pieniądze mają dla nich wartość o tyle, o ile mogą je od razu wydać.

Coraz bardziej tracą kontakt z resztą społeczeństwa. Dzieli świat na "swój" i "obcy". Nie lubią "turystów", którzy chcieliby widzieć, jak mieszka się w kanałach. Zdarza się, że takich biją. Ostatnio zniszczyli sprzęt amery-

kańskiej ekipie telewizyjnej.

Ogólnie: nie posiadli woli walki. Zachowali jednak instynkt życia.

Bez przewodnika trudno do nich trafić. Z jednej strony bocznicą kolejowa, z drugiej pustkowie, linia wysokiego napięcia. Daleko światła domów. Ciemno, cicho. Polna droga. Dzika łąka. Jakieś wzniesienia...

Przewodnik zniża głos: "Proszę zgasić latarki. I uważać pod nogi!"

Cztery włazy do kanałów.

— Panie Heniu, przyprowadziliśmy do pana gości.

Przewodnik kleczy przy włazie. Po chwili wchodzi. Ktoś tam jest, ale nie wiem kto. Dlatego musimy ostrożnie.

Schodzimy do włazu. Metalowe schodki. Cisza jak wata. Odór brudu, moczu, zbutwiałych szmat. — Proszę uważać na głowę, tu jest niski strop, a po bokach ciepłownicze rury.

Ciemność wypełnia tunel. Jak oni tak chodzą bez światła? — Chodzą na pamięć — wyjaśnia przewodnik. Potem komora. Pali się świeczka. Na rurach leżą jakieś szmaty, chyba ubrania. Obok rur też szmaty — legowisko. Butelka po winie. Jakieś plastikowe wiaderko. Kilku mężczyzn śpi. Jeden siedzi, oparty o rurę.

— Nie wyobrażam sobie, co by się stało, gdyby taka rura pękła! Przecież ci ludzie od razu by się ugotowali! — szeptał przewodnik.



"Przyszłość? Ech..."

fol. Leopold Dzikowski

Henio nie śpi. Jest spokojny. Na powitanie nawet całuje w rękę. Opowiada. Wiek — 33 lata. Od trzech lat w kanałach. Tu lepiej niż na dworcu, bo spokoj. Wcześniej był rozwód. Żona zmieniła zamki u drzwi, nie miał więc gdzie się podziać. Pracuje dorywczo. Potrzeby ma niewielkie, ale brak pieniędzy nie narzeka.

— Przyszłość? Ech, — macha ręką.

Ten, który leży, o tam, dalek, ma chore nogi i wcale nie wychodzi na zewnątrz. To wielka dla niego uciążliwość, tak po tych schodkach. Więc jak mu się zachce siusiu, to idzie trochę dalej. Stąd ten smród.

Na Centralnym pojawiają się około godziny dwudziestej.

Malarz — pan Janek, z żoną. Stoi i patrzy.

— Ja wiele wiem, gdybym powiedział...

— Dobry był z niego fachowiec, tyle, że pił — mówi żona.

Stary płaszcz, jeszcze z czasów Gomułki. Mają dzieci, ale już dorosłe, ze swoim własnym życiem.

— Możemy porozmawiać, czemu nie?

Ale to rozmawianie nie bardzo wychodzi. Tak jakby pogubiła się w bezdusznych urzędach ta ludzka umiejętność opowiadania o życiu. Było mieszkanie. Należało do ciotki. Kwaternkowe. Ciotka zmarła. Mieszkanie

dostał ktoś ważny. Panu Jankowi obiecał za stepce.

Niechby chociaż jeden pokój, byle było gdzie głowę położyć. Więc czeka już dwa lata. Na dworcu.

Pani Ziuta podsypia na bagażowym wózku. "Czego te cholery chcą?!" Miota przekleństwami. Rozczesuje palcami skołtunione włosy. Znajduje wszy. Pani

Ziuta ma przeszłość przedwojenną, małą maturę, powojenną pracę w biurze, potem picie, klótnie z córką — o dochody z meliny, zamknięte na cztery spusty drzwi własnego mieszkania. (Kto by się mieszał w sprawy rodzinne? — mówi milicja. Nie tu nie możemy zrobić, bo mieszkanie należy do niej — twierdzą urzędnicy.)

Pani Elżbieta, emerytowana dziw-

ka. Wyleniała futerko z czasów świetności, czerwony lakier na paznokciach. Na głowie peruka.

— Niech pani da co na obiad... — doprasza się.

Jeszcze Bogusia — młoda, zniszczona na twarzy. Przerzedzone próchnicą zęby, włosy pospinałe wsuwkami. Oczy schizofreniczki. Przyjechała tu wczoraj. Brat wyrzucił ją z domu. Za panięskie dziecko. Gdzie jest dziecko? — Ciąga była martwa.

Siostry misjonarki dają im jedzenie i przyodziewek. Także lekarstwa. Opieka społeczna rzadko do nich przychodzi, oni rzadko pukają do drzwi opieki. Czasem po pieniądze.

Skazani są na częste kontakty z milicją. Niektórzy funkcjonariusze patrzą przez palce na ludzi skulonych na ławkach. Ale bywa też inaczej. Niedawno zrobiono akcję: wykurzanie. Do kanałów wpuszczono świecę dymną. Funkcjonariusz z Dworca Wschodniego, nazwany przez bezdomnych z



"Czego te cholery chcą?!"

fol. Leopold Dzikowski

powodu tuszy "Świnia" — każe się im opłacać. Chcesz spać, to dawaj 4 tysiące, albo dostaniesz w mordę! Funkcjonariusz ze Śródmieścia pobił bezdomną dziewczynę.

— Nie kładź nóg na ławkę!

— Odwal się!

— Ty gnido!

Dziewczyna splunęła na milicjanta. On weszła przez radio koleżę.

Wzięli ją na bok i przyłożyli pałką.

Przechodnie odsuwają się. Bo bezdomny jest najczęściej brudny, śmierdzi, może coś ukrącić, jest pijany, może chory psychicznie.

Są jeszcze tacy, którzy próbują im pomóc.

Urządzili hotel dla bezdomnych. Tam, gdzie budowało się warszawskie metro, stały baraki. Z płyt ocieplanych wełną mineralną. Walczył o nie Andrzej z Towarzystwa Zapobiegania Narkomanii MONAR. Minister Kuroń coś dołożył z funduszu SOS. Znalazły się łóżka, pościel, pralka "Frania", kuchenka, kartony z liofilizowanym mięsem, z makaronem i przyprawami. Kilku bezdomnych uporządkowało teren. Po kilku dniach przygotowano przyjechali pierwsi klienci.

Hotel przyciągnął bezdomnych, którzy zdecydowali się poddać reżimowi — czyli zrezygnować z picia alkoholu. Musiało im nieźle dopieć, skoro przystali na to — sugeruje Andrzej.

Czterech wymaga ciągłej kontroli lekarskiej. Pan Ildefons z zaświadczeniem: "Chory wypisany po półtoramiesięcznym pobycie w szpitalu". Z astmą i niedowładem ręki. Pan Józio — po półtorarocznym pobycie w szpitalu. Wcześniej — rozległe poparzenia gorącym tłuszczem, kilka przeszczepów skóry, nie gojąca się rozpadlina, właściwie dziura w nodze, martwica. W szpitalu powiedziano: Pan rozumie, nie wiadomo, jak długo to potrwa, a pacjenci czekają w kolejce na operację. Pan Zenek z chorymi nogami i pan Gienio, który ma te same kłopoty.

Wszyscy stracili dach nad głową, bo wcześniej zwolniono ich z pracy za nieprzydatność po wypadku.

Wszyscy leżą w "szpitaliku". Mała sala, cztery łóżka, czysta pościel, dostateczna ilość snu, zmieniane opatrunki, posiłki podawane pod nos.

W takim hotelu bezdomni się uczłowiczają — mówi Andrzej. Muszą nauczyć się żyć od



"Szpitalik». W takim miejscu się uczłowiczają."

foto. Leopold Dzikowski

nowa. Normalnie. Choćby pociągnąć za spłuczkę w ubikacji, gdy załatwią potrzebę, umyć ręce, zasłać łóżko, umyć szklankę. Muszą się także nauczyć walczyć o własne życie. Czyli, jak powiadają psychologowie, mieć motywację.

Tym bardziej, że nie każdy bezdomny jest typowym dewiantem, człowiekiem z marginesu.

Krzysztof, lat 20. Wychowanek domu dziecka. Gdy miał 12 lat, matka popełniła samobójstwo, ojciec wkrótce powtórnie się ożenił, a syna oddał pod

mochodowy. Został nagle z żoną, inwalidką III grupy i półrocznym dzieckiem bez mieszkania. Rodzice Tadeusza zmarli. Zostawili dom. Dla niego i dla brata. Nie zostawili zapisu. Brat był silniejszy, miał układy i "złote papiery". Groził, że jeśli Tadeusz zostanie w domu — on za siebie nie odpowiada — wymorduje nożem całą rodzinę. Milicja i sądowi egzekutorzy ustąpili. Tadeusz również. Wyjechał do podwarszawskiego Mińska. Znalazł pracę. Szył komunikacyjne sukienki. Potem zakłady "współkowi-

ły" się. Pozwalniano wszystkich "niewygodnych", którzy np. wymagali zapewnienia mieszkania. Tadeusz już bez mieszkania i bez pracy. Trafił na Dworzec Centralny. Potem, przez półtora miesiąca z żoną i niemowlakiem na ławce...

Elżbieta wyjechała z rodzinnej, biednej wsi. Pracowała kilkanaście lat w szklarniach i kurniach. Kwaterę zapewniali pracodawcy. Ostatnia praca w kurniku. Potem właściciel zwinął interes. Elżbieta została na ulicy. Z ośmioletnim dzieckiem.

Przykładów może być znacznie więcej...



"...ciągły deficyt egergii. Poczucie zimna..."

foto. Kacper

Maria Mamczur

Aleksander Łuczak

Państwo banków i szpicli



Protesty ludności przed siedzibą policji: "Koniec z państwem szpiclowskim!"

Szwajcaria przeżywa kryzys, przez część społeczeństwa i komentatorów zagranicznych nazywany kryzysem zaufania. Na początku marca br. przez stoleczne Berno przetoczyła się fala burzliwych demonstracji przeprowadzanych pod hasłami: "Koniec z państwem szpiclowskim", "Na śmietnik historii ze szwajcarską służbą bezpieczeństwa", "Szpiclowskie akta należą do nas". Obywatele alpejskiej republiki, coraz powszechniej tracący polityczny rozsądek porównują tutejszą policję do rumuńskiej Securitate, a kropkę nad "i" stawia przewodniczący Szwajcarskiej Partii Socjalistycznej Helmut Hubacher powiadający, że jeśli wypadki potoczą się tak dalej "biały krzyż w państwowej fladze zmienić trzeba będzie na banana"* przyznając tym samym że doszło do moralnego i politycznego upadku kraju.

Skandal, który tak poruszył opinię publiczną zapoczątkowała afera związana z osobą p. Elisabeth Kopp, byłej minister sprawiedliwości, pierwszej w historii Szwajcarii kobiety zasiadającej w rządzie. I choć jej wybór do parlamentu (w Szwajcarii jest to skupiające przedstawicieli 23 kantonów czyli krajów związkowych Zgromadzenie Narodowe) poprzedzała wyjątkowo "błotnista" kampania wyborcza, pani minister nie zarzucano właściwie niczego – ani braku doświadczenia administracyjne-

go, ani jakichkolwiek negatywnych cech charakteru. Przeciwnie, już krótko po wyborach, po 2 października 1984 roku, kiedy to przełamała kobiece tabu stając się pierwszą damą parlamentu zyskała sobie opinię jednej z najbardziej kompetentnych osób w życiu politycznym Szwajcarii. Jedyną przywarą p. Elisabeth Kopp był jej mąż, Hans W. Kopp. Podobnie jak ona doktor praw, adwokat specjalizujący się w sprawach gospodarczych i finansowych, członek rad nadzorczych szeregu spółek akcyjnych, między innymi wiceprezes rady nadzorczej zuryckiej spółki akcyjnej "Shakarchi Trading".

27 października 1988 roku pani Kopp dowiedziała się, że spółka ta uwikłana jest w aferę, w kręgach finansjery zwaną "praniem dolarów". Tym dziwnym określeniem nazywa się finansowe tricki, dzięki którym "brudne" pieniądze pochodzące z ciemnych interesów, przeważnie z handlu narkotykami zamieniają się w "czystą" gotówkę. Finansowy manewr polega na tym, że otwiera się drogie restauracje, luksusowe domy towarowe, przedsiębiorstwa handlowe, których milionowe dochody są rzetelnie księgowane i opodatkowywane, choć nie ma ani klientów, ani obrotów. Firmy bowiem są fikcyjne, istniejące wyłącznie na papierze.

Każdego tego typu przedsięwzięcie firmują nie przestępczy bossowie a nobliwi biznesmeni odpowiednio oczywiście profitowani za użyczenie swoich nazwisk i podpisów.

Wykrycie udziału męża pani minister sprawiedliwości i policji w tego rodzaju aferze groziło jeszcze większą aferą. Pani Kopp wykorzystwała posiadaną informację i natychmiast zawiadomiła męża. Późniejsze dochodzenie wykazało, że telefonowała do Hansa W. Koppa nie ona, a z jej polecenia podwładna – Katharina Schoop, która z kolei informację o planowanych dochodzeniach przeciw firmie "Shakarchi Trading" posiadała od innej pracowniczki ministerstwa Renaty Schwob.

To szczegóły, w które zagłębili się później sędziowie Sądu Najwyższego w Lozannie myśląc zresztą nieustannie nazwiska oskarżonych. Istotne, że wszystkie trzy panie postawione zostały przed sądem pod zarzutem zdrady tajemnicy



Elisabeth Kopp – była minister sprawiedliwości

urzędowej. Wcześniej E. Kopp podała się do dymisji, a powołana przez parlament komisja śledcza zajęła się "prześwietleniem" działalności całego ministerstwa.

Wyrokiem z 23 lutego 1990 roku Sąd Najwyższy jedynie w wypadku Kathariny Schoop potwierdził zdradę tajemnicy urzędowej odrzucając jednak wniosek prokuratora o ukaranie jej grzywną ze względu na dopuszczalną omyłkę prawną. Oskarżona Schoop mogła być przekonana, że podane jej przez koleżankę Renatę Schwob wiadomości o planowanym śledztwie przeciwko firmie "Shakarchi Trading" ma prawo udostępnić własnej przełożonej. Może też z polecenia teje przełożonej zadzwonić do jej męża. Pani ex-minister E. Kopp została uwolniona od zarzutu zdrady tajemnicy urzędowej.

Wyrok przyjęty został – łagodnie mówiąc – z dużym niedowierzaniem. Warto dodać, że na czele pięćosobowego kolegium sędziowskiego zasiadał członek Szwajcarskiej Partii Socjalistycznej Albert Allemann, a w skład kolegium wchodziło obok jego towarzysza partyjnego dwóch chadeków i kolega partyjny pani Kopp – członek Partii Radykalno-Demokratycznej. Wśród prawników przeważa przekonanie, że brzmienie wyroku poddyktowała typowa dla Szwajcarii skłonność do kompromisów. Polityczna lewica nazwała wyrok skandaliczną pomyłką, choć jednocześnie jeden z najważniejszych znawców prawa karnego w Szwajcarii – sympatyzujący właśnie z lewicą prof. Stratenwerth twierdzi, że wyrok jest słuszny, gdyż oskarżone zobowiązane były wręcz uczynić wszystko co leżało w ich mocy, by uniknąć uwikłania ministerstwa, rządu, a zatem i kraju, w tego rodzaju paskudną afery.

Wyrok zakończyłby prawdopodobnie całą historię pozostając może jeszcze tylko tematem jurystycznych dyskusji, gdyby nie reakcja łańcuchowa, jaką wywołał rezultat badań parlamentarnej komisji śledczej. Oto przeglądając dokumenty Ministerstwa Sprawiedliwości i Policji komisja natrafiła na liczącą 900 tysięcy akt policyjną kartotekę zawierającą informacje o partiach i ugrupowaniach politycznych, obcokrajowcach i osobach ubiegających się w Szwajcarii o azyl polityczny, a także dane o ponad cztery miliony obywateli szwajcarskich. Przez lata każdy, kto



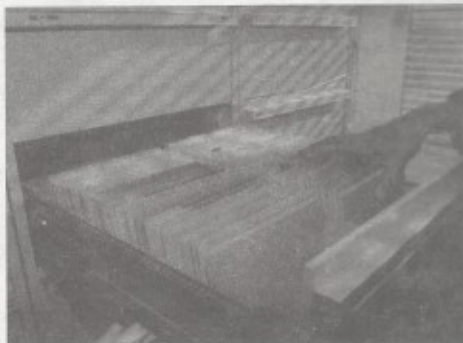
"...brudna" pieniądze pochodzące z ciemnych interesów, przeważnie z handlu narkotykami zamieniają się w "czystą" gotówkę."

tylko przekonany był, że zauważył jakąś podejrzaną aktywność sąsiada, współpracownika lub kolegi mógł spokojnie zawiadomić policję, która skrupulatnie notowała każde doniesienie. Rejestrowano więc uczestników demonstracji przeciwko budowie elektrowni atomowych i demonstracji na rzecz rozbrojenia. Notowano kontakty z przedstawicielami służb dyplomatycznych i wyjazdy za granicę kraju. Na doniesienie zasługiwało napisanie listu do prasy i uczestnictwo w odczytach, zbieranie podpisów pod najważniejszą deklaracją i udział w plebiscycie. Szpicle byli wszędzie i zawsze. W chwili wypadki poddanego badaniu parlamentarnej komisji tzw. Wydziału Kontroli i Informacji Ministerstwa Sprawiedliwości i Policji adwokat rządowy Rudolf Gerber i szef policji Peter Huber zatrudniali w szpiclowskiej służbie 94 osoby w randze urzędników ministerstwa, dwa razy więcej niż w oddziale do spraw narkotyków. W urzędach kantonalnych i miastach pracowało dla nich 180 zawodowych szpicli również w randze urzęd-

ników państwowych. Odpowiednio do wielkości nadzorowanego terenu przesyłali oni rocznie do stolicy od 20 do 1600 raportów. Kopie tych dokumentów gromadzono we własnych archiwach – w kantonie Bazylea-miasto było ich 50 tysięcy, w sąsiednim kantonie – Bazylea-kraj – 10 tysięcy; w Lucernie – 7 tysięcy a w Zurychu – 70 tysięcy. Służby kantonalne pracowały pod nadzorem policji federalnej podlegającej Ministerstwu Sprawiedliwości. W tajnej instrukcji "Tylko do użytku służbowego" z 1 czerwca 1988 r. z detalami wyznaczone są zasady przekazu informacji między kantonami a Bernem łącznie ze szczegółowymi wskazówkami na temat strzeżenia akt przed "kradzieżą" ("W razie napadci lub zajęcia pomieszczeń policji czy też służb informacyjnych").

Jakkolwiek zrozumiałym jest protest "potencjalnych podejrzanych" i nie spotkałem w Szwajcarii nikogo, kto nie byłby zdania, że ten zbiór dowodów szpiclowskiej działalności należy jak najszybciej wyłączyć z obiegu, a pokrzywdzonym udzielić pełnej satysfakcji, to jednak zbyt radykalna kuracja w postaci pełnej rezygnacji z wszelkiej kontroli natrafia na równie stanowczy opór.

Warto odnotować, co stwierdził były szef Ministerstwa Sprawiedliwości i Policji dr Rudolf Friedrich. Otóż jego zdaniem kartoteki Ministerstwa Sprawiedliwości jak i wykryte nieco później kartoteki gromadzone w Ministerstwie Obrony (decyzją rządu komisja parlamentarna przebadła okoliczności i tej afery), a także odpowiedniki tychże ministerstw w kantonach zakładane były nie bez przyczyny. Na wielu sesjach parla-



Akta 900 tys. obywateli Szwajcarii. Nowy minister sprawiedliwości polecił, by nie rejestrowano legalnej działalności politycznej jak i podpisywania obywatelskich petycji i udziału w dozwolonych demonstracjach..."

mentu powłocno domagali się austerzenia kontroli i śledzenia wszystkiego, co rozgrywało się i rozgrywa na scenach handlu narkotykami, szpiegostwa i terroru. Aby utrzymać kontrolę nad szczególnie gęstą na terenie Szwajcarii siecią szpiegowską należało obserwować nie tylko rozbudowane przedstawicielstwa dyplomatyczne krajów komunistycznych ale i osoby utrzymujące z nimi kontakty. Wśród kartotek, stwierdził dr Friedrich, jest masa rzeczy przestarzałych i zbędnych, ale biada temu szefowi urzędu, który wie z góry, co jest ważne a co nie ważne. Warto też pamiętać, że dane te nigdy nie wychodziły na zewnątrz — podkreślił dr Friedrich.

Obecny szef Ministerstwa Sprawiedliwości i Policji Arnold Koller uznał natomiast, że podlegający mu urzędnicy a nade wszystko szef policji Peter Huber to: "dzielni ludzie, którzy tylko nie dostrzegli, że z upływem czasu obraz zagrożenia się zmienił." Ponieważ czasy się zmieniły, A.Koller polecił, by w przyszłości nie rejestrowano legalnej działalności politycznej jak i podpisywania obywatelskich żądań i petycji, udziału w dozwolonych demonstracjach a także członkostwa związków zawodowych i partii politycznych.

Okolo 150 tysiącom obywateli domagających się wglądu w akta można na to pozwolić, ale tylko "powierzchniowo", ze względu na ochronę dokumentów przed agentami zagranicznymi. W ciągu nadchodzących miesięcy szpicelowani obywatele zapraszani będą co prawda do rzucenia okiem na swoje kartoteki ale tylko pod opieką policji, która troszczyć się będzie o to, by akta nie były kopiowane lub filmowane. Dopuszczalne będzie tylko odpisywanie fragmentów akt.

Co najdziwniejsze, całym skandalem wydają się jednak przejmować tylko różnego rodzaju aktywiści — pisarze, przeciwnicy budowy elektrowni atomowych, przeciwniczki stosowania techniki genetycznej, prawnicy i członkowie ruchu pokoju, pacyfiści i studenci a także lewicujący liberaltowie z berneńskiego rządu kantonowego. Słowem intelektualni i osoby politycznie zaangażowane. Mieszkańcy wsi i milcząca większość miejska martwi się natomiast kosztami, jakie przynoszą niepoahamowane protesty "zaangażowanych".

I tu ujawnia się najistotniejszy chyba podtekst całej afery. Społeczeństwu szwajcarskiemu jest w gruncie rzeczy obojętne, jakimi metodami posługuje się rząd, najważniejsze, by zapewnił spokojne i dostatnie życie.

Bazyła, dn. 8.03.90

Aleksander Łuczak

* Jest to aluzja do karykatury opublikowanej przez szwajcarski magazyn gospodarczy *Bilans*, na której to karykaturze ramiona kryżów we fładze Szwajcarii zastąpiły dwa banany. Karykatura ta była komentarzem do aresztowania w kwietniu 1989 roku w berneńskim hotelu saudyjskiego handlarza bronią, miliardera Adnana Kashoggi oskarżonego o współpracę z byłym dyktatorem Filipin Ferdynandem Marcosem. Kashoggi zdeponował pod swoim nazwiskiem w prywatnym banku genewskim "Lombard, Odier and Cie" miliony dolarów należące do Marcosa, a zrabowane filipińskiemu narodowi. Bank zablokował co prawda konto, gdy wyszło na jaw, że wpłacony przez Kashoggiego kapitał jest zakamuflowanym majątkiem Marcosa, ale szybko i bez problemu je odblokował, kiedy Kashoggi udokumentował, że pieniądze należą do niego i pochodzą z legalnych transakcji handlowych między nim a Marcosem. Transakcji oczywiście fałszywych, ale w to bank już nie wnikał.

Fakt, że szwajcarska policja aresztowała jednak Kashoggiego przypisywano wyłącznie naciskowi rządu amerykańskiego, dla którego Filipiny są strategicznie ważnym krajem i którego należało na zwroceniu majątku filipińskiemu narodowi. Poza tym jedynym, wymuszonym przypadkiem szwajcarskie banki nie są skore do ujawniania tajemnic swych klientów. Tym bardziej, gdy chodzi o wysokie stawki. W szwajcarskich bankach spokojnie przechowują zrabowane narodom majątki na przykład były szach Iranu Reza Pahlawi, były dyktator Nikaragui Anastasio Somoza (którego część ma-



Od góry: Adnan Kashoggi, były szach Iranu Reza Pahlawi, były prezydent Zairu Sese Seko Mobutu, były dyktator Haiti Jean Claude Duvalier ("Baby Doc") i były dyktator Filipin Ferdynand Marcos (w towarzystwie żony).

jątku, jak udowodnił rząd sandinistów stanowi kilkaset milionów dolarów pochodzących z pomocy udzielonej Nikaragui przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy). Klientami banków szwajcarskich są też dyktator Haiti "Baby Doc" — Jean Claude Duvalier i inny "bananowy władca", prezydent afrykańskiego Zairu Sese Seko Mobutu.

red.

Akcjonariat w USA

Andrzej Zwaniecki

Amerykańskie huty i ESOP-y*

Przewidywanie kształtu polskiej gospodarki za lat 10 czy 15 wymaga bardziej wyobraźni pisarza *science fiction* niż zdolności ekonomicznych. Natomiast w oparciu o istniejące programy i deklaracje można zgadywać, w jakim kierunku będzie zmierzać rewolucja wolnorynkowa w najbliższym czasie. Wszyscy, którzy dobrze życzą Polsce, spodziewają się inwestycji w dziedzinach szybko przynoszących zwroty nakładów, przede wszystkim infrastruktury turystycznej, hotelarstwa i usług. Jeśli mechanizm wolnorynkowy zastartuje, to upadać zaczęną przedsiębiorstwa najbardziej energochłonne, nieefektywne i nierentowne. Nie wiadomo kogo czeka bankructwo, ponieważ struktura cen została do tego stopnia zafałszowana, że nikt nie jest w stanie przeprowadzić elementarnego rachunku kosztów własnych i ewentualnych zysków.

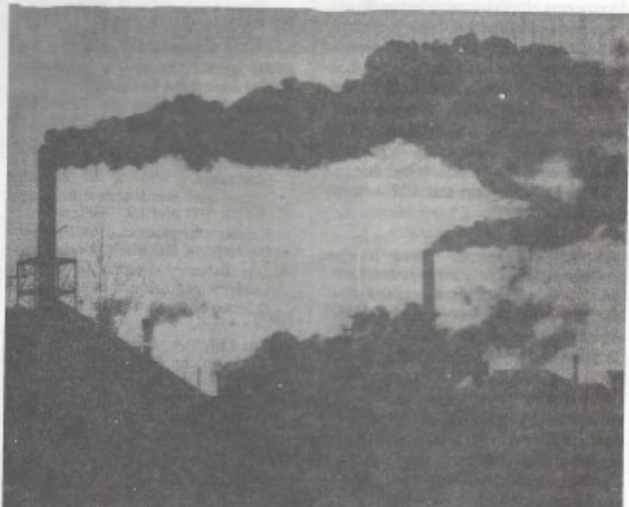
Wiadomo jedno – Polska została obarczona przez komunistów garbem przemysłu ciężkiego – hut i kopalni, które niejednokrotnie mają charakter pomników ideologii, a nie przedsięwzięć ekonomicznych. Nic dziwnego, że na fali radykalnych zmian niektórzy chcieliby pozbyć się tego garbu. Zachodni eksperci nie są jednak entuzjastami radykalnych zmian w strukturze gospodarki komunistycznej, przynajmniej na krótką metę. Jan Vanous z firmy konsultacyjnej PlanEcon w Waszyngtonie uważa, że kraje Europy Środkowo-Wschodniej są na jakiś czas skazane na gospodarkę zdominowaną przez przemysł ciężki. Przy ograniczeniu nakładów inwestycyjnych całościowe przekształcenie tej struktury jest niewyobrażalne. Warto też pamiętać, że choć kraje rozwinięte pozbyły się przemysłu ciężkiego na rzecz Trzeciego Świata, to niektóre spośród tych ostatnich zyskały na tym. Na południowokoreański cud gospodarczy w dużej mierze złożyły się sukcesy przemysłu hutniczego i stoczniowego.



Huta im. Lenina – jeden z "pomników ideologii"... garb, którego na fali radykalnych zmian chiano by się pozbyć zapominając, że "na południowokoreański cud gospodarczy w dużej mierze złożyły się sukcesy przemysłu hutniczego..."

Niewątpliwie jednak hutnictwo i górnictwo w Polsce musi przejść zasadnicze zmiany, które uczynią je rentownymi, wydajnymi i możliwymi do zaakceptowania z ekologicznego punktu widzenia. Pouczająca pod tym względem może być historia restrukturyzacji hutni-

ctwa amerykańskiego. Nawet jeśli wziąć pod uwagę różnice systemowe pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Polską, które będą znaczące zapewne przez najbliższe kilkanaście lat, to jednak można z niej już teraz wyciągnąć pewne wnioski.



"...hutnictwo w Polsce musi przejść znaczne zmiany, które uczynią je rentownymi, wydajnymi i możliwymi do zaakceptowania z ekologicznego punktu widzenia."

* ESOP – Employee Stock Ownership Plan. W dostosowanym tłumaczeniu: Plan Pracowniczej Własności Akcji, w Polsce znany jako akcjonariat pracowniczy.

W latach siedemdziesiątych w Stanach Zjednoczonych stawało się coraz bardziej oczywiste, że wysoki koszt robocizny stanowi jeden z najważniejszych problemów przemysłu stalowego. W 1950 roku hutnicy zarabiali 15% więcej niż wynosiła średnia płaca w przemyśle. W 1980 roku nadwyżka ta urosła do 84%. Na podstawie porozumień zawartych pomiędzy pracodawcami a związkami zawodowymi, pracownicy hut zwalniani na początku lat siedemdziesiątych mieli zagwarantowany zasiłek dla bezrobotnych, przewyższający średnią płacę w przemyśle o 23%!

Przemysłem hutniczym w tym czasie rządziły branżowe wygi, byli kierownicy działów pieców hutniczych, z których większość mniej myślała o zyskach na tonie stali niż o tonażu produkcji. Gdy ludzie z branży mówili o dobrym roku, to mieli na myśli na przykład 100 milionów ton wyprodukowanej stali, a nie wzrost kursu akcji czy tempo zwracania się inwestycji.

Przemysł hutniczy był potęgą. Gdy hutnicy podnosili ceny stali i wyrobów hutniczych, amerykańska gospodarka dostawała dreszczy, jak określił to David Ignatius w *Washington Post*. Tak więc co trzy lata podczas negocjacji w sprawie umów zbiorowych, rząd wywierał presję na właścicieli i zarządy przedsiębiorstw, żeby dogadały się ze związkami zawodowymi za wszelką cenę. W rezultacie przemysł hutniczy płacił robotnikom w różnych formach więcej, niż mógł sobie pozwolić.

Konkurencja cenowa była traktowana przez branżowców hutniczych z pogardą. Mogli w niej uczestniczyć cudzoziemcy, ale dyrektorom amerykańskich hut wydawała się niemal nieuczciwa. Przemysł hutniczy przyjął więc, że stale rosnące koszty produkcji można przetrzczać na klientów.

Związek zawodowy hutników był w tym czasie olbrzymią, liczącą ponad milion członków organizacją. Związkowa orkiestra dęta podróżowała samolotami pierwszą klasą, zjazdy związku odbywały się w Las Vegas i Miami Beach na Florydzie, a delegaci mieszkali w luksusowych hotelach. O ich względy, jak pisał Ignatius, zabiegali nawet prezydenci.

Partnerstwo w stosunkach kierownictwa przedsiębiorstw ze związkami zawodowymi zaowocowało w roku 1973 eksperymentalnym porozumieniem, w którym związek wyrzekł się prawa do strajku w zamian za gwarancję stałego wzrostu płac. Poza wszystkim innym porozumienie to symbolizowało sojusz pra-

cowodawcy i pracowników skierowany przeciwko zagranicznej konkurencji. Sygnatariusze porozumienia mieli nadzieję, że pakt antystrajkowy zmniejszy obawy krajowych nabywców stali o przerwy w dostawach i powstrzyma ich przed dokonywaniem zakupów u zagranicznych wytwórców.

W roku 1974 koszty zatrudnienia wzrosły o 40%, w trzy lata później o dalsze 30%. Wkrótce okazało się, że przemysł hutniczy potrzebuje ochrony państwa przed zagraniczną konkurencją. W rezultacie Waszyngton w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych podejmował kroki protekcyjnistyczne ograniczając import stali i wyrobów hutniczych. Ale polityka ta tak wyraźnie klęczała się z zasadami wolnego rynku, że nie mogła trwać w nieskończoność. Tymczasem chroniony przez państwo przemysł hutniczy ani myślał się reformować.

Hutnictwo amerykańskie zaczęło załamywać się pod własnym ciężarem pod koniec lat siedemdziesiątych. Najpierw w roku 1977 przedsiębiorstwo "Bethlehem" doniosło o dużych stratach i zamknięciu niektórych zakładów. W kilka miesięcy później trzęsienie ziemi objęło całą branżę.

Do 1987 roku 24 przedsiębiorstwa

wchłonięte przez inne. "Przebudowany" przemysł jest mniej imponujący, ale przynosi większe zyski. Zatrudnienie spadło z 400 tys. osób w roku 1980 do 155 tys. w roku 1987. W jednym tylko przedsiębiorstwie USX w tym samym okresie zwolniono 80 tys. ze 100 tys. pracowników. Po zmniejszeniu zatrudnienia i reorganizacji wydajność pracy wzrosła. W roku 1983 na wyprodukowanie tony stali zużyto 10,8 roboczogodziny, dwa lata temu nie więcej niż 3,8. Siedem lat temu koszty siły roboczej stanowiły połowę ceny stali, w ciągu pięciu następnych lat spadł o 20%.

Efektem ubocznym "pieriostrojki" w amerykańskim przemyśle hutniczym była zmiana stosunków między pracodawcami i pracownikami. W roku 1980 kierownictwo przemysłu zdecydowało się nie odnawiać porozumienia antystrajkowego ze związkami zawodowymi. W dwa lata później zażądało obniżki płac o 10%, którą związek zaakceptował. W roku 1985 zrezygnowano ze zbiorowych negocjacji placowych pozostawiając zawieranie umów ze związkiem poszczególne przedsiębiorstwa. W rok później korporacja USX zdecydowała się na konfrontację ze związkiem. Odmówiła jego przedstawicielom wglądu do księgowości, przetrzymała sześciomiesięczny strajk, a następnie sfinalizowała obniżkę płac i zwolnienia z pracy, które uznała za niezbędne.

Unikalność zmiany systemowej w Polsce sprawia, że upływie sporo czasu, zanim gospodarka w kraju będzie przypominać gospodarkę zachodnią. Prywatyzacja przemysłu w sytuacji braku kapitału zmusza animatorów reformy do szukania niestandardowych rozwiązań. Pomyślam, który zyskał sobie największą popularność jest najwyraźniej akcjonariat pracowniczy. W rzeczywistości postkomunistycznej w okresie przejściowym ESOP-y mogą odegrać dużą rolę. Ale warto chyba zdać sobie sprawę z tego, że w normalnie funkcjonującej gospodarce wolnorynkowej takiej jak amerykańska, akcjonariat pracowniczy nie odgrywa aż tak dużej roli, jak mogło to wynikać z wypowiedzi pomysłodawcy i głównego propagatora ESOP-u Louisa Kelso w czasie jego wizyty w Polsce: To prawda, że w roku ubiegłym Plany



...chroniony przez państwo przemysł hutniczy ani myślał się reformować.

Pracowniczej Własności Akcji powstały w niemal 80 spośród pięćsetki czolowych korporacji amerykańskich znajdujących się na liście dwutygodnika *Fortune*. Ale faktem jest również, że tylko dwa przedsiębiorstwa – wypożyczającą samochody firmę AVIS i hutnicze Weirton Steel pracownicy wykupili w ramach ESOP w całości. Prócz tego przyczyną nagłej popularności ESOP-ów w USA są dość szczególne i mają niewiele wspólnego z tym, czego oczekuje się po nich w Polsce.

Sylvia Nasar z *Fortune* przypisuje tę popularność temu, że pracowniczy akcjonariat stał się formą skutecznej obrony korporacji przed tzw. "leverage buy-outs", czyli wykupywaniem za pożyczone pieniądze, które następnie spłacane są z zasobów zakupionego przedsiębiorstwa. W niektórych stanach obowiązują bowiem przepisy mówiący, że w korporacjach, w których ESOP posiada pewien procent akcji, zakupu przedsiębiorstwa lub inaczej mówiąc jego przejęcia nie można dokonać bez zgody pracowników-akcjonariuszy. Wystarczy więc ulokować pewną część akcji w rękach tych, którzy będą głosować po myśli aktualnego kierownictwa. A w przypadku "leverage buy-out" nikt nie jest jego lepszym sojusznikiem niż pracownicy, którzy w obawie przed utratą pracy skłonni są głosować za status quo. Istnieją uzasadnione przypuszczenia, że wiele ESOP-ów powstało w ubiegłym roku wyłącznie w ramach zabezpieczenia przedsiębiorstw przed owym "leverage buy-out" i ma niewiele wspólnego z szczerzeniem się idei akcjonariatu pracowniczego jako takiego.

ESOP-y w amerykańskich korporacjach stanowią również alternatywną formę świadczeń zdrowotnych i emerytalnych. Przykładowo stosunkowo niedawno przedsiębiorstwa Whitman, Ralston Purina i Boise Cascade zdecydowały się zlikwidować świadczenia na opiekę zdrowotną ze względu na rosnące koszty opieki medycznej i zastąpić je ESOP-ami. Boise Cascade wpłaca co roku pewną sumę na konto ESOP-u każdego pracownika, z którego w trakcie zatrudnienia lub po odejściu na emeryturę pracownik ten może czerpać pieniądze na pokrycie kosztów leczenia. Na zamianie dawnej formy świadczeń na akcjonariat pracowniczy Boise Cascade ma nadzieję zaoszczędzić 50 do 100 milionów dolarów w ciągu 15 lat.

Atrakcyjność ESOP-ów z punktu widzenia przedsiębiorstw polega na tym, że pracownikowi przydziela się akcje w stałej proporcji do jego zarobków. Gdy ceny akcji rosną, to za tę samą sumę –



"Do 1987 roku 24 przedsiębiorstwa hutnicze zbankrutowały lub zostały wchłonięte przez inne."



Bezrobotny: zatrudnienie spadło z 400 tys. w 1980 roku do 155 tys. w roku 1987.

stanowiąc pewien stały procent pensji – na jego koncie lokowanych jest mniej akcji o większej wartości. W rezultacie więcej akcji pozostaje w ESOP-ie, zarządzanym przez radę powierniczą. Suma dywidend rośnie, odciążając w większym stopniu przedsiębiorstwo od spłaty pożyczek zaciągniętych na zakup akcji. Więcej gotówki pozostaje więc w przedsiębiorstwie. ESOP-y korzystają też z ulg podatkowych i niżej oprocentowanych kredytów.

Natomiast trwa nadal spór o to, czy własność pracownicza przynosi korzyści przedsiębiorstwu, udziałowcom i samym pracownikom pod innymi względami. Dwa wspomniane już przedsiębiorstwa – Avis i Weirton Steel, wykupione w całości przez ESOP, stanowią przykład tego, że pracownicy z silną motywacją potrafili dokonywać cudów – oba prosperują znakomicie. Ale trudno to samo powiedzieć o planach własności pracowniczej w dużych korporacjach. General Accounting Office – krajowe

Biuro Księgowości przeprowadziło w roku 1987 szeroko zakrojone i dokładne badanie, z którego wynika, że nie ma żadnego związku pomiędzy akcjonariatem pracowniczym i wzrostem wydajności. W nowszym badaniu, które dotyczyło tylko ESOP w przedsiębiorstwach będących własnością publiczną, ekonomista Michael Conte z uniwersytetu baltimorskiego nie znalazł żadnego potwierdzenia na to, że własność pracownicza powoduje wzrost dywidend lub cen akcji na dłuższą metę. Te rezultaty – jak pisze Sylvia Nasar w *Fortune* – są zgodne z dwoma wcześniejszymi raportami opracowanymi przez Krajowy Ośrodek Pracowniczego Akcjonariatu.

Istnieją dwa prawdopodobne wytłumaczenia tej sytuacji. Z sondaży opinii pracowników przedsiębiorstw, w których istnieje ESOP-y wynika, że utożsamiają oni akcjonariat pracowniczy z odpowiednimi planami i codziennym udziałem w podejmowaniu decyzji, a nie z posiadaniem akcji lub przedstawicielstwa w radzie nadzorczej. Stosownie do tego, te liczne korporacje, w których oprócz Programu Pracowniczej Własności Akcji istnieje tradycja współczesnictwa pracowników w zarządzaniu, mają większe szanse na zwykłą wydajność niż te, w których ESOP wprowadza się wyłącznie z myślą o zmianie formy świadczeń zdrowotnych czy emerytalnych. Motywacyjna rola ESOP jest ograniczona z jednej zasadniczej przyczyny: pracownik otrzymuje swój udział, niezależnie od tego, czy kurs akcji idzie w dół czy w górę.

Niektórzy ekonomiści uważają "leverage buy-outs" za narzędzie racjonalizacji gospodarki. Zakup przedsiębiorstwa przez finansiste polującego na maksymalny zysk prowadzi do redukcji przerostów kadrowych i reorganizacji przedsiębiorstwa – połączonej często z wyprzedaniem niektórych podległych mu jednostek – pod kątem zwiększenia jego

ESOP jako formy zabezpieczenia przed "leverage buy-out" może się na dłuższą metę niekorzystnie odbić na sytuacji finansowej przedsiębiorstwa. Zadufany w sobie zarząd chroniony przez głoszących po jego myśli pracowników nie ma często wystarczających bodźców do nadążania za konkurencją.

Mimo to popularność ESOP trwa. Ostatnio przejęte zostały przez pracowników na tej zasadzie kolejne dwa przedsiębiorstwa: "Lewis Strauss" i "Blue Bell".

Według Sylwii Naser z czasopisma

kiej spełniają tak zwane "employee stock options", czyli oferowane pracownikom możliwości nabycia akcji macierzystego przedsiębiorstwa, często poniżej ceny rynkowej. W lipcu tego roku korporacja Pepsi jako pierwsza z listy czołowej pięćsetki *Fortune* zaproponowała pracownikom takie rozwiązanie. Plan zwany "SharePower" umożliwia każdemu z nich zakup akcji na sumę do 10% zarobków za rok poprzedni. Mogą oni kupować akcje przydzielone im w ramach planu przez dziesięć lat, do 20% rocznie. Opracowując odpowiedni program przedsiębior-

stwo starało się pogodzić ze sobą dwa cele – tworzenie akcjonariatu pracowniczego z zachętami do lepszej pracy. Tak więc przy okazji przedstawiania programu, podano pracownikom 15 przykładów tego, jak większy wysiłek czy inicjatywa z ich strony mogą wpłynąć na dochody przedsiębiorstwa. Mechanizm motywacyjny w tym przypadku jest bardzo prosty: jeśli akcje przedsiębiorstwa idą w górę – pracownik zyskuje, jeśli idą w dół – wychodzi na zero.

Washington, marzec 1990

Andrzej Zwaniacki

NOTATKI Z KOPENHAGI

DUŃSKIE WIZY ZA DARMO

Duńskie MSZ ogłosiło, że ze skutkiem natychmiastowym zniesione zostały opłaty za duńskie wizy dla obywateli Bułgarii, Polski, Rumunii, Czechosłowacji, NRD i Węgier. Ta jednostronna decyzja jest prawdopodobnie pierwszym krokiem do zniesienia obowiązków wizowych między Danią i wyżej wymienionymi krajami. Duńczycy motywują swoją decyzję z jednej strony panującymi w Europie Wschodniej jak to nazywają "specjalnymi" warunkami walutowymi, a z drugiej strony chęcią zacieśnienia kontaktów z tymi krajami.

DANIA: 2/3 POLSKICH UCHODźCÓW BEZ PRACY

Duński Instytut Badań Socjalnych opublikował raport o uchodźcach z Iranu, Wietnamu i Polski, którzy przybyli do Danii w latach 1980-1985. Jeżeli chodzi o Polaków jest to tzw. emigracja "solidarnościowa".

Głównym wnioskiem raportu jest to, że integracja zawodowa uchodźców zakończyła się fiaskiem. Tylko co 12 Irańczyk, co 3 Polak i co 2 Wietnamczyk utrzymuje się z pracy zarobkowej. Stosunkowo najlepsza integracja Wietnamczyków spowodowana jest częściowo tym, że osiedlili się oni głównie na prowincji (Fiornia i Jutlandia), gdzie stopień bezrobocia jest najmniejszy, a także to, że są oni stosunkowo najmniej wykształceni i nie odmawiają podejmowania pracy nie wymagającej kwalifikacji.

Paradoksem jest, że 42% Polaków, którzy w porównaniu z Irańczy-

kami i Wietnamczykami kulturowo najmniej różnią się od Duńczyków, ani nie pracuje, ani nie kształcą się, lecz utrzymuje się z pomocy społecznej.

Warto podkreślić to, że 50% Polaków ma za sobą co najmniej 11-letnią, a 25% ponad 14-letnią edukację szkolną. Z pomocy społecznej utrzymuje się też około 30% Irańczyków i Wietnamczyków. Ponad połowa Polaków osiedliła się w Kopenhadze i okolicach, gdzie jest największe bezrobocie. W czasie przeprowadzania badań 50% Irańczyków była w trakcie zdobywania wykształcenia. Liczba ta wśród Wietnamczyków i Polaków wynosiła 25%. Ogólny stopień bezrobocia wśród uchodźców przybyłych do Danii w latach 1980-85 wynosi 50%, natomiast wśród uchodźców przybyłych później "tylko" 25%.

DUŃCZYCY NIE CHCĄ ŻARNOWCA

Duński minister spraw wewnętrznych (w Danii nie ma to nie wspólnego z policją – od tego jest Ministerstwo Sprawiedliwości) Thor Pedersen oświadczył, że na konferencji Międzynarodowej Agencji d/s Energii Atomowej, która odbędzie się we wrześniu br., Dania ma zamiar wystąpić z wnioskiem, aby kraje budujące elektrownie atomowe przed podjęciem takiej decyzji miały obowiązek wysłuchania opinii krajów ościennych.

Szczególny niepokój Duńczyków wywołują elektrownie atomowe w Barsebäk (Szwecja – 20 km od centrum Kopenhagi), w Greifswald

(NRD) i polski Żarnowiec. Minister ochrony środowiska Lone Dybbjær oraz minister energetyki Jens Bilgrav-Nielsen zapowiadają, że będą protestować przeciwko budowie elektrowni w Żarnowcu, lecz jednocześnie deklarują pomoc Polsce w opracowaniu alternatywnego planu energetycznego.

ŚWIEŻE POWIETRZE DLA POLSKICH DZIECI

Na duńskiej wyspie Roemoe, położonej na Morzu Północnym w pobliżu niemieckiej wyspy Sylt, z prywatnej inicjatywy urządzone zostały kolonie dla polskich dzieci, pochodzących z najbardziej zanieczyszczonego regionu Śląska tzw. Trójkąta Śmierci. Założycielem i kierownikiem kolonii jest emerytowany nauczyciel Svend Overlade. Koszty przejazdu i pobytu około 20 dzieci, opiekunów, polskiego lekarza i nauczyciela wynoszą ok. 6 tys. dol. Jak dotąd z prywatnych środków udało się zorganizować 4 turnusy.

Na czterotygodniowej rekreacji na Roemoe przebywało łącznie 102 dzieci, skierowanych tam przez polskich lekarzy. Wpływy z prywatnej zbiórki okazały się jednak niewystarczające, ale na szczęście duńskie organizacje humanitarne odpowiedziały pozytywnie na apel organizatorów kolonii i ta cenna inicjatywa będzie kontynuowana.

Kopenhaga, 12.03.1990

Roman Śmigieński

Wielonarodowa Francja

Ewa Darmas

Integracja po francusku

Obraz trochę jak ze zwariowanego smu. Osiedle mieszkaniowe jak wiele innych – drzewa, krzewy, ławki, huśtawki dla dzieci, banalne bloki. Pod ścianą 10-piętrowego wieżowca siedzi stary człowiek. Siedzi na ziemi, oparty plecami o ścianę bloku. Wyciągnięte bosc nogi, postrzępiona koszula do kolan, na głowie spławiły zawój, nigdy chyba pogmaraczowy. Nie zauważa, że trochę za zimno i na ten strój, i na przesiadywanie na ziemi, a 10-piętrowiec w niczym nie przypomina chałupy z marokańskiej czy algierskiej wioski, która najpewniej latami służyła za podporę jego pleców. Starzec najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo nie pasuje do otoczenia. Ludzie przechodzą, udają, że nie dziwnego nie zauważyli. Obraz ten, przypadkowo symboliczny, można by nazwać adaptacją obcookrajowców w stylu francuskim.

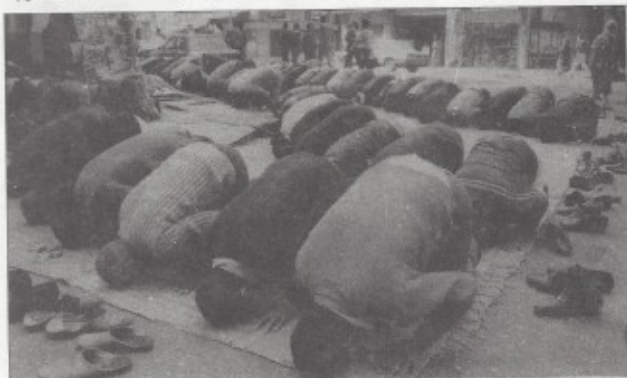
Integracja obcookrajowców ze społeczeństwem francuskim często pozostaje w sferze myślenia życzeniowego – *wish-full thinking*. Przybyśże z krajów arabskich czy Turcy żyją na pograniczu społeczeństw europejskich, zamknięci w gettach najbardziej niebezpiecznych dzielnic, we własnym obyczajach, ściśle związanym z religią muzułmańską. Podczas gdy społeczeństwo francuskie – tak naprawdę – nie robi nic, żeby ich zintegrować, to i przybyśże nie manifestują takiej potrzeby. Należą do innego kręgu kulturowego, ich religia w skrajnych przejawach jest religią fanatyczną i niechętną kulturze chrześcijańskiej. Ich życie rodzinne, dopuszczające wielożenstwo, nie pasuje ani do zwyczajów europejskich, ani do obowiązującego tu prawa. Między przybyszami a gospodarzami trwa cicha niechęć, o której skutkiem obfudy i dla świętego spokoju głośno się nie mówi.

Wiadomo, że islam, biorąc pod uwagę liczbę wyznawców jest drugą po chrześcijaństwie dominującą religią we Francji. Ilu jest więc tutaj muzułmanów? Ze względu na przynależność religijną, pozostającą prywatną sprawą obywatela, oficjalnych statystyk się nie prowadzi. Wprawdzie ostatnio próbowano przeformować taki projekt, ale wywołał on zbyt duże oburzenie opinii publicznej, by mógł dojść do skutku. Wiadomo natomiast, że

6% uczniów francuskich szkół państwowych, to dzieci narodowości algierskiej, marokańskiej, tunezyjskiej i tureckiej. Procent ten jest znacznie wyższy w regionie paryskim i Lyonie. Ale i te statystyki też nie są absolutnie spolegliwe. Algierczykom, Tunezjczykom i Marokańczykom, jako mieszkańcom byłych kolonii francuskich lub też terytoriów, które pozostawały pod francuskim protektorałem, przysługują specjalne prawa w uzyskaniu obywatelstwa francuskiego. Mogą oni ubiegać się o to obywatelstwo już po 2 latach pobytu na terytorium francuskim; emigrant z Europy potrzebuje na to 5 lat. Interesujące jest też określenie asymilacji emigranta, jako jednego z podstawowych warunków otrzymania obywatelstwa, przez francuski kodeks cywilny: "Nie może nikt otrzymać obywatelstwa, jeśli nie udowodni swojej asymilacji w społeczeństwie francuskim, głównie przez dostateczną znajomość języka francuskiego". Wystarczy więc znać język francuski, żeby nie tylko zostać uznanym za osobę zasymilowaną, ale nawet uzyskać obywatelstwo tego kraju. W sumie wielu Algierczyków czy Marokańczyków od dawna figuruje w statystykach jako pełnoprawni Francuzi, choć faktycznie nigdy nie wyszli ze swoich gett. I tak to trwa od lat, zaś od czasu do czasu przywódca nacjonalistycznego Frontu Narodowego Le Pen wygłosi jakąś "odważną" opinię o Ara-

bach, przeciwko której wszyscy oficjalnie protestują, a w duchu przyznają mu rację. W końcu Francuzom nie tak łatwo zapomniać chociażby o zamachach bombowych w Paryżu, organizowanych przez wyznawców proroka.

Funkcjonowanie tych wyizolowanych grup, tych społeczeństw w społeczeństwie nie jest w sumie dla Francuzów aż tak niewygodne. Problem zaczyna się, gdy następuje nieunikniony styk. Terenem takiego styku bywa często szkoła. O jednej z nich, w małym miasteczku w górach (Savoie) o nazwie Tenay pisze paryski dziennik *Le Monde*. W miasteczku tym prawie połowa uczniów, to Turcy. Ich rodziców zwabiły do tego miasteczka puste mieszkania, porzucone przez byłych pracowników zamkniętej fabryki tekstylnej. Zasiadłone przez Turków budynki są w skandalicznym stanie, w pół zrujnowane, ale przybyśże nie okazali się zbyt wymagający. Jak twierdzi dyrektorka tutejszej szkoły podstawowej, duża część tureckich dzieci zjawia się na początku roku szkolnego, żeby dokonać wpisu, a potem znika ze szkoły na zawsze. Inne całymi tygodniami opuszczają lekcje i ani od nich, ani od rodziców nie można się dowiedzieć powodów ich nieobecności. Generalnie żadne nie przychodzi do szkoły w piątek, dzień targowy, bo idą z matkami na zakupy, żeby im służyć za tłumacza. Część dzieci kierowana jest do spec-



Islam jest drugą po chrześcijaństwie dominującą religią we Francji



"wojna fularów"

jalnej klasy "inicjalnej", w której mają się uczyć języka francuskiego. Najczęściej jednak nie wykazują większej ochoty do nauki i po roku okazuje się, że nadal nie są przygotowane do udziału w normalnych lekcjach.

Szkola ta nie jest we Francji czymś wyjątkowym. Takich szkół jest wiele – szczególnie w otaczających Paryż – satelitarnych miasteczkach. Dla rodziców, którzy pragną, aby ich dziecko chodziło do szkoły o wysokim poziomie nauczania, jest to prawdziwa zgroza. Ponieważ we Francji obowiązują ścisła rejonizacja, przesunięcie dziecka do innej szkoły narusza tyle problemów, że najczęściej jest niewykonalne. Rodzice, których na to stać, umieszczają więc dzieci w szkołach prywatnych. I znów nie mówi się głośno, że jedną z przyczyn – jak mówią Francuzi – "kłęski szkolnej", jest duży procent dzieci z innych kręgów kulturowych, które nie mają wytworzonych w domu motywacji do dobrej nauki. Przyczyn niskiego poziomu nauczania we francuskiej szkole jest oczywiście o wiele więcej, ale i ten element nie pozostaje bez znaczenia. Charakterystyczne, że narzekania te nie dotyczą liceów, ponieważ dzieci nie przywiązują wagi do nauki już do nich nie docierają (nauka we Francji jest obowiązkowa do 16 lat).

Kilka miesięcy temu gimnazjum Gabriel-Havez w Creil (region paryski) nie schodziło z tytułów gazet i programów telewizyjnych. Sprawa zatoczyła tak szerokie kręgi, że zmusiła do zajęcia stanowiska ministra edukacji Jospina i premiera Rocarda. Cóż wydarzyło się w tej szkole? Otóż trzy dziewczęta pochodzenia arabskiego – Samira, Fatima i Leila – zostały wyrzuczone ze szkoły za noszenie tradycyjnych chust. Najwykleszych chustek, zawieszanych pod szyją i nie zasłaniających twarzy.

Szkola francuska jest szkołą laicką, wszelkie manifestacje wiary są w niej zabronione. Dotyczy to w takim samym stopniu dzieci chrześcijańskich co żydowskich czy muzułmańskich. Pytanie tylko, czy muzułmańska chusta jest manifestacją wiary czy po prostu obyczajem, bardziej

dotyczy, że krąg muzułmański nie mają pod tym względem ściśle ustalonych reguł. Inaczej wygląda nakrycie głowy kobiety z Maroka, inaczej – żyjącej w Iranie. Żydowskie chlopki chodzą od lat do szkoły w jarmulkach i podobna afera nigdy z tego powodu nie wybuchła. Prawdopodobnie nie wszystko na temat konfliktu w Creil zostało do końca powiedziane. Wiadomo natomiast, że w gimnazjum Gabriel-Havez jest 855 uczniów 25 różnych narodowości, w tym 500 muzułmanów. Wiadomo też, że dwie trzecie tutejszych uczniów jest opóźnionych w nauce.

Chusta na głowie muzułmańskiej dziewczyny czy jarmulka na głowie żydowskiego chłopca, to tylko przejawy czysto zewnętrzne, moim zdaniem bez żadnego znaczenia. Jednak francuska szkoła, gdzie stykają się odmienne wiary i obyczaje ma tych problemów o wiele więcej i wiele bardziej poważnych. I tak na przykład muzułmańskie dziewczęta odmawiają udziału w ćwiczeniach gimnastycznych czy nauce pływania. Jeszcze trudniej niż chustę, zdjąć im pozostały ubiór. W szkolnych stołówkach, gdy na obiad jest akurat wieprzowina, małym wyznawcom islamu trzeba przygotowywać inne dania. Nikt w szkole nie ma takiego obowiązku, robi się to dla świętego spokoju. Przed świętem Ramadanu muzułmanie nie jedzą i nie piją aż do zachodu słońca. Post trwa dość długo i można się domyślać, jak wygłodzone dzieci przykładają się wówczas do szkolnych obowiązków. Na odmianę młodzież żydowska chce, żeby ją zwalniano z zajęć szkolnych już w piątek po południu, a w sobotę w ogóle nie zjawia się w szkole. Katolicy protestują przeciwko nauczaniu w środy (jest to dzień wolny od zajęć szkolnych, co narusza wiele kłopotów, gdy oboje rodzice pracują), bo w środy dzieci chodzą na katechizm. Do tego trzeba doliczyć muzułmańskie czy żydowskie święta, które zwiększają liczbę nieobecnych w szkole uczniów. Wydaje się, że laicka szkoła francuska pozostaje taką już tylko z nazwy. O ile w innych krajach ciągle się jeszcze mówi o tolerancji dla różnych wyznań, to we Francji odwrotnie, zaczyna się mówić o tolerancji dla laickości.

I tym sposobem Francuzi wypijają piwo, które wcześniej sobie nawarzyli. Grupowanie obcokrajowców w biedniejszych dzielnicach, faktyczne powstawanie gett odbywało się nie tylko za cichym przyzwoleniem Francuzów, ale było wręcz konsekwencją manipulowanej polityki mieszkaniowej, prowadzonej przez merostwa. Podobną politykę stosowano też w przypadku szkół. Szkoły państwowe, w których powinna obowiązywać rów-

ny poziom nauczania, pozycyjni się na elitarnie w lepszych dzielnicach i budzące zgrozę w dzielnicach obcokrajowców. W gettach skupił się przestępczy element, rozkwitł handel narkotykami, rozpanoszył się brud w źle sprzątanym i od lat nie remontowanych blokach. Trzeba było "wojny fularów"^{*} jak górnolotnie nazwali Francuzi aferę w Creil, by prawda nie tyle wyszła na jaw, bo od dawna była wszystkim znana, ale by głośno o niej powiedziano.

Po awanturze w gimnazjum Gabriel-Havez, w innych szkołach też zaczęto się rozglądać, czy jakaś dziewczyna nie nosi chusty, a w szpitalu w Dijon nie przyjęto na staż kobiety-lekarka wyznania muzułmańskiego, która zadeklarowała, że w czasie pracy będzie nosić nakrycie głowy. Postponowanie kobiet w chustach trwało jednak krótko, Francuzi zrozumieli, że jest to przedsięwzięcie śmieszne i do niczego nie prowadzi. A w każdym razie na pewno nie rozwiąże problemu adaptacji ludzi innych wyznań i kręgów kulturowych w społeczeństwie francuskim.

W efekcie premier Michel Rocard powołał komitet międzyministerialny, który ma się zająć sprawami integracji obcokrajowców. Myślano nawet o stworzeniu specjalnego ministerstwa, jednak część członków rządu zanegowała sens takiego przedsięwzięcia. Czy komitet ten rzeczywiście coś zdoła? W moim głębokim przekonaniu – nie. Jeśli na przykład jego celem jest niedopuszczanie do powstawania gett, to wziął się za tę robotę o jakieś 30 lat za późno. Getta już istnieją, a ich mieszkańcy, często bezrobotnych lub źle zarabiających, nie da się raczej przenieść do wytwornych i bogatych dzielnic. Szkoły, funkcjonujące w tych gettach pozostaną, jakie są. Z dnia na dzień nie da się zmienić postaw uczniów ani ich rodziców. Proces będzie trwał długie lata i też nie wiadomo * w jakim pójdzie kierunku. Bo tak naprawdę czegoś żądają Francuzi na przykład od muzułmanów, mówiąc o ich integracji? Nic innego, jak odejścia od ich wiary i obyczajów. Wygląda na to, że muzułmanie nie mają na to najmniejszej ochoty. Pradoksalnie – większą ochotę do zmiany wyznania wykazują natomiast Francuzi. Aktualnie jest we Francji 800 tys. rdzennych Francuzów wyznania muzułmańskiego (funkcjonariusze spraw wewnętrznych tam razem ich policzyli). Oblicza się, że przed upływem 10 lat liczba ta wzrośnie do półtora miliona. Czy wtedy też trzeba będzie integrować Francuzów we Francji?

Ewa Darmas

* Fular – fr. cienka tkanina jedwabna używana m.in. na szale, krawaty; chustka na szyję z tej tkaniny charakterystyczna dla mody okresu biedermiera.

Elżbieta Stasik

Czy klimat Ziemi się zmienia?

Pod koniec stycznia spokój tegorocznej europejskiej zimy naruszyła "Daria", orkan o niezwykłej sile, pędzący z prędkością dochodzącą do 155 km/godz. Jako druga, na początku lutego pojawiła się "Hertha". Jednocześnie meteorolodzy zanotowali najcieplejszy luty od początku regularnych pomiarów meteorologicznych, czyli od około stu lat. Następnemu orkanowi nazwanemu "Judith" towarzyszyły opady o sile potopu. Łańcuch tych pogodowych szaleństw zakończyły "Vivian" i "Wiebke". Ich szacunkowym na razie bilansem jest kilkaset zabitych, kilka tysięcy rannych, spustoszone lasy, tysiące metrów kwadratowych zabranych przez morza wybrzeży. Straty materialne liczone są na miliardy.

Po trzecim czy czwartym orkanie w zachodnich mass mediach z coraz większym przekonaniem zaczęto mówić o zachwianiu się równowagi między pochłanianą a wydalaną przez Ziemię energią słoneczną (na korzyść energii pochłanianej), o ociepleniu się klimatu naszej planety i wynikających z tego faktu anomaliach pogodowych, wreszcie o katastrofie klimatycznej, której przedsmak przyniosła Europie tegoroczna zima. Istnienie "dziury ozonowej" i tzw. efektu cieplarnianego to przypuszczalne powody klimatycznej zapaści i jednego z jej następstw – huraganów. Przesłanki to czy fakty?

Orkan — wiatr o niszczącej sile i znacznej długości trwania; synonim huraganu, cyklonu zwrotnikowego lub tajfunu.

Klimatolodzy i meteorolodzy, osoby w tej gestii najbardziej kompetentne, zachowują rezerwę. "Nękami dramatycznymi skutkami pogodowych anomalii ludzie łatwo wpadają w panikę — stwierdził zachodniemiecki astronauta Reinhard Furrer w telewizyjnej dyskusji zorganizowanej przez prywatny program tv SAT.1. — To, co obserwujemy tej zimy może być objawem normalnych wahań temperatury." Klimatolog Hans von Storch w tej samej dyskusji powiedział: "Zjawiska pogodowe należy traktować rzeczowo i z dystansem. Nie możemy straszyć. Możemy przedstawiać wyłącznie istniejące fakty. A opierając się na faktach, jakimi dysponujemy w tej chwili, nie mamy żadnych podstaw, by kojarzyć «dziurę ozonową» czy «efekt cieplarniany» z występowaniem orkanów."

Jeden z czołowych klimatologów brytyjskich prześledził cykl "orkanopodobnych nawałnic", jakie szalały nad Wielką Brytanią i kontynentem europejskim na przestrzeni 600 lat i doszedł do wniosku, że pogoda może się jeszcze po-



U wybrzeży Bretanii — fale na wysokość latarni morskiej

gorszyć, seria huraganów potwał może jeszcze 20 lat, a prędkość wiatru może w nich osiągnąć nawet 270 km/godz. Podstawą tych przewidywań jest, zdaniem brytyjskiego klimatologa, zadziwiający rytm, w jakim pojawiają się huragany. Od 1413 roku nad wyspami brytyjskimi i kontynentem europejskim przeszło 166 huraganów o sile orkanu. Szczególnie dotkliwe huragany dotknęły Wlk. Brytanię i północne wybrzeża Europy w 90-tych latach XVI, XVII, XVIII i XIX wieku oraz w latach 80-tych obecnego stulecia. Największe zniszczenia spowodował jak dotąd huragan, jaki nawiedził Anglię w grudniu 1703 roku. Zginęło wówczas 8 tysięcy ludzi. Przyczynny występowania stoletniego cyklu huraganów nie są jeszcze, według profesora, dostatecznie zbadane. On sam za możliwy powód uważa zaburzenia na powierzchni Słońca.

Cytowany przez zachodniemiecki magazyn polityczny *Der Spiegel* w artykule na temat orkanów Heinrich Höber z hamburskiego instytutu meteorologicznego uznał związek między zanieczyszczeniem środowiska a orkanami za taki, jaki istnieje między "wielkością produkcji piwa a rozmnażaniem się szczurów."

Jak widać i rezerwa naukowców ma swoje granice. Zwłaszcza wtedy, gdy eks-



Zniszczona wieża kościoła w Wallmerode (RFN).

w głowach laików. Podczas bowiem gdy jedni zaprzeczają związkowi dziury ozonowej i efektu cieplarnianego z brutalnymi szaleństwami natury, inni z rzeczową pewnością fakty te kojarzą.

Zachodniemiecka "Enquete-Kommission" (z fr. – ankietować) powołana przez Bundestag, kierowana przez posła z ramienia unii chrześcijańskodemokratycznej (CDU) Berna Schmidbauera opracowała raport pt.: "Ochrona atmosfery ziemskiej – badanie międzynarodowe". Raport tłumaczy m.in. zjawisko "efektu cieplarnianego".

Wskutek spalania węgla, ropy naftowej, gazu ziemnego i drewna zawartość dwutlenku węgla w atmosferze wzrosła od początku epoki uprzemysłowienia, a zatem od 100-120 lat, z 280 ppm (part per milion – czyli 280 cząsteczek CO₂ na 1 milion cząsteczek powietrza) na 348 ppm w 1987 roku. Rocznie zawartość dwutlenku węgla w atmosferze wzrasta o 0,4%. Jak wpływa to na stan atmosfery?

Cząsteczki dwutlenku węgla przepuszczają krótkofalowe promienie słoneczne, które ogrzewają powierzchnię lądów i oceanów; długofalowe promienie słoneczne odbijane od powierzchni Ziemi zostają przez znajdujące się w atmosferze cząsteczki dwutlenku węgla odbite z powrotem w kierunku Ziemi. Cząsteczki CO₂ działają w atmosferze dokładnie tak jak szyba cieplarni. Stąd nazwa zjawiska – efekt cieplarniany. Atmosfera ziemska staje się zatem tym cieplejsza, im więcej zawiera cząsteczek CO₂. Od początku regularnych pomiarów temperatury, czyli od około 100 lat przeciętna temperatura przy powierzchni Ziemi wzrosła o 0,7°C.

Za powstanie efektu cieplarnianego dwutlenek węgla odpowiedzialny jest w 50%. W około 35% – metan i gazy napędowe (węglowodory fluoro-chlorowe stosowane m.in. w aerozoliach, będące głównym powodem powstania tzw. dziury ozonowej); reszta to inne gazy, kurz, para wodna, o różnym, nie zbada-



Orkan Vivian u wybrzeży Atlantyku

nym jeszcze dokładnie wpływie na ocieplenie atmosfery ziemskiej, prawdopodobnie jednak przez zdolność kumulowania ciepła także pozostające nie bez winy.

O ile stosowanie paliw kopalnych – węgla, ropy naftowej itp. – utrzymanie zostanie na obecnym poziomie, naukowcy liczą się ze wzrostem temperatury w ciągu następnych 40 lat o 1,5-4,5°C. Jeśli użycie tych paliw będzie rosło, nastąpi ocieplenia rzędu 3-9°C.

Ocieplenie klimatu powoduje, że ciepła strefa klimatyczna przesuwa się ku biegunom. W strefach umiarkowanych lata będą bardziej suche – przykładem susza w 1988 roku w Stanach Zjednoczonych, w Chinach i na Syberii. Narastają przy tym ekstremalne warunki pogodowe, ich przykładem są ciężkie sztormy, od 1987 roku regularnie nawiedzające południowe wybrzeża Anglii, czy "Gilbert" i "Hugo", najstraszliwsze w historii huragany na Wyspach Karaibskich. Ich przyczyną jest ocieplenie się coraz rozleglejszych powierzchni oceanów, co powoduje gwałtowny wypór wilgotnych mas powietrza, które w zetknięciu z chłodnym powietrzem napływającym z

townie huragany.

Wydawałoby się, że mamy wreszcie przejrzyste wyjaśnienie przyczyn pojawienia się Darii, Herthy, Judithy, Vivian i Wiebke. Co prawda "z góry", bo raport powstał w 1988 roku, ale nie przeszkadzały to, bo wszystkie klocki klimatycznej łamigłówki pasują tu do siebie doskonale. Ale...

Po serii huraganów pojawiła się w prasie informacja zachodniemieckiego instytutu meteorologicznego w Offenbach, z której dowiedzieć się można, że orkany – szczególnie silne wichury z prędkością wiatru ponad 118 km/godz. – o tej porze roku spowodowane są ekstremalnymi różnicami temperatur występujących na naszej półkuli. Nad północną częścią kontynentu północnoamerykańskiego i południowym skrajem obszaru polarnego panuje temperatura do -15°C. Z południa, znad Atlantyku nadciąga ciepłe powietrze o temperaturze 15-20°C. Masy ciepłego i zimnego powietrza zderzają się, w następstwie gwałtownego spadku temperatury powietrza wyzwała się ogromna energia przeobrażająca się w huragan o prędkości 150 km/godz. i więcej.

Na granicy zderzenia się mas powietrza dochodzi do połączenia się obu frontów – ciepłego i chłodnego i powstaje tzw. okluzja.

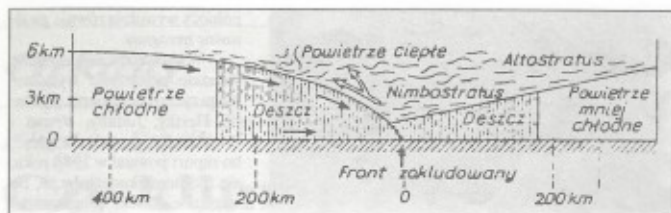
Tyle informacja instytutu meteorologii. Sięgniecie do encyklopedii wyjaśnią, co to jest okluzja: "inaczej – front zokludowany, czyli zjawisko łączenia się frontów atmosferycznych w tzw. układzie niżowym. W chłodnej porze roku towarzyszą mu długotrwałe opady i o-

cieplenie, w ciepłej – długotrwałe opady, częste burze i ochłodzenie. Wyjątkowo w zimie z nadejściem niżu wiąże się występowanie gwałtownych burz, wicher i silnych opadów."

Czyżbyśmy mieli więc do czynienia z wyjątkowym, ale normalnym zjawiskiem atmosferycznym? A co z efektem cieplarnianym? Hamburgski meteorolog, prof. Klaus Hasselmann uspokaja, że od rzeczywistych, nadchodzących zmian klima-



Orkan Wiebke "ukradł" wyspie Sylt (RFN) 50 tys. km² powierzchni



Schemat frontu zokludowanego - okluzja typu chłodnego

Encyklopedia PWN, W-wa 1983, s. 838

tycznych oddaleni jesteśmy jeszcze z pewnością 8-10 lat.

Ze świata nauki łatwiej wydobyć wizję przyszłości niż ocenę teraźniejszości. A co do tego, iż klimat Ziemi ociepla się, zgodni są wszyscy eksperci, wróćmy więc do przyszłości.

Jednym ze skutków wzrostu temperatury będzie topnienie lodowców i podniesienie się lustra wody w morzach i oceanach w ciągu nadchodzących 100 lat o 1,5 metra.

Spodziewane w związku z tym problemy spowodowały istniejące w Wenecji towarzystwo "Citta d'acqua" (miasto na wodzie) do zorganizowania w grudniu ub. roku spotkania planistów i naukowców z 30 miast portowych świata, m.in. z Rotterdamu, Rio de Janeiro, Hamburga, Marsylii i Bostonu. Uczestnicy kongresu zastanawiali się, jak ochronić swe miasta przed zatopieniem. "Zmiany klimatyczne są dla nas ogromnym niebezpieczeństwem" - powiedział Robert Frassetto, naukowy przewodniczący Towarzystwa. "Podmieszenie się poziomu wody o 1,5 metra oznaczać może katastrofę." Inny uczestnik kongresu, włoski architekt Paolo Ceccarelli uzupełnił: "Musimy przygotować się do następstw wzrostu temperatury. Oczywiście, żeby powstrzymać falę powodzi trudno we wszystkich miastach nadbrzeżnych zbudować takie wały przeciwpowodziowe, jakie są w Nowym Jorku, ale nauka musi przynajmniej dostrzymać kroku rozwojowi natury."

W Wenecji nie zapadły decydujące rozstrzygnięcia. Ale i nie mogły zapasć, bo nie naukowcy i architekci dysponują pieniędzmi, których na zabezpieczenie wybrzeży i nadbrzeżnych miast wyasygnować trzeba będzie ogrom. Christopher Flavin z Worldwatch Institute w Waszyngtonie ocenił, że ochrona całego wschodniego wybrzeża USA kosztowałaby do 2100 roku więcej niż 300 miliardów dolarów. Politycy na razie puszczają tę informację mimo uszu. "Kiedyś jednak będą musieli się zdecydować, czy wydać tak ogromne sumy na budowę wałów przeciwpowodziowych czy oddać wybrzeża oceanowi" - stwierdza Ch. Flavin.

Ale to dopiero początek wizji przyszłości. Globalny wzrost temperatury pociągnąć może za sobą konsekwencje wyłaniające się na zasadzie reakcji łańcuchowej. Interesujący eksperyment przeprowadziła w marcu 1986 roku amerykańska ekspedycja arktyczna, która specjalnym samolotem Lockheed WP-30 należącym do National Oceanic and Atmospheric Administration śledziła chmurę smogu przesuwającą się nad Europą wzdłuż koła podbiegunowego. Jak powstała ta chmura, jedna z wielu docierających nad Europę na Północ? Zimne, suche powietrze nad Arktyki rozciągnęło się nad środkową i wschod-

nią Europą. Przez pięć dni koncentrowały się w tej masie zimnego powietrza wszelkiego rodzaju zanieczyszczenia. Nie wypułaki ich nawet deszcze wywołane ciepłą masą powietrza, jaka nadeszła z Atlantyku. Po pięciu dniach nieś z nad Norwegii zawrócił zatrute masy powietrza w kierunku północnym. Niezwykle czułe przyrządy pomiarowe, w jakie wyposażony był samolot, wykryły na podstawie pró-

bek powietrza typowe zanieczyszczenia zbierane nad obszarami przesuwania się chmury - gaz napędowy (węglodór fluorowo-chlorowy), typowy składnik powietrza z nad RFN; cząsteczki oparów benzyny i toluenu (związek organiczny otrzymany przy destylacji smoły, surowiec m.in. w przemyśle barwników i materiałów wybuchowych) z nad Związku Sowieckiego.

Pył z chmury zaciemnił partie arktycznej mgły, opadł na śnieg i lód. I tu zaczyna się wielowątkowy klimatyczny horror. Zanieczyszczenie obszarów polarnych doprowadzić może do zmiany ich albedo. Albedo to liczba podawana

zwykle w procentach, charakteryzująca zdolność odbijania promieniowania przez dane ciało; im dane ciało lepiej odbija promieniowanie, tym większe jest jego albedo. Dla całej ziemi albedo wynosi przeciętnie 37-41%, dla śniegu 80-90%. Zaciemnienie partii śniegów i lodów zmniejszy ich zdolność odbijania promieni słonecznych.

Zanieczyszczone, czyli także ciemniejsze partie arktycznej mgły gromadzą więcej promieni słonecznych niż partie jasne, nie zanieczyszczone. Wzmoczone pochłanianie promieni słonecznych podnosi temperaturę powietrza nad Arktyką o dziesiąte stopnia Celsjusza, jednak jak stwierdzili członkowie ekspedycji: "Nawet najmniejsze ocieplenie regionów polarnych oznacza zmianę bilansu energetycznego na całej Ziemi." A jak szybko dojść może do skoku temperatury, zilustrowali na modelu klimatycznym wybrzeży Spitsberge-
nu.

Powietrze nad pokrywą lodową otaczającą Spits-



...gen jest o wiele zimniejszy, niż wody płynącego pod lodem Gólfstromu. Jeżeli temperatura powietrza wzrośnie pewnego lata jeszcze tylko o kilka dziesiątych stopnia Celsjusza, krąg lodowy wokół Spitsbergenu nie tylko skurczy się, ale i stopi, a powierzchnia morza nie zamrznie już nigdy więcej. Znad wody uniesie się tyle ciepłego powietrza, że ogrzeje ono atmosferę wokół Spitsbergenu już nie o dziesiątki stopnia, a o kilka stopni Celsjusza. Stopią się kolejne partie lodowców...

Pojęcie kwadratury koła funkcjonuje w kręgu środowisko-klimat ze szczególnym powodzeniem. Zatem jeszcze jedna wizja — tym razem porównawcza.

W najmłodszej epoce lodowcowej w dziejach Ziemi, w plejstocenie temperatura obniżyła się o 8-12°C. Dzięki się to w czasie od 70.000 do 12.000 lat p.n.e. W epoce polodowcowej temperatura wzrastała powoli, najcieplej było w czasie 6.000-3.000 p.n.e., kiedy temperatura wynosiła ok. 4°C. Na podstawie skamienia tego okresu zrekonstruować można rozwój wegetacji i porównawczo prognozować wpływ obecnego ocieplania się klimatu na zachowanie się świata roślinnego w przyszłych stuleciach.

Rośliny żyjące na terenach, które staną się obszarami suszy lub zostaną zalane, lub też w jakikolwiek inny sposób zmienią się na nich warunki — zginą. Roślinność nie jest zdolna przystosować się do nowych warunków tak szybko, jak szybko zmieniać się będzie klimat. Szanse przetrwania mają jedynie te gatunki, których nasiona mogą się przemieszczać. Ale to jest problematyczne,



"Słoneczna" elektrownia w Arabii Saudyjskiej



Rok 2090: drzewo nr 231.

bo po pierwsze unoszący je wiatr musi wiać w odpowiednim kierunku, po drugie bariery, jakie tworzą miasta, system dróg, uprawy monokulturowe izolują wiele gatunków czyniąc je niezdolnymi do przemieszczania się.

Wskutek wzrostu temperatury i zmiany wilgotności powietrza rozmnożą się gatunki mało wymagające, prymitywne, wypierając z przestrzeni życiowej gatunki bardziej złożone, o wyższym stopniu rozwoju. Wyginiecie już pierwszej rośliny z biotopu wybija z równowagi cały ekosystem. Ginią owady, dla których wymarły gatunek był podstawą pożywienia, giną ptaki, które żywiły się tymi owadami itd., itd. To oczywiście uproszczony scenariusz przyszłości. Pewne jest, że przy tak gwałtownej zmianie klimatu szanse przystosowania się mają gatunki z szybko następującymi po sobie pokoleniami. Jest ich jednak niewiele i są to przeważnie właśnie gatunki o niskim stopniu rozwoju. Las tropikalny na przykład zdolny jest przystosować się do wzrostu temperatury zaledwie o 1-2°C, a i wówczas zależą go prymitywne gatunki zmieniające szybko cały ekosystem.

Lasy tropikalne to też zresztą kolejny przykład reakcji łańcuchowej. Masowe karczowanie i wypalanie puszczy tropikalnej, jakie odbywa się w Ameryce Południowej, powoduje wzrost zawartości dwutlenku węgla w atmosferze poprzez z jednej strony — wywołaną pożarami zwiększoną emisję CO₂, z drugiej — eliminacją możliwości przetwo-

żenia dwutlenku węgla na tlen w procesie fotosyntezy. Jeszcze jeden powód do nasilenia się efektu cieplarnianego...

Rozsądek nakazuje, by nie czekać na ostateczny efekt wszystkich tych zmian. Jeżeli będziemy już pewni, jak dalece zmiany klimatyczne zagrażają istnieniu ludzkości, na zatrzymanie procesu przeobrażeń może być za późno. Szansą dla nas, a zwłaszcza dla przyszłych pokoleń, jest natychmiastowe, skuteczne współdziałanie wszystkich krajów. Na przykład karczowanie puszczy amazońskiej może zatrzymać tylko finansowe wsparcie zadłużonych krajów Ameryki Południowej, które poprzez sprzedaż drewna zdobywają dewizy. Emisja dwutlenku węgla mogłaby być znacznie ograniczona, gdyby tradycyjne elektrownie zastąpiono kolektorami słonecznymi i to zarówno w energetyce komunalnej jak i przemysłowej, tak w krajach wysoko rozwiniętych jak i w krajach Europy Wschodniej.

Lloyd Timberlake, były redaktor d/s naukowych Agencji Reutera, obecnie pracownik amerykańskiego Institute for Environment and Development (instytutu do spraw rozwoju i środowiska) zapytany, czy możliwa jest międzynarodowa współpraca na rzecz ochrony środowiska odpowiedział: "Prawdopodobnie nie, ale jeżeli nie, wówczas uratowanie naszej planety nie jest realne."

Elżbieta Stasiak

Piotr Kowalczyk

Opowiedzcie o tym dalej (cz. III)

Oskar Schindler, którego niezwykle poczynania zainspirowały poniższą opowieść (jej I i II część drukowaliśmy w styczniowo-lutowym i marcowym numerze "Poglądu"), był urodzonym w Sudetach niemieckim przemysłowcem. Były szpieg hitlerowskich Niemiec, późniejszy przedsiębiorca, sumiennie wspierający III Rzeszę dochodami z założonej przez siebie w podkrakowskim Płaszowie fabryki, był zarazem człowiekiem o wyjątkowych cechach charakteru. Jego

poświęceniu, odwadze graniczącej z szaleństwem zawdzięcza życie ponad 1200 zatrudnionych przez niego Żydów. Terenem działalności O. Schindlera była najpierw Polska, potem czeskie Morawy, dokąd do Brünnlitz (dzisiejszego Brnec) przeniósł swą fabrykę o nazwie DEF-a. W chwili nadejścia Rosjan, w maju 1945 roku Oskar Schindler z żoną Emilie opuszcza Brünnlitz. Zaczyna się ostatni etap jego wojennych losów.

Odyseja

W skórzanych obiciach drzwi mercedesa ukryte były kosztowności, natomiast ciężarówkę wyładowano alkoholem i żywnością. Schindler postanowił jechać do Austrii. Już koło Havlickowego Brodu natknął się na czeskich partyzantów, którzy pozbawili konwoj broni, a w samym mieście, gdzie Czerwony Krzyż ułokował ich wobec braku miejsc noclegowych w więzieniu, zginął cały ładunek ciężarówki i ukryte kosztowności. W dodatku silniki obu aut rozebrano na części.

Typ niemniej, po paru dniach, częściowo piechotą, częściowo koleją, grupa dotarła do lasu pod Linzem, gdzie natknęła się na patrol amerykański. Po kilku godzinach w

dni w luksusowych warunkach na koszt armii amerykańskiej, a potem, wyposażeni w zarekwirowany przez rabina ambulans, dotarli do Linzu. Tam zameldowali się w amerykańskiej żandarmerii, skąd przewieziono ich ciężarówką do Norymbergii, gdzie fetował ich dowódca amerykańskiego garnizonu. Cała grupa postanowiła dostać się do Szwajcarii, gdzie jeden z więźniów, Ryszard Rechen miał ciotkę w Konstancji. Po drodze doznali kolejnego kordialnego przyjęcia przez amerykańskiego komendanta obozu przejściowego w Ravensburgu i wresz-

francuskim więźniowie, w dodatku zaopatrzeni w walutę i kosztowności, musieli w tym czasie wszędzie wzbudzać podejrzliwość, tym bardziej, że hebrajskie listy zostały w Amerykanów. Wszystkich umieszczono w osobnych celach podejrzewając, że schwymano byłych kapo i komendanta obozu koncentracyjnego. Wreszcie, po tygodniu przesłuchań, jeden z więźniów, Heuberger, zapewne poruszony faktem, że przesłuchuje go Polak, oficer armii francuskiej, złożył nieprawdopodobną, acz prawdziwą relację. Kiedy po kilku godzinach, zeznania wszystkich



Oskar Schindler 1949/50

kwaterze amerykańskiego batalionu pojawił się polowy rabin w towarzystwie żołnierzy żydowskiego pochodzenia. Schindler wyciągnął list polecający, napisany po hebrajsku przez Sterna, jak i szczegółowe sprawozdanie ze swojej działalności na Zablociu i w Brünnlitz. W połowie lektury rabinowi pocięły łzy z oczu, a kiedy przetłumaczył Amerykanom treść obu pism, ich entuzjazm nie miał granic. Oskar i jego podopieczni spędzili dwa



Jeden naród, jedna rzesza, jeden wódz: ...był absolutnie nieuczny na hitlerowską kampanię nienawis-

cie dosłownie przekroczyli granicę szwajcarską. Więźniom wydawało się, że stamtąd będzie im łatwiej starać się o emigrację, a poza tym chcieli wydosłać Schindlerów z Niemiec, by w ten sposób uchronić ich przed niezasłużonymi represjami, do których przecież dochodziło nawet w strefie amerykańskiej. Tymczasem w miasteczku granicznym Kreuzlingen zostali ujęci przez miejscową policję i przekazani okupującym ten teren władzom

zgodzili się, przesłuchujący uronili parę łez ze wzruszenia i cała grupa na koszt armii francuskiej spędziła tydzień w luksusowym hotelu nad jeziorem w Konstancji. W tym czasie Schindler pozbył się ostatnich kosztowności i po kilku tygodniach wyładował w Monachium, gdzie dzielił mieszkanie z grającymi w miejscowej knajpie braćmi Rosnerami.

Hossa Schindlera minęła bezpowrotnie. Życie wracało powoli do nor-

umiał działać w takich warunkach. Postanowił więc emigrować. Jeszcze przedtem w obozie w Monachium rozpoznał byłego komendanta obozu w Brünnlitz, Liepolda i doniósł o tym władzom amerykańskim. W rezultacie Liepold zawiązał na szubienicy za zbrodnie popełnione nie w obozie DEF-y, a w Budzynie, gdzie był przedtem komendantem obozu jenieckiego. Losami Schindlera, staraniem byłych więźniów, zainteresował się Joint Distribution Committee — ta sama organizacja, której Oskar składał sprawozdania z sytuacji Żydów w Polsce, przedzierając się z narażeniem życia do Budapesztu. Zebrano 15 tys. dolarów i w 1946 roku Schindler, w towarzystwie kilku żydowskich przyjaciół, którym opłacił podróż, znalazł się w Argentynie w okolicy Buenos Aires. Niewiele wiadomo o losach Schindlera w Ameryce Południowej. W każdym razie jego hodowla nutrii poszła w 1957 roku pod młotek. Oskar zbankrutował. Próbował jeszcze pracować jako przedstawiciel handlowy jakiejś firmy — jednak w 1958 roku bez środków do życia znalazł się we Frankfurcie. W Argentynie, tym razem na zawsze, pozostawił żonę Emilie. Ocaleni, dowiadując się, że Oskar znalazł się w tarapatkach finansowych pośpieszyli znów z pomocą. Godne podkreślenia, że starania Schindlera u władz NRF o odszkodowanie za utratę majątku w Krakowie i na Morawach spełży na niczym. Jednak dzięki pomocy w/w komitetu i bezwrotnym pożyczkom ze strony dobrze prosperujących uratowanych, Oskar utworzył fabrykę cementu. Przemysłowa działalność Schindlera skończyła się kolejną plajtą w 1961 roku. Gdy przyjaciele Oskara w Izraelu dowiedzieli się o tym, otrzymali zaproszenie do Tel Awiwu, gdzie właśnie odbywał się proces Eichmanna. Wówczas to po raz pierwszy świat dowiedział się o Oskarze Schindlerze. Akredytowany w Tel Awiwie dziennikarz brytyjskiego dziennika *Daily Mail* skonstrastował obie postaci: Adolfa Eichmanna, kierownika wydziału d/s Żydów w RSHA (Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy) i Oskara — który uratował 1300 osób przed Eichmannem. W artykule



Proces Eichmanna w Jerozolimie w 1961 roku.

znalazł się również cytat z listu polecającego Joint Distribution Committee, w jaki zaopatrzono Schindlera przed podróżą do Argentyny: "Nie zapomniany nieszcześć w Egipcie, nie zapomniany Hamana* i Hitlera. Także pomiędzy niesprawdliwymi nie zapomniany sprawiedliwych. Pamiętajcie o Oskarze Schindlerze." Z tej okazji Schindler musiał stawić czoła dziennikarzom na konferencji prasowej w Jerozolimie. Nieprawdopodobieństwo wyczynów Oskara budziła różne podejrzenia. Jeden z dziennikarzy zapytał nawet: "Jak Pan wytłumaczy, że znał Pan wszystkich dostojników SS w Krakowie i utrzymywał z nimi regularne kontakty?" Schindler z właściwym sobie poczuciem humoru, odpowiedział: "W tych czasach było mi raczej

trudno dyskutować o losach Żydów z naczelnym rabinem Jerozolimy."

Wizyta w Izraelu z 1961 roku zapoczątkowała coroczny rytuał. Od tej pory Oskar spędzał pół roku w Jerozolimie i Tel Awiwie, a resztę w skromnym mieszkaniu przy dworcu głównym we Frankfurcie. Odyseja dobiegła końca.

Epilog

W rok później, staraniem komitetu Jad-waszem, któremu przewodniczył sędzia główny w procesie Eichmanna, Landau jak i były fałszerz Schindlera, Mosze Bejski, Oskar uroczyście odsonił w Parku Bohaterów w Jerozolimie poświęconą mu tablicę pamiątkową. Zbiegło się to z jego 54 rocznicą urodzin. W 10 dni później został uznany za Sprawiedliwego Pomiedzy Narodami i zaproszono go do zasadzenia tradycyjnego drzewka chleba świętojańskiego w Alei Sprawiedliwych. Rośnie tam do dziś, obok drzewek zasadzonych przez znajomych Oskara z Krakowa — właściciela fabryki mundurów Madritcha i jego pełnomocnika Titscha — z własnej kieszeni dożywających swych żydowskich pracowników. Wówczas to po raz pierwszy o zasługach Schindlera doniósł niemiecka prasa. Nie ułatwiło to Schindlerowi życia we Frankfurcie. Zaczęto wybijać mu szyby i obrażać na ulicy. Kiedy zaś Schindler znokautował na ulicy robotnika, który nazwał go: "cahującym Żydem" (nieprzetłumaczalne: Judenkiller), postawiono go przed sądem i skazano na zapłacenie grzywny. Jak pisał o tym Schindler w liście do Henryka Rosnera: "Chciałem się zabić w sądzie, ale dałoby to tym ludziom zbyt dużo zadowolenia".

Od tej chwili uratowani Żydzi stali się jego jedynym finansowym i emocjonalnym oparciem. W Los Angeles, dzięki staraniom Leopolda Pfefferberga, i w Tel Awiwie, za sprawą Sterna, Sternberga i Bejskiego utworzono dwa specjalne komitety, zajmujące się finansowym zabezpieczeniem

* Biblia, Ks. Estery: Haman, najwyższy dostojnik perskiego króla Ahaswera; obrazony na Mardocheusza, opiekuna Estery, postanowił zgładzić wszystkich Żydów w państwie perskim, na co uzyskał dekret królewski. Dzięki interwencji Estery plan ten został udaremniony, Haman zaś powieszony. Dla upamiętnienia ocalenia Żydzi obchodzą corocznie Święto Purim.



Oskar Schindler z kanclerzem Konradem Adenauerem. Po lewej dr Bejski i J. Sternberg — jedni z 1200 uratowanych "schindlerowskich" Żydów.

Schindlera. Wreszcie i docieniono Oskara w Niemczech. W 1966 roku otrzymał za ręką kanclerza Adenauera Krzyż Zasługi, a w dwa lata później arcybiskup Limburga wręczył mu Order Rycerski Zakonu św. Sylwestra. Mniej więcej dopiero w tym czasie, po wieloletnich staraniach, rząd niemiecki zdecydował się wypłacić Schindlerowi skromną miesięczną rentę w wysokości 200 DM — wówczas jedna piąta przeciętnych miesięcznych zarobków w RFN.

Byli podopieczni Oskara starali się nadać jego życiu jakiś konkretny cel i postanowili wykorzystać jego wrodzone talenty towarzyskie, łatwość nawiązywania kontaktów i wciąż nieblednący urok osobisty. Schindler zaczął zbierać fundusze dla Niemieckich Przyjaciół Uniwersytetu Hebrajskiego. Poza tym opracował system wakacyjnej wymiany uczniów między Izraelem i RFN. W 1973 roku 80 ocalałych przez Oskara Żydów zebrano 20 tys. dolarów i za tę sumę wynajęto piętro w

pierwszy i ostatni przekroczyło tysiące ortodoksyjnych Żydów.

Jednak opowieść ta nie kończy się 9 października 1974 roku. Schindler, poprzez książkę Kenneally'ego, na stałe wszedł do zbiorowej świadomości. Wiedzieć o nim na pewno będą przyszli laureaci stypendium im. Oskara Schindlera, ufundowanego przez Uniwersytet Hebrajski w Los Angeles, a pytać o niego będą co dociekliwi spacerowicze w Nowym Jorku, gdzie poświęcono mu jedną z ulic. Schindler stanie się na pewno mieszkańcem zbiorowej wyobraźni, jeśli William Scorsese zrealizuje w Hollywoodzie planowany obraz. Na pewno jednak nikt nie będzie w stanie do końca odpowiedzieć na podstawowe pytanie:

DLACZEGO DOKONAŁ TEGO WSZYSTKIEGO?

W 10 rocznicę śmierci Oskara w Frankfurcie tzw. Ackermann-Gemeinde, skupiająca sudeckich Niemców-katolików zorganizowała uroczystość, podczas której głos zabrała m.in. pani dr Charlotte Schiffler, opiekująca się Schindlerem w ostatnich latach jego życia. Oskar miał jej wyjaśnić, że w dzieciństwie

przyjaźnił się z dziećmi mieszkającego tu o-

bok rabina i ogromnie smakowało mu ciasto rabinowej. Poza tym miał wielu żydowskich kolegów w szkole i stąd był absolutnie nieczuły na hitlerowską kampanię nienawiści. Z innej okazji, w 1957 roku, Schindler wyjaśnił: "Motywem mojego działania i powodem wewnętrznej przemiany było stojące mi codziennie przed oczyma cierpienie Żydów i brutalne zachowanie pruskich nadludzi na okupowanych terenach, tych zakłamanych krętaczy, którzy mają ojczyznę — Sudety — przemienili w kolonię i splotdrowali. Poza tym wpłynęła na mnie nienawiść pomiędzy SS i SD, a grupą oficerów Abwehry Canarias, gdzie miałem wielu przyjaciół. Poza tym odczuwałem moralne zobowiązanie wobec moich licznych żydowskich kolegów szkolnych i przy-

jaciół, z którymi spędziłem młodość w zupełnie nieświadomości problemów rasowych." Tyle sam Schindler, który przez lata ciągle powtarzał dr. Trautweinowi, że sam nie byłby w stanie tego wszystkiego dokonać. Przypominał o swoich sojusznikach: żonie, niektórych z uratowanych, którzy służyli mu radą i pomocą, niektórych dostojników SS i władzch w Berlinie. Natomiast Leopold Pfefferberg w jednym z wywiadów stwierdził: "Schindler posiadał boski dar rozumienia bliźnich, czerpał radość z niesionej pomocy i we właściwych momentach potrafił wykazać cywilną odwagę. Jego dewizą życiową było dawać więcej niż posiadał." Opiekuńczość Oskara dotyczyła spraw wielkich, "strategicznych", ale również i małych, za co ocaleni tak go do dziś kochają. Mogłoby się wydawać, że obu tych spraw nie odróżniał. Świadczą o tym różne gesty przyjaźni, jak choćby, gdy już był w Brünnlitz, udanie się do Krakowa, by u okulisty wyszukać przedwojennej recepty na okulary dla jednego z więźniów. Gdy zaś Manci Rosner przybyła na Morawy i nie zastała tam odtransportowanego w międzyczasie do Gross-Rosen męża i syna, Schindler za 100 RM zakupił od magazyniera Gross-Rosen skrzypce Henryka Rosnera. Dał je żonie mówiąc: "Ten sam instrument, choć tak smutno stroi... Mąż i syn czują się dobrze. Pracują" — co oznaczało, że nie trafili do komór gazowych!* Schindler nie mógł patrzeć na ludzkie cierpienie. W lecie 1944 roku, jadąc samochodem z powieszonym w 1946 roku w Krakowie komendantem KL Płaszów, Goethem, zauważył transport więźniów błagających o wodę z zamkniętych wagonów, uprosił Goetha o zatrzymanie pociągu i wypożyczenie ciężarówki, która następnie dostarczyła węże strażackie z DEF-y. Wagony polano wodą. Jak wyszło na jaw po śmierci Schindlera, w Krakowie przekazywał małe żydowskie dzieci polskim zakonnikom, a gdy jedna z jego pracownic zaszła w ciążę, co było równoznaczne z wyrokiem śmierci, zakupił komplet narzędzi ginekologicznych, by można było usunąć śmiertelnośny płód. Dopiero w 1984 roku okazało się, że kierowca Schindlera w Krakowie był zbiegły z obozu jenieckiego podoficer polskiej artylerii, a w garażach DEF-y na Zabłociu polscy i



14.10.1984: Uroczysta akademie w Ackermann-Gemeinde z okazji 10 rocznicy śmierci Oskara Schindlera, poprzedzona Mszą św. celebrowaną przez biskupa Kampe (z lewej).

Centrum Badawczym prezydenta Trumana w Uniwersytecie Hebrajskim w Los Angeles, gdzie urządzono stałą ekspozycję poświęconą Schindlerowi. W jednej z sal leży Księga Żywota z listą ocalałych i opisem działalności Oskara.

W dniu 9 października 1974 roku serce Oskara Schindlera, nadwyrężone intensywnym trybem życia, odmówiło posłuszeństwa. Zmarł we Frankfurcie nad Menem i pochowano go, co prawda niezgodnie z testamentowym zapisem nie pod zasadzonym drzewkiem w Alei Sprawiedliwych w Jerozolimie, a na tafińskim cmentarzu, gdzie leży obok arabskich katolików i polskich żołnierzy armii Andersa.

Progi katolickiej kaplicy po raz

* Henryk Rosner przeżył wojnę i na krótko dzieł w Krakowie mieszkając z Romanem Polańskim, o czym reżyser wspomina w swoich pamiętnikach.

żydowsky pracownicy Oskara bez przeskąd mogli słuchać radia BBC.

Od polskiego kierowcy wiemy, że Oskar-patriarcha już w Krakowie żył pod presją niustannego strachu przed gestapo. Jednak ten nieokazywany na zewnątrz strach jak i trzykrotne uwieszenie nie odwoływo go od spełnienia szlachetnej misji. Nierzadko Oskar identyfikował się do tego stopnia z więźniami, że zakrawało to na groteskę. Jak wspomina Adam Gardle, w nocy po zamachu na Hitlera, został wezwany przez dyrektora do gabinetu, gdzie na stole stały dwa kieliszki i butelka koniaku, a Oskar opowiadając o wydarzeniu snuł przypuszczenia, że nazajutrz aresztowany zostanie Himmler i Göring, a więźniowie zwolnieni. Kiedy zaś w radio przemówił Hitler, Schindler był tak załamany, że więźni-

Gardle musiał pocieszać i na pożegnania wysłuchał od dyrektora: "Trudno. Będziemy musieli poczekać na naszą wolność nieco dłużej." Gdy zagłębił się w zbieranie dokumentacji o życiu Oskara Schindlera, podobne opowieści mnożą się w nieskończoność. Żona Mosze Bejskiego twierdzi, że choć jest tyle lat ze swym mężem, co tydzień słyszy od niego nowe "Schindlergeschichten" — opowieści o Schindlerze. Żadna z nich nie odpowie na pytanie: DLA-CZEGO? Może faktycznie pozostaje nam jedynie reakcja arabskiego opiekuna cmentarza łacińskiego w Jeruzolimie, który zaprosił na kawę przybyłego z Frankfurtu na grób Schindlera dr. Trautweina i wobec niemożności porozumienia się w żadnym języku ze swym gościem, pośród dochodzących odgłosów walki Palestyńczyków z Ży-

dami, powtarzał wielokrotnie: Schindler tov, Schindler tov. "Tov" po hebrajsku znaczy: dobry.

Natomiast absolutną ironią losu jest to, że o życiu Schindlera, stanowiącego doskonały materiał literacki i filmowy, spełniającego wymogi moralitetu jak i thrillera, najciszej w miejscu, gdzie rozgrywało się gros jego wojennych dziejów: w Polsce. Ironią losu jest także to, że świat dowiedział się o Schindlerze przypadkiem. Australijski (sic!) pisarz przypadkiem wszedł do sklepu z galanterią skórzaną Leopolda Pfefferberga w Los Angeles. Tak powstała książka, dzięki której być może powstanie film. Dlatego powtórzcie to dalej.

Piotr Kowalczyk

* PRZEGLĄD PRASY * PRZEGLĄD PRASY * PRZEGLĄD PRASY * PRZEGLĄD PRASY *

REZULTATY PRÓB ATOMOWYCH

Po raz pierwszy mieszkańcy Semipalatyńska położonego na terenie sowieckich prób atomowych, poddani zostali badaniom medycznym. Według doniesień IZWIESTII, sowieckiego dziennika rządowego, stwierdzono tam podwyższoną śmiertelność dzieci i niemowląt oraz wzrost zachorowań psychicznych wśród mieszkańców tego miasta. Długość życia w ostatnich 20 latach skróciła się o trzy lata. U co drugiej osoby stwierdzono osłabienie systemu immunologicznego. Wskutek protestu mieszkańców, tereny prób atomowych mają być przeniesione na wyspy Nowej Ziemi, położone na Morzu Arktycznym. (TAZ, 12.03.)

OFICJALNE STATYSTYKI ZSSR

Ok. 41 mln spośród 280 mln obywateli Związku Sowieckiego żyje poniżej oficjalnej granicy nędzy — poinformowały MOSKOWSKIE NOWOSTI. Najwięcej biednych żyje w zubożonych wskutek zamieszek republikach południowych. Relatywnie mało biednych jest w republikach bałtyckich. Mianem "biedny" określany jest w Związku Sowieckim człowiek, który miesięcznie zarabia poniżej 78 rubli, przeciętny zarobek wynosi 250 rubli miesięcznie. Połowa zarobków przeznaczana jest na żywność. Dokładne dane przedstawia drukowana przez gazetę tabela: Tadżykistan — 58,6%, Uzbekistan — 44,7%, Kirgizia — 37,1%, Turkmenia — 36,6%, Azerbejdżan — 33,3%, Armenia — 18,1%, Gruzja — 16,3%, Kazachstan — 15,9%, Moldawia — 13%, Ukraina — 8,1%, Rosja — 6,3%, Białoruś — 5%, Estonia — 3,9%, Litwa — 3,6%, Łotwa — 3,2%. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 9.03.)

KUBA WSTRZYMUJE POMOC DLA NIKARAGUI

Fidel Castro ogłosił zakończenie wszelkiego rodzaju pomocy, także militarnej, dla Nikaragui. Jak stwierdził kubański dyktator: "Po wygraniu wyborów przez Violetę Chamorro, Nikaragua znalazła się w absurdalnym położeniu zawierającym poważne ryzyko wojny domowej."

Konsekwencją upadku komunistycznego rządu sandinistów będzie m.in. ograniczenie pomocy gospodarczej ze strony Kuby, która dosrańczała rocznie Nikaragui żywności dla 50 tys. osób i 90 tys. ton benzyny." (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 9.03.)



PORTUGALIA: KOMUNISCI SIĘ NIE PODAJĄ

Portugalska KP, "najsolidniejsza partia komunistyczna świata", odrzuca wszelkie reformy twarde trwając przy zasadach marksizmu-leninizmu i jak stwierdził jej 77-letni sekretarz generalny Cunhal: "taka zostanie i w przyszłości". (FAZ, 7.03.)

ZJEDNOCZENIE NIEMIEC — DECYZJA POLITYKÓW CZY NARODÓW?

"My Europejczycy, jesteśmy w rękach niemieckich polityków. Jeśli chodzi o jedno z najważniejszych rozstrzygnięć od zakończenia II wojny światowej — ponowne narodziny superwładzy w sercu naszego kontynentu. Ale z kolei politycy niemieccy są w rękach swych coraz mniej podzielonych narodów. Szybkość migracji wszystkich tych rodzin, które ciągną do bogactwa RFN ma w tej fazie europejskiej historii węższą znaczenia, niż wszystkie dywizjony i arsenały atomowe Sowietów i Amerykanów stacjonujących po obu stronach Łaby." (LA REPUBBLICA, 10.03.)

DEMENTI (?) KANLERZA KOHLA

"Obiecacie wprowadzić polskiemu premierowi (w czasie wizyty w Polsce w listopadzie ub. roku — przy. red.), że zyczenie odnośnie odszkodowań za roboty przymusowe w Niemczech w czasie II wojny światowej humanitarnie rozpatrzmy, ale zapominam się o drugiej części tego zdania, że nie widzę żadnych szans realizacji tego zyczenia" — stwierdził zachodnioniemiecki kanclerz H. Kohl na konferencji prasowej w Domu Adenauera w dn. 5 marca br. (DIE ZEIT, 9.03.)

Jacek Korczak-Mleczeko

Gra o stołki

W roku 1952 Igrzyska Olimpijskie odbywały się w Helsinkach. W pewien sposób była to impreza historyczna. Wówczas w roli debiutanta wystąpiła ekipa ZSSR i ten debiut pełen był złotych medali. Nie udało się tylko futbolistom. Nie doszli do finału, przegrywając po drodze mecz z Jugosławią. To Stalinowi wystarczyło, by rozliczyć całą reprezentację. Piłkarze przegrać bowiem mogli z każdym, ale – jak przy-

stało na ludzi sowieckich – nie z krajem, którym rządził Tito. Sprawę badał NKWD, zespół rozgoniono na cztery wiatry, a jego trener otrzymał dożywotni zakaz pracy w sporcie. Taka była decyzja samego wodza. Upřednio zakazał on swoim sportowcom i innym ekipom państw satelickich, "mieszania się" z zawodnikami zza "żelaznej kurtyny", toteż gospodarze musieli zbudować drugą wioskę olimpijską –

tylko dla gości ze Wschodu. Sztab sowiecki zaś mieścił się na statku zacumowanym w ich bazie morskiej, skąd codziennie slano na Kreml szczegółowe raporty o sytuacji.

We wszystkich krajach na wschód od Łaby, w Polsce także, sport używany był w latach pięćdziesiątych jako narzędzie walki ideologicznej i politycznej. Dawny układ oparty na autonomii narodowych komitetów olimpijskich, ograniczonej pomocy państwa i samodzielności związków sportowych, zastąpiono centralizacją. Instytucja koordynująca te działania podniesiona została do rangi urzędu państwowego. W praktyce do dzisiaj nie się nie zmieniło.

Układ taki powstał po roku 1948, kiedy pozostała "do zagospodarowania" spora grupa przedwojennych działaczy socjalistycznych, dla których zabrakło miejsca w zjednoczonej partyniej wierchuszce, choć byli lojalnymi partnerami nowych władz. Z poparciem Józefa Cyrankiewicza sportem rządził najpierw krakowski pepepsiak Lucjan Motyka, potem na długie lata objął ten resort, nazwany Głównym Komitetem Kultury Fizycznej i Turystyki, Włodzimierz Reczek. Wymyślono wtedy, że szef państwowego urzędu od sportu będzie równocześnie prezesem Komitetu Olimpijskiego i tak już zostało, choć praktyka innych państw jest zgoła odmienna. Trzecim człowiekiem, z którym związano sport powojennego dwudziestolecia, był Jan Mulak. Trener, działacz robotniczego sportu sprzed wojny, podobno wielki talent polityczny, podobno przed czterdziestu paru laty kandydat na fotel premiera z ramienia PPS.

Sportowcy lat 1948-56 dziarsko maszerowali w pierwszomajowych pochodach, najlepsi odczytywali na masówkach apele o światowy pokój, a całą strukturę terenową dopasowywano już do nowych realiów. Zaszukane kluby na siłę zmieniały nazwy. Na sportowej mapie zamiast Wisły, Warty, Legii, Polonii, pojawiły się różne Gwardie, CWKS-y, Kolejczarze, Energetyki i Ogniwa. Każdy klub musiał być w od-



"Najwięcej pieniędzy i dobry biznes zapewniali piłkarze." Na zdjęciu: Józef Młynarczyk i Roman Wójcicki.

pano strawę ideologiczną i finansową i skąd szły dyrektywy. Modelem do powielania był model sowiecki, a zwycięstwo nad ansambłem przybyłym z Moskwy było praktycznie wykluczone. Argumentacja prosta — rywal jako reprezentant społeczeństwa od lat budującego komunizm, musi być lepszy od tych, którzy dopiero niedawno obrali właściwą drogę. Gdy do Polski przyjeżdżała



"Na Wyścigach Pokoju najważniejsza była łoża honorowa." U dołu z prawej Ryszard Szurkowski.

na przykład drużyna Dynamo Tbilisi, to mecze w Warszawie i Krakowie sędziował także jeden z miłych gości. Zwyciężali ci, co powinni, choć poziom sportowy mógł wskazywać na coś przeciwnego. Na całe lata wypaczono model tej rywalizacji, bo nikt, kto jest zawodnikiem, nigdy nie zaakceptuje ideologicznej podkładki na korzyść ludzi wielkiego brata. Szablista Wojciech Zabłocki wspomina o sugerowaniu oddawania pojedynków, kolarze o fingowanych finiszach, itp. Po Październiku przełomem był rok 1957 i słynny mecz z ZSSR w Chorzwie. Gerard Cieślak strzelił parę bramek sowieckiej drużynie i świat się nie zawalił.

W tym czasie GKKFIT stał się już silną instytucją, natomiast związki sportowe były ciałami mało samodzielnymi, czekającymi na wytyczne centrali. Pracowali w nich już nowi ludzie. Byli to albo dawni aktywiści ZMP, albo część ludzi z "przebranżowionego" aparatu bezpieczeństwa publicznego. Sport był kanałem, w którym można było upchnąć wszystkich spalonych na innym polu działalności i wcale to nie była degradacja. GKKFIT kontrolował każdy wyjazd, kreślił kierunki działalności i dysponował kasą. Do 1976 roku ta machina pracowała dobrze.

Igrzyska Olimpijskie w Rzymie, To-

kiu, Meksyku i Monachium to udane starty Polaków. Doskonały Montreal to jeszcze efekt działalności ekipy Reczka, wymienionej w roku 1972, a uszczuplonej cztery lata wcześniej, tuż po Marcu. Po Reczku polskim sportem rządził działacz partyjny z Łodzi, Bolestaw Kapitan. Po nim szef ZMS, Marian Renke. Potem znowu Kapitan i wreszcie nowy "talent" — Aleksander Kwaśniewski. Centrala przeżywała zaś istną orgię zmian nazwownictwa i kompetencji. Z GKKFIT powstał Główny Komitet Kultury Fizycznej i Sportu, potem Komitet d/s Młodzieży i Kultury Fizycznej. Zawsze głączyło się to ze zmianą góry, szeregowi urzędnicy trwali zaś od lat na swoich posterunkach.

Ważne było dla nich to, że sport —



"Nowy talent" Aleksander Kwaśniewski. W środku przewodniczący MKOL Juan Antonio Samaranch, fot. Jan Rozmarynowski

logicznym sosem — to przede wszystkim bardzo dobry biznes. W latach pięćdziesiątych każdy wyjazd na Zachód stawał sportowców i ich opiekunów w dość uprzywilejowanej roli. Można było zobaczyć, kupić, zahandlować. W rękę prawdziwy dolar, pieniądze zakazany dla zwykłego obywatela. Z biegiem lat, w miarę otwierania granic, zagraniczne wojaże przestawały stanowić dla najlepszych sportowców nagrodę sa-

mą w sobie.

Na początku lat siedemdziesiątych do gry wkroczyły już wielkie pieniądze. Ekipa Edwarda Gierka chciała dogonić Zachód, także w sporcie. GKKFiS aprobował wejście do władz związków bardzo młodych, posłusznych działaczy organizacji młodzieżowych. Najlepiej na funkcje prezesów. Każdy z nich musiał jednak otrzymać uprzednio akceptację odpowiedniego wydziału KC PZPR.

Okres Gierka to marzenie o mocarstwowym sporcie. O futbolu na światowym poziomie. Triumfy drużyny Kazimierza Górskiego na mistrzostwach świata w 1974 r. uświadomiły, że piłka nożna jest lepszym nośnikiem propagandy niż specjalnie do tego stworzone instytucje. Poza tym na pił-

ce można zarabiać i to dużo. Futbol stał się sprawą prawie państwową. Gdy odszedł trener Górski, a reprezentację przygotowującą się do startu w Argentynie objął Jacek Gmoch, otrzymał on specjalne prerogatywy i wsparcie. Sterowano prasą, w czasie mistrzostw świata istniała gorąca linia pomiędzy kierownictwem ekipy a sekretarzem KC Zdzisławem Zandarowskim, informowano na bieżąco o potrzebach wysłanników i urabianiu opinii w kraju. Do dzisiaj przybawający na stałe w

Grecji Gmoch nie może ponoć rozliczyć się z pewnych sum dolarowych, które powinny trafić do kieszeni piłkarzy.

Futboliści zaczęli kręcić się w dolarowym rytmie, tak samo dobrzy lekkoatleci. Środowisko mówi od lat o systemie dolarowych prowizji, które Kozakiewicz, Wszola i inni mieli wpłacać tym, którzy delegowali ich na dobre, popłatne, zagraniczne mityngi. Na porządku dnia stały transfery. Też wynalazek ostatnich lat. Za sprzedaż na Zachód dobrego zawodnika państwo i kluby zainteresowanego otrzymywały sumę wynegocjowaną przez oficjalnego pośrednika — Centralny Ośrodek Sportu. Do dzisiaj nie ma jasności co do szczególnie ważkich transferów i treści ich "tajnych protokołów", aprobowanych przez kierownictwo resortu.

Ideologia po raz ostatni wyszła na plan pierwszy wiosną roku 1984. "Nieme zgromadzenie" PKOl — głos na "nie" dał podobno tylko Janusz Peciak — postanowiło, że Polska nie będzie uczestniczyć w igrzyskach w Los Angeles. Straty materialne i moralne były wielkie. PKOl do dzisiaj nie przeprosił sportowców za wypełnienie dyktatu towarzyszy Gramowa i Czeremni, chociaż uczyniły to ostatnio komitety olimpijskie NRD i Czechosłowacji.

Wiosną 1990 roku polski sport goni resztkami sił. Głównie choruje na zapaść finansową. Budżet przeciętnego związku sportowego wynosi 2 miliardy złotych rocznie. Z budżetu państwa przeznaczona jest na sport 0,29%, co jest kroplą w morzu potrzeb, jeśli chce się pogodzić wyczyn z masowością kultury fizycznej.

W połowie marca na czele KMiKF i PKOl stanął obecny szef Socjaldemokracji RP, Aleksander Kwaśniewski, a sam resort, jako jedyny w rządzie Mazowieckiego, nie doznał od sierpnia najdrobniejszego choćby retuszu. Struktura szarpana jest przez Komisję Sportu i Komisję Olimpizmu "Solidarności", powołuje się różne "sportowe okrągłe stoły", chce się zmienić pryncypia, a czas płynie. W końcu są jakieś nowe projekty, ale całość wygląda jedynie na grę o stołki. Do task wracają też działacze wyrolowani przy poprzedniej reorganizacji GKKS. Działanie w urzędniczej czapce sportu jest bowiem doskonałym sposobem na życie.

Jacek Korczak-Mleczko

Spadek po PRL — dłużnicy

Z informacji udostępnionych przez Ministerstwo Współpracy Gospodarczej z Zagranicą wynika, że Polska ma nie tylko długi, ale i dłużników. Są nimi socjalistyczne kraje Trzeciego Świata, którym PRL pomagała na miarę swoich niemożliwości w ramach "internacjonalistycznej współpracy". Najpoważniejszymi dłużnikami RP są Kuba i Wietnam, za nimi podają Kambodża i Laos. Pewne sumy są winne także Nikaragua, Etiopia i Mozambik. Oddzielną zupełnie kategorię stanowią nie uregulowane w porę należności za dostarczoną wojującym krajom i organizacjom bojowym broń.

Pomoc dla tych krajów polegała przede wszystkim na placeniu przez Polskę, jak i inne państwa obozu sowieckiego, wyższych cen od aktualnych cen światowych za otrzymywane przez nie towary.



Castro na cukrowych 2niwach: gdzie 41,6 mln?

Wartość obrotów handlowych Polski z Kubą i Wietnamem wynosi w obu wypadkach po około 110 mln rubli. W handlu tym Polska posiada wysokie ujemne saldo. W ten sposób obydwie kraje usiłują spłacić zaciągnięte wcześniej kredyty. Z 37,6 mln rubli pożyczonych w 1975 r. i 7 mln rubli z 1979 r. Kuba spłaciła dotąd 27 mln, choć spłata miała być zakończona w roku bieżącym. Niezależnie od tego kraj Fidela Castro spłaca rozłożony na lata 1987-1990 u-

jemny bilans płatniczy z 1984 roku, a wynoszący 24 mln rubli. W związku z tym, że już nikt nie chce kupić po wyższej cenie kubańskiego cukru, egzekucja tych należności może się okazać równie trudną jak śledzienie polskich należności przez banki zachodnie.

Wietnam również spłaca kredyty. W latach 1973-85 Polska udzieliła ich na sumę 135 mln rubli, z czego wykrzystano 90 mln, a spłacono dotąd ok. 23 mln. Reszta ma być spłacona do roku 1996. Na lata 1986-90 udzielono następnych kredytów, z których Wietnam wykorzystał nieco ponad 40 mln rubli, a ich spłata ma nastąpić w latach 1991-2004. Ponadto Wietnam zaciągnął w Polsce kredyt we frankach szwajcarskich, wynoszący 13,8 mln, na 4,5%, który miał być spłacony w latach 1988-90. Dotąd spłacono ok. 50% tej sumy.

Obroty handlowe z Kambodżą nie przekraczają 2 mln rubli rocznie. Udzielony temu krajowi kredyt w wysokości 14 mln rubli nie został w latach 1986-90 wykorzystany. Takie same obroty ma Polska z Laossem. Kredyt w wysokości 0,9 mln rubli ma być spłacany dostawami towarów od roku 1991.

W 1984 r. rząd PRL udzielił Nikaragui kredytu wartości 10,5 mln dolarów. Sandiniści spłacali go systematycznie dostawami bawełny. W roku 1989 jednak zaczęły się kłopoty z terminowym rozliczeniem i w tej chwili Nikaragua zalega ze spłatą. Zadłużona w Polsce jest też Etiopia. Dług ten wynosi ok. 2 mln dolarów. Jest to część kredytu rządowego udzielonego przez Polskę w roku 1979 i wynoszącego 7,5 mln dolarów. Podobno Etiopia mimo katastrofalnej sytuacji wewnętrznej spłaca swoje należności bez opóźnień.

W sumie "współpraca gospodarcza" z krajami rządzonymi przez marksistów przynosiła Polsce więcej strat niż korzyści, ale też stanowiła ona marginesy całosci obrotów handlowych ze światem. Dokładnie eksport do tych krajów, wynoszący w 1988 roku 85,6 mln rubli oraz 9,2 mln dolarów, wyniósł zaledwie 0,35% całosci eksportu Polski.

Grzegorz Małek

Cezary Stolarczyk

Lambda: ku bezwzględnej aprobacie

Rewolucje nieczęsto zaczynają się w barach. O ile lokale te bywają czasem ośrodkami krystalizacji nowych idei, twórczej wymiany poglądów, to jednak miejscem wyługu właściwych działań stawiających sobie za cel obalenie panującego porządku są na ogół ulice lub place przed głównymi kwatarami władz. Ta jednak rewolucja – słowa tego używa się w USA wobec zdarzeń, o których będzie mowa bez żadnej ironii – zainicjowana została jak najbardziej dosłownie w nowojorskim barze "Stonewall Inn" dwadzieścia lat temu. Na fali ruchów kontrkulturowych, sprzeciwu pokolenia hippisów wobec konserwatywnej, zaściankowej i bigoteryjnej codzienności Ameryki, homoseksualiści zdecydowali się podnieść głowę, wyjść z ukrycia i stawić czoła obyczajowej pruderii. W lipcu 1969 roku po raz pierwszy zbuntowali się przeciw jednemu z rutynowo podejmowanych przez policję rajdów po lokalach, w których spotykały się osoby o pościgu seksualnym skierowanym na tę samą płeć. "Stonewall Inn" był właśnie jednym z najbardziej znanych miejsc tego typu.

Ważnym elementem było to, że tamtych czasów: rewolucja homoseksualna, zwana także ruchem wyzwolenia homoseksualistów, sukcesywnie zdobywała coraz to nowe przyczółki życia społecznego i coraz trwalej zakotwiczała się w świadomości jako normalny element rzeczywistości. W dwudziestolecie przegonięcia policyjnego patrolu spod progu "Stonewall Inn", w San Francisco i innych amerykańskich metropoliach tysiące pederastów i lesbijek oraz ich sympatyków wzięło udział w manifestacjach ulicznych pod hasłem: "Stonewall 20 – Pokolenie Dumy". Czasy ukrywania się, stwarzania pozorów, czasy wstydu i konsternacji z powodu anormalnego sposobu zaspokajania popędu płciowego należą już do przeszłości.

Nie ma w dzisiejszej Ameryce takiego miejsca w strukturze prywatnego i publicznego życia, którego nie zdobyłoby homoseksualność i nie domagałoby się – zazwyczaj agresywnie – społecznej aprobaty dla swej obecności i aktywności. Nie chodzi im przy tym o uzyskanie

przyzwolenia, wytworzenie atmosfery tolerancji dla swej odmienności i – mimo wszystko – nienaturalności. Ruch homoseksualny dąży do utożsamiania się z tradycyjnymi komponentami rzeczywistości społecznej; wtopienia się w nie i pozbycia piętna ciała obcego.

Oczywiście najważniejszą konstrukcją, do której chcą przeniknąć i z którą homoseksualiści chcieliby się identyfikować jest rodzina. Jest to tym bardziej ułatwione, że – co ciekawe – w tradycyjnej Ameryce, która zdecydowanie stroni od nowinek i eksperymentów w zakresie kryteriów wartościowania – a przynajmniej taką postawę deklaruje – bardzo rozmyśla się tak forma rodziny jak i definicja tego pojęcia. Mniej niż 27% z 91 milionów gospodarstw domowych w USA odpowiada tradycyjnemu modelowi rodziny, na który składa się mąż, żona, dzieci. Równocześnie tylko 22% ankietowanych Amerykanów na pytanie

o definicję organizacji zrzeszających i walczących o prawa zainteresowanych. W połowie ub. roku sąd stanu Nowy Jork przyjął kwalifikację prawną traktującą długoterminowy związek homoseksualny jako rodzinę, ze wszystkimi tego prawnymi następstwami. Po śmierci jednego z partnerów drugi zachowuje jego prawa do ubezpieczenia zdrowotnego, emerytury po zmarłym, może nadal mieszkać w lokalu, w którym wysokość czynszu kontrolowana jest przez władze stanowe, co przy nowojorskiej drożyznie ma niebagatelne znaczenie. Podobne prawo zostało bardzo niewielką ilością głosów odrzucone w San Francisco, głównie z powodu aktywnego sprzeciwu lokalnego arcybiskupa, który stanął w obronie katolickiej definicji i funkcji rodziny. Jednak inne ciała władz będące oficjalną stolicą amerykańskich homoseksualistów uznało mieszczące razem parę tej samej płci za rodzinę. Podobne ustalenia na terenie całego kraju są tylko kwestią niedługiego czasu.

Naturalną konsekwencją zadzierzgnięcia związku małżeńskiego jest przyjęcie na świat dzieci. Homoseksualiści nie pogodzili się ze swą fizjologiczną niezdolnością do płodzenia potomstwa i koniecznością rezygnacji z pełni prerogatyw rodzicielskich.

Roberta Achtenberg, dyrektor Krajowego Centrum Praw Lesbijek, określa liczbę homoseksualnych ojców i matek na dwa miliony. Większość ich dzieci pochodzi wprawdzie z wcześniejszych związków heteroseksualnych, ale pod opieką homoseksualnych rodziców pozostaje 5-10 tys. dzieci urodzonych przez lesbijki i kilkadziesiąt zaadoptowanych przez pederastów. Wyrażenie zgody na adopcję dziecka (lub dzieci) przez parę złożoną z dwu mężczyzn natrafia na zrozumiałe opory moralne ze strony sądów. O wiele szybciej dorabiają się dzieci pary lesbijskie. Chociaż nadal większość lekarzy i ośrodków medycznych odmawia



Demonstracja homoseksualistów w San Francisco

o definicję pojęcia "rodzina" przytacza tradycyjną, prawnie uznaną formułę: grupa ludzi związanych więzami krwi, małżeństwa lub adopcji. Trzy czwarte indagowanych wybiera inne określenie: grupa ludzi, którzy się wzajemnie kochają i troszczą o siebie.

W związku z powyższym a także z tym, że nieformalne związki pederastów i lesbijek są w USA na porządku dziennym (liczbę wspólnie mieszkających par tej samej płci szacuje się na 1,6 mln), wyłonił się postulat, aby ich także włączyć w obręb pojęcia rodziny ze wszystkimi tego prawnymi i obyczajowymi konsekwencjami. Wyłonił się – oczywiście z ini-

sztucznego zapłodnienia niezamężnych kobiet, to jednak bardzo dynamicznie rozwijają się ośrodki nie mające w tej materii obiekcji i dążące do zaspokojenia rosnącego popytu na takie usługi. Jest to oczywiście świetny interes: choćby dlatego, że za porcję spermy dawca (zazwyczaj dokładnie przebadany i odpowiadający wymaganiom klientki, zdrowy i inteligentny student) otrzymuje gratyfikację w wysokości 35 dol., natomiast za dwie fiołki nasienia Fenway Community Health Center z Bostonu, którego klientelą są przede wszystkim lesbijki, pobiera opłatę 250 dol.

Uznawanie trwałych związków homoseksualnych za rodziny jest formalnie akceptacją istniejącego praktycznie stanu rzeczy; wa ponadto znaczenie jako czynnik cementujący związek, co w dobie zastraszającej pleniącej się choroby AIDS ma ogromne znaczenie. W stanie Nowy Jork pary homoseksualne otrzymują "świadczenia partnerstwa", które spełniają podobną funkcję co świadectwa ślubu. Spowodowało to spore zaniepokojenie społeczne. Jeszcze więcej zastrzeżeń budzi proceder przestarczania się partnerów homoseksualnych w rodzinach. Przyszłość ich dzieci, aklimatyzacja w heterogennym środowisku, nie będzie sprawą łatwą.

Innym obszarem życia społecznego, na którym obecność i aktywność homoseksualistów budzi żywe kontrowersje, zaś oni sami twierdzą, że padają ofiarą dyskryminacji, jest polityka. Jedną z większych ubiegłorocznych afer politycznych w Waszyngtonie, która odbiła się echem w całym kraju, była sprawa kongresmena-homoseksualisty, Barneya Franka, demokracji reprezentującego stan Massachusetts. Wyszło na jaw, że płacił on za uprawianie seksu męskim prostytutkom, a jedną z nich, Stephana Gobbiego, zatrudnił nawet na stanowisku szofera i pomocnika. Tenże zaś Gobi wykorzystywał waszyngtońskie mieszkanie Franka jako centrum sieci prostytutek. Większość komentarzy w mass mediach wyrażała oburzenie wobec postępowania kongresmena, wzywając go do ustąpienia, nie dlatego, że jest homoseksualistą, lecz, dlatego, że korzysta z usług prostytutek i w dodatku osłania je (ich) używając swych wpływów i stanowiska.

Najmniej nie pierwszy to wypadek tego typu w Waszyngtonie. W 1978 roku kongresmen Fred Richmond został oskarżony o to, że płacił za uprawianie seksu 16-letniemu chłopcu. Mimo tej "afery", jeszcze dwukrotnie wybierany był do Kongresu USA. Skazano go dopiero za przestępstwa podatkowe i związane z narkotykami. W 1980 roku kon-



Para homoseksualistów fot. Ingo Taubhorn

gresmen Jon Hinson został aresztowany za "czyn obsceniczny" pod waszyngtońskim pomnikiem Iwo Jima Memorial, popularnym miejscem spotkań homoseksualistów. On także jeszcze przez dwie kadencje zasiadał na Capitol Hill, zanim znalazł się w więzieniu po tym, jak przyłapano go uprawiającego seks oralny z mężczyzną w pomieszczeniu Izby Reprezentantów. W tym samym roku kongresmen Robert Bauman został przyłapano na tym, jak namawiał do seksu nieletniego chłopca; w wyborach odpadł nieznacznie tylko ilością głosów. Sześć lat temu ujawniono, że kongresmen Gerry Studds uprawiał seks z 17-letnim chłopcem. Nie przeskodziło mu to jeszcze trzykrotnie być wybieranym do Kongresu i zachować tam spore wpływy. Szacuje się, że na 535 członków Kongresu co najmniej 30 jest aktywnymi homoseksualistami.

Parlament amerykański nie jest zresztą jedynym miejscem, gdzie można spotkać się ze śladami aktywności homoseksualnej o trudnych do akceptacji formach i konsekwencjach. Również w Białym Domu – za zamkniętymi drzwiami – miały miejsce pikantne historie. Aby nie sięgać zbyt daleko w przeszłość, spójrzmy tylko na "ośmiolatka" Reagana. Prezydent znany był ze swej dużej tolerancji, którą zapewne nabył w hollywoodzkich czasach. Podczas afery irańskiej członek Public Radio ujawnił, że kilku członków administracji Białego Domu zaangażowanych w zbieranie funduszy dla nikaraguańskich "contras", pewną część zebranych sum przeznaczano na utrzymanie swych homoseksualnych kochanków. W 1988 roku *The Washington Times* obiecał ujawnienie homoseksualnych kontaktów bliskich współpracowników Reagana i Busha. W końcu do tego nie doszło, jednak gazeta zaprezentowała dowody, świadczące, iż jej deklaracje nie były wymyślone. W pierwszej połowie ubiegłego roku to samo pismo

opisało na swych łamach, jak Craig Spence, ongiś wpływowa osobistość z kręgów administracji, dziś oskarżony o nielegalne posiadanie broni i narkotyków, zorganizował potajemną nocną wycieczkę po Białym Domu. Zaproszonymi gośćmi byli dwaj znajomi pederasti ze swymi męskimi prostytutkami. Zwiedzanie było możliwe po przekupieniu agenta Secret Service prezentem w postaci zegarka za 8 tys. dol.

Wszystkie wywleczone na światło dzienne afery homoseksualne stają się momentalnie pożywką do oskarżeń i pomówień mających na celu dyskredytację polityczną tak osoby jak i partii, do której ona należy. W przypadku Barney'a Franka doszło do zażartych polemik i wymiany epitetów między broniącymi praw homoseksualistów organizacjami, które twierdziły, że Frank pada ofiarą dyskryminacji, a republikanami, starającymi się maksymalnie wyekspluataować złoża kompromitujących informacji i stworzyć wrażenie, że demokraci są partią homoseksualistów. Wkrótce po skandalu z Barney'em Frankiem jeden z szefów partii Republikanów usiłował na gorąco wykorzystać zrodzone antyhomoseksualne resentymy opinii publicznej i oskarżył o pederastię nowo mianowanego lidera Izby Reprezentantów, demokrata Toma Foley'a. Potwarz była kompletnie bezpodstawna; Foley jest mężem i ojcem licznej rodziny, w związku z czym oszczerca musiał rozstać się z piastowanym urzędem.

Twierdzą, która niezmiennie odpowiada ataki amerykańskich homoseksualistów, pragnących za wszelką cenę do niej się wedrzeć i uzyskać na to przyzwolenie, jest Kościół. Szczególnie Kościół katolicki, który w odniesieniu do takich dogmatów jak celibat, zakaz kapłaństwa kobiet i brak wyrozumiałości dla praktyk homoseksualnych, nie objawia najmniejszej skłonności do kompromisów. W związku z tą postawą jest obiektem agresywnych ataków i pełnych zaciętrzewienia akcji protestacyjnych ze strony środowiska homoseksualnego. Niczym zakakującym nie są w miastach amerykańskich próby przerywania i dezorganizacji mszy, marsze i pikety homoseksualistów domagających się kościelnej aprobaty swego stylu życia i uzyskania prawa oficjalnego wstępu w szeregi duchowieństwa. Widownią tego typu akcji jest najczęściej San Francisco. Inne odłamy wyznaniowe, takie jak Kościół luterński, episkopalny, metodyści i prezbiterianie, zajmują bardziej ugodowe i tolerancyjne stanowisko. Z żądaniami ruchu wyzwolenia homoseksualistów, którzy za swój symbol uważają literę greckiego alfabetu

wyznania protestantkie – w USA oczywiście. Zjednoczony Kościół Chrystusowy już w 1972 roku otworzył swe wrota dla duchownych homoseksualistów, którzy nie słubowali zachowania wstrzeźliwości seksualnej.

Kategoryczny sprzeciw Watykanu przeciw oficjalnemu błogosławieństwu dla homoseksualistów nie oznacza bynajmniej, że struktury Kościoła katolickiego są od nich wolne. Dziennik *Washington Post* opublikował wyniki 25-letnich badań terapeutów, Richarda Sipe'a, który stwierdził, że jedna piąta księży katolickich w USA to homoseksualiści; połowa z nich jest aktywna seksualnie. Zdaniem Sipe'a 6% tej grupy skłania do kontaktów seksualnych osoby nieletnie, nie wyłączając małych dzieci. Autor opublikowanej niedawno antologii pt. "Księża homoseksualiści", naukowiec James G. Wolf, jest zdania, że dane te są bardzo zaniżone. Według niego homoseksualiści stanowią 40-60% ogółu amerykańskiego duchowieństwa katolickiego. Zainteresowanych seksualnie osobami tej samej płci rozjuszył zwłaszcza dekret Watykanu z końca 1986 roku, który ostrzega przed homoseksualnymi inklinacjami i pisze otwarcie, że prowadzi one do "moralnego zła" i "muszą być traktowane jako obiektywne zaburzenia" (objective disorder). Dlatego między innymi podczas ostatniej amerykańskiej wizyty Jana Pawła II organizacja jego pobytu w San Francisco była bardzo utrudniona wrogim nastawieniem środowisk homoseksualnych do papieża i obietnicami demonstracji przeciw polityce Watykanu.

Enklawą zamkniętą jak dotąd dla homoseksualistów jest armia. Polityka rządu federalnego nie zezwala zdeklarowanym homoseksualistom na służbę w wojskach amerykańskich. Zdaniem Departamentu Obrony rekrutacja osób o pociągu seksualnym wobec tej samej płci wystawiłaby na szwank morale armii, podważyła wzajemne zaufanie, przyczyniła się do przecieków tajemnic. Pentagon odrzucił ostatnio wyniki studiów swej własnej placówki badawczej, która orzekła, że osoby o nietypowych skłonnościach seksualnych mogą funkcjonować w oddziałach wojskowych. Czasami ta polityka federalna wchodzi w konflikt z prawem stanowym. W listopadzie ub. roku władze jednego z największych uniwersytetów USA, University of Wisconsin, po przeprowadzeniu głosowania wśród kadry dydaktycznej, nakazały uczelnianemu Korpusowi Szkolenia Oficerów Rezerwy opuszczenie pomieszczeń uniwersyteckich i za-

tu. Powodem wymagalnym był brak akceptacji homoseksualistów w uczelnianym Korpusie, jak i w całej armii USA. Dyskryminacja na podstawie praktyki seksualnych jest zaś zabroniona prawem stanowym.

Kończąc niniejszy szkic monograficzny warto spróbować odpowiedzieć na pytanie, jaki jest stosunek społeczeństwa amerykańskiego do homoseksualistów i jak sami homoseksualiści stosunek ten oceniają? Wyniki licznych, obiektywnych badań opinii publicznej są dość spójne i jednoznacznie wskazują, że Amerykanie – jakkolwiek raczej tradycyjni – przyjęli do wiadomości fakt istnienia licznych i aktywnych grup zapokajających swój pociąg seksualny w inny niż konwencjonalny sposób. Miarą tej akceptacji i tolerancji może być fakt, że np. nikt nie protestuje przeciw popularnym w kilku dużych kalifornijskich gazetach reklamom. Zdjęcie ukazuje matkę obejmującą córkę i jej kochankę. Podpis brzmi: "Jestem dumna ze swej córki-lesbijk". Podobne tematycznie reklamy ukazują się także zresztą i gdzie indziej, m.in. w nowojorskiej telewizji. Niewielu przygląda się ze zgorszeniem publicznym ślubom homoseksualistów, z wymianą obrączek, tortem weselnym, tłumem gości itd. Nawiasem mówiąc, bardzo z tym kontrastuje głęboko pruderyjny sprzeciw Amerykanów wobec nagosci – nawet w sztuce.

W sondażu tygodnika *Newsweek* na pytanie: Czy homoseksualizm powinien uniemożliwiać komuś zostanie prezydentem? – połowa ankietowanych odpowiada przecząco. Połowa nie ma nic przeciw homoseksualnym duchownym, nauczycielom, członkom rządu, se-

kie przyczyną spraw, że wyborca będzie głosował przeciwko objęciu przez kogoś urzędu publicznego, homoseksualizm wymieniany jest na 4 miejscu, po: przyjmowaniu pieniędzy od grup nacisku, nieplaceniu podatków i nadużywaniu alkoholu. Sondaż tygodnika *Time* ujawnia z kolei, że 65% indagowanych nie ma nic przeciwko dziedziczeniu przez homoseksualistę spadku i praw przynależnych zmarłemu partnerowi. Jednocześnie jednak tylko 23% badanych nie wyraża zastrzeżeń wobec prawnego uznawania związków seksualnych na prawach małżeństwa, a 17% godzi się na adoptowanie dzieci przez homoseksualne pary. Widać więc, jak przebiega granica społecznej tolerancji.

Poglądy homoseksualistów na zagadnienie społecznej akceptacji najlepiej obrazuje wydana niedawno książka pt. "After the Ball" autorstwa dwu kształconych na Harvardzie psychologów-homoseksualistów. Zasadniczą tezę ich pracy jest stwierdzenie, że "rewolucja homoseksualna nie powiodła się". Autorzy utyskują, że 25 mln amerykańskich homoseksualistów w dalszym ciągu cierpi z powodu społecznej nienawiści i pogardy. Można zauważyć, że pozostaje to w jaskrawej sprzeczności z cytowanymi powyżej rezultatami badań opinii społecznej. Następnie stwierdzenie, oskarżenie właściwie, rzuca więcej światła na to, czego domagają się autorzy książki i wszyscy homoseksualiści. Hunter Madsen i Marshall Kirk ubolewają, że Ameryka odmawia przedsięwzięcia kroków edukacyjnych, których celem byłoby wyjaśnienie obywatelom natury zjawiska homoseksualizmu. Chodź oczywiście o to, aby wyrugować obowiązującą medyczną definicję traktującą homoseksualizm jako zbroczenie w zapokojeniu popędu płciowego i zastąpić ją terminem "alternatywny styl życia". Na zasadzie: jeden jest protestantem, drugi baptystą. Ten gra w golfa, tamten zaś preferuje tenis.

Nie ma wątpliwości, że homoseksualistów nie zadowala społeczna tolerancja; domagają się pełnej asymilacji i osiągnięcia równych praw w każdej dziedzinie. Z jednej strony ułatwia im to wielka pojemność znaczeniowa terminu "dyskryminacja" i znaczenie tego pojęcia w amerykańskim prawodawstwie, zwalczającym bezwzględnie wszelkie jej przejawy. Z drugiej jednak strony publiczna tolerancja i ugodowość zostały znacznie ograniczone przez rozwijającą się epidemię AIDS-a i towarzyszącą temu schorzeniu psychozę strachu.

Cezary Stolarczyk



Niemieckojęzyczne czasopismo homoseksualistów «Du & Ich» (Ty & ja)

Leszek Szaruga

Lektury obowiązkowe

Krzysztof Dorosz. *Męki Prometeusza. Eseje konserwatywne*. Aneks, Londyn 1989, s. 239.

Eseistyka Krzysztofa Dorosza doskonale znana jest czytelnikom londyńskiego *Aneksu* i bez wątpienia należy do najbardziej interesujących lektur w swej dziedzinie. Wpisuje się w odrodzony w końcu lat sześćdziesiątych nurt polskiej myśli konserwatywnej reprezentowanej przede wszystkim – w "młodym" jej wydaniu – przez takich autorów jak Marcin Król oraz Jakub i Wojciech Karpińscy a także Tomasz Lubieński.

Dorosz prowadzi nas po meandrach współczesności – przede wszystkim polskiej – z myślą o ukazaniu zainstalowanego w okresie Odrodzenia, a na dobre umocnionego w dobie Rewolucji Francuskiej nowotworu totalitarnego: "Totalitaryzm bowiem to produkt poznawczej wszechmocy i buntu przeciw zastanemu porządkowi", pisze na wstępie. Tam też przeczytamy: "Wierna prometejskiemu archetypowi, postrenesansowa cywilizacja europejska zbuntowała się przeciw Niebiosom i, niczym wykradziony bogom ogień, wykorzystowała sacrum do projektów zamkniętych w doczesności. Młot komunizacyjny, z jego marzeniem budowy "królestwa bożego" na ziemi, doskonale ukazuje pseudoreligijne sprężyny lewicowego myślenia. Ale nie tylko lewicowego: Poszukiwanie ziemskiego rajy czy próba jego budowy środkami technicznymi jest duchowym leitmotiwem europejskiego humanizmu." I jeszcze jeden cytat ze wstępu: "Większość zamieszczonych tu szkiców wyraża z refleksji nad totalitaryzmem i z przeświadczenia, że nie jest on po prostu "reinkarnacją" dawnego despotyzmu. Nie jest on również zjawiskiem czysto politycznym, lecz duchową chorobą czasów, której zarodki tkwią w renesansowym przełomie kultury europejskiej."

Myślę, że nie trzeba dziś być konserwatystą, by się z ogólną oceną Dorosza zgodzić. Bez wątplenia przeżywamy obecnie okres "powrotu sacrum" (tak zresztą zatyłowany był opracowany przez Dorosza blok materiałów w jednym z numerów *Aneksu*) i pewnej pokory zarówno wobec tego, co wykracza poza doczesność, jak nawet wobec naszego rozumu i jego możliwości poznawczych. Jak powiedział kiedyś Ryszard Przybylski, jeden z najwybitniejszych współczesnych eseistów, rozum, jeśli ma być konsekwentny wobec własnych roszczeń, nie powinien wierzyć w nic, tym bardziej w siebie. Ten paradoks racjonalizmu jest szczególnie widoczny w tym, co Dorosz nazywa "dramatem lewicowym wiary".

Można się, oczywiście, zacząć z Dorosem spierać o to, czy początek naszej epoki należy umieścić akurat w czasach Odrodzenia: można korzeni naszych ambicji cywilizacyjnych poszukiwać wcześniej, można także zasadnie twierdzić, że choroba rozwinęła się na dobre dopiero po Rewolucji Francuskiej, zaś utrwaliła naprawdę w XIX stuleciu wraz z kształtowaniem się nowoczesnych społeczeństw masowych, których struktury, odmienne od dotychczasowych, postawiły pod znakiem zapytania – dlaczego, to już problem na osob-

ny szkic – tradycyjne odpowiedzi na kwestie dotyczące ludzkiej kondycji. W niniejszej nocy wystarcza stwierdzić, że otwiera się tu pole do bardzo poważnej dyskusji, zaś przywiązanie Dorosza do cesury, jaką w rozwoju naszej cywilizacji stanowił Renesans, nie w pełni daje się obronić.

Marta Fik. *Kultura polska po Jancie. Kronika lat 1944-1981*. Polonia, Londyn 1989, s. 835.

Marta Fik dokonała rzeczy niemożliwej – uporządkowała, przynajmniej wstępnie, wydarzenia kulturalne w Polsce od zainstalowania w kraju władzy komunistycznej po wprowadzeniu stanu wojennego. Zarazem jednak napisała książkę – choć złożoną wyłącznie z informacji i cytatów – którą czyta się z wypiekami na policzkach. Jest to, oczywiście, książka stronna – inną być nie może: ukazuje metody i zakres sowjetyzacji naszego życia kulturalnego i zarazem dzieje oporu przeciw tej praktyce. Objęła – przynajmniej jeśli chodzi o literaturę i teatr – właściwie wszystkie najważniejsze wydarzenia, jakie miały miejsce w kraju (po części też, ale może w zbyt małym zakresie także to, co działo się na emigracji).

Zapewne – pretensji można mieć do autorki wiele i wszystkie będą zależały "od miejsca siedzenia": wszystkie lub prawie wszystkie będą nieuzasadnione. Jak wiadomo bowiem, sprzątanie stajni Augiasza jest zajęciem półbogów i zwykłego śmiertelnikowi po prostu nie może się to udać w sposób doskonały, jeżeli taki w ogóle istnieje. A nie ulega wątpliwości, że dzieje kultury powojennej Polski są właśnie ową stajnią Augiasza: wpisana w system komunistyczny reguła nie pozwalała bowiem na układanie kompetentnych syntez, przeszłość była zawsze przepuszczana przez filtr cenzury, brak więc jakichkolwiek sumujących dorobek poszczególnych dziedzin opracowań, syntez, panoram czy słowników – miejmy nadzieję, że właśnie obecnie wkraczamy w okres, w którym opracowania takie zaczyną się ukazywać. Książka Marty Fik jest do tego doskonałym punktem wyjścia. Bez wątplenia też należy do tych prac, które muszą znaleźć się na półce każdego, kogo historia kultury najnowszej interesuje. Jest przewodnikiem i encyklopedią, wspornikiem naszej pamięci.

Jeżeli napisałem na początku, że jest to wykonanie pracy niemożliwej, to dlatego między innymi, że jest to właściwie zadanie dla całego zespołu specjalistów z różnych bardzo dziedzin życia społecznego i kulturalnego. Samo zgromadzenie potrzebnego materiału jest pracą niemal heroiczną: zwróćmy uwagę na jedną tylko dziedzinę jaką jest historia ważniejszych dyskusji literackich: udało się tu autorce nie tylko wszystkie je wyodrębnić, lecz także dokonać znakomitego zestawu cytatów. Wypełnienie tej pracy przez jedną osobę – chwałebny zresztą powrót do autorskich a nie "redakcyjnych" opracowań tego typu – już samo przez się zasługuje na szacunek. "Kronika" dostarcza powodów dodatkowych – należy się jej szacunek za kompetencję, rzeczowość i zakres objętych uwagą zjawisk.

Ta książka Brzezińskiego jest znakomitym przykładem przyspieszonego starzenia się esencji czysto politycznej w obliczu przyspieszonego tempa przemian, zwłaszcza w Europie. Nie znaczy to, by tezy w niej zawarte były już dziś, rok po publikacji oryginału angielskiego, nieaktualne. Znacząco jednak, że nieaktualne są szczególnie opis sytuacji i niektóre scenariusze jej rozwoju.

O tym, że komunizm jako formacja przetrwa kryzys, wiedzieliśmy przecież od dawna. I słusznie jest stwierdzić, iż obecnie widzimy jego powolne umieranie, co jest być może dla wszystkich korzystniejsze niż gwałtowne lecz poprzedzona konwulsjami śmierć. Początkiem tego procesu było niewątpliwie obumieranie samej ideologii – bez niej, skazany na nagą przemoc, system nie miał już odnieść duchowych racji dalszego trwania. Z tego też punktu widzenia trudno zgodzić się z twierdzeniem Brzezińskiego, który pisze o tym, że kryzys komunizmu nastąpił nagle. Wystarczy prześledzić dzieje intelektualnej opozycji wobec systemu – tak w Polsce, jak w innych krajach dotychczasowego "obozu socjalistycznego" – i to opozycji wyrastającej z komunistycznych tradycji – by zdać sobie sprawę, że proces umierania jest długotrwały. To zastrzeżenie jednak nie utrudniało pytań stawianych przez autora: "na czasie jest pytanie, co przetrwało się doktrynie i praktyce, które przez tak wielką część tego stulecia wydawały się głównym nurtem przyszłości. Co było przyczyną rozczarowania, fiaska, a zwłaszcza zbrodni, które razem wzięte tak bardzo zdyskredytowały ideologię, ruch polityczny i eksperyment społeczny, pierwotnie postrzegane jako droga prowadząca ku doczesnemu zbawieniu?"

Próba odpowiedzi na te pytania stanowi podstawową treść książki Brzezińskiego. Analiza dotychczasowej drogi komunizmu, choć skądinąd interesująca, nie jest aż tak atrakcyjna, jak pytanie o przyszłość. I tu, gdy czyta się parę poświęcone prawdopodobnemu rozwojowi wydarzeń, uderza w wielu wypadkach ich nieaktualność. Ot, choćby w odniesieniu do NRD: "Niemcy Wschodnie stały się Prusami komunizmu, są zdyscyplinowane, nie pozbawione motywacji, produktywne. Mogą takimi pozostać przez dłuższy czas, zwłaszcza że Niemcy Zachodnie hojnie przyczyniają się do ich materialnego dobrobytu. Ale ich sukces będzie chyba bardziej związany z odrębną tradycją narodową i kulturalną niż z komunizmem jako takim." W tym scenariuszu Brzeziński jakby zapomina o tym, że właśnie komunizm jako taki, przede wszystkim zaś jego ideologia, stanowiły jedyną podstawę istnienia Niemiec Wschodnich jako odrębnej jednostki państwowej (nie licząc, oczywiście, sowieckiej obecności wojskowej); dziś widać to jak na dłoni.

Bardzo interesującą analizą jest natomiast rozdział poświęcony postkomunizmowi, choć i on, w świetle ostatnich doświadczeń wydaje się dyskusyjny.

Leszek Szaruga

Polnische Buchhandlung Księgarnia Polska w Austrii

A-1070 Wien, Burggasse 22, tel. 0222/ 9387222

katalogi wysyłamy na życzenie

Po wizycie W. Jaruzelskiego w lutym br. w Szwajcarii, mieszkający w Zurychu czytelnik *Poglądu*, Andrzej Kolatorski wystosował "List otwarty" do Eugeniusza Smolara, dyrektora sekcji polskiej BBC. Leitmotiwem listu jest skierowany pod adresem E. Smolara zarzut korzystania ze współpracy z mieszkającym również w Szwajcarii Krzysztofem Rogalą, jak stwierdza A. Kolatorski – byłym dziennikarzem reżimowych mediów, także jako korespondent BBC fałszującym rzeczywistość. Oto fragment "Listu otwartego":

"... Wbrew Pana (dyr. Smolara – przyp. red.) twierdzeniu ważne jest jednak, kto mówi lub pisze, bowiem dopuszczając korespondencję do emisji zawierająca Pan autorem, że mówi prawdę i całą prawdę. Przyjmując relacje o pobycie Jaruzelskiego w Szwajcarii właśnie Krzysztofowi Rogali zawierzyl Pan, że jest to relacja pełna, obiektywna i uczciwa. Skutkiem tego pokazał Pan Polakom niczym nie zakłócony obraz wizyty zagranicznej powszechnie uznanego i szanowanego wodza i zbawiciela. Prezydent Jaruzelski zaproszony do Szwajcarii. Prezydent Jaruzelski w centrum zainteresowania Światowego Forum Ekonomicznego. U boku prezydenta Jaruzelskiego profesor Trzeciakowski, "minister w rządzie Mazowieckiego". Pominął Pan



zakłócające ten obraz szczegóły. Pana słuchacz nie wie, że zmieniał terminy i kluczył, by dotrzeć do Rapperswilu incognito, że drzwi zamku mu nie otworzono, do polskiego muzeum nie wpuszczono i że miejscowa prasa określiła go "persona non grata". W Pana programie nie słychać okrzyków: "bandyta", "zbrodniarz", "zdrajca", "Ceausescu", "Jaruzelski muss weg", "Kommunismus muss weg" itd; i nie ma transparentów: "KPN", "PPN", "LDPN", "Solidarność Waleczna", "Jaruzelski musi odejść", "Solidarność", "95% will ihn nicht", "Jaruzelski nein, freie Wahlen" itp. Nie ma tego wszystkiego co witało Jaruzelskiego pod muzeum Kościuszki w Solurze. I nikt z Pana słuchaczy nie wie, że do grobu Mościckiego dotarł potajemnie. Tego w *Tages Anzeiger* Pan nie wyczyta i tego Krzysztof Rogala nie opowie. Oceniał te elementy negatywnie, a to co do pożądanego portretu uznanego przez Polaków i szanowanego za granicą ojca polskiego narodu nie pasuje, tego nie ma. TO NIE ISTNIEJE. To wypróbowana zasada totalitarnego dziennikarstwa i on się tak pracować nauczył..."

Andrzej Kolatorski

Polacy w diasporze

Szansę zamieszczenia w tej rubryce mają nadesłane od organizacji polskich czy też osób prywatnych informacje o znaczących dla środowisk polskich wydarzeniach, imprezach polonijnych lub też dokonaniach Polaków na całym świecie.

SZWAJCARIA: POLSKIE SPOTKANIE W RAPPERSWILU

Wieczór autorski Kazimierza Orłosa odbył się w bibliotece Muzeum Polskiego w Rapperswilu. (W miejscowości tej, położonej w północnej Szwajcarii nad Jeziorem Zurychskim, w remontowanym właśnie średniowiecznym zamku mieściło się Muzeum Narodowe Polskie założone w 1870 roku przez Władysława Platera; Muzeum gromadziło zbiory obejmujące dzieje Wielkiej Emigracji i Powstania Styczniowego, m.in. jedno z największych archiwów dotyczących Adama Mickiewicza skatalogowane przez Stefana Zeromskiego, głównego bibliotekarza Muzeum w latach 1894-96. Z muzeum w Rapperswilu pochodzi znajdująca się obecnie na Zamku Królewskim w Warszawie urna z sercem Tadeusza Kościuszki; Obecnie Szwajcarsko-polskie Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Polskiego, muzeum i biblioteka — przyp.red.)

Mimo, że Kazimierz Orłós jest laureatem m.in. nagrody Fundacji Kościelskich w Genewie, było to jego pierwsze bezpośrednie spotkanie z czytelnikami w Szwajcarii. Po opublikowaniu w Instytucie Literackim w Paryżu w 1973 roku powieści "Historia cudownej meliny", K. Orłós popadł w nielaskę władz — nie wolno mu było publikować, nie mógł podróżować. Publikował więc za granicą, m.in. właśnie w Instytucie Literackim w Paryżu ("Trzecie kłamstwo" 1980) i w Puls Publication w Londynie ("Pustynia Gobi" 1983, "Przechowalnia" 1985); w kraju w drugim obiegu. Jego perypetie wydawnicze i bezkompromisowe

demaskowanie deprawacyjnego charakteru systemu komunistycznego uczyniły zeń pisarza politycznego.

Spotkanie w Rapperswilu, na którym K. Orłós przeczytał fragment swojego najnowszego opowiadania stało się jednocześnie okazją do dyskusji na temat obecnej sytuacji pisarzy w kraju.

Tego samego wieczoru Halina Zielińska, emerytowana bibliotekarka rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa, opiekująca się obecnie zbiorem czasopism rapperswilskiego muzeum, zawsze pełna entuzjazmu dla spraw Muzeum i Towarzystwa, uhonorowana została nagrodą im. Juliana Godlewskiego (nagrada przyznawana jest osobom przyczyniającym się do rozwoju instytucji służących niezależnej kulturze polskiej).

Ukoronowaniem spotkania w rapperswilskiej bibliotece było przekazanie do zbiorów Muzeum pochodzącego w darze od rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa zabytkowego aparatu radiowego.



Przekazanie aparatu RWE dla Muzeum. Prezes Towarzystwa Paul Heeb, kustosz Janusz Morkowski i redaktor Danuta Nowakowska z Radia Wolna Europa. fot. Adam Rosenbusch

BERLIN ZACHODNI: ODCHODZA REŻIMOWI »DYPLOMACI«

Z końcem marca br. polską placówką dyplomatyczną w Berlinie Zachodnim, tj. Misję Wojskową pożegnał jej kierownik, reżimowi "dyplomata" bez znajomości jęz. niemieckiego, gen. Zygmunt Zieliński, posiadający ponadto tytuł ministra pełnomocznego. Na pożegnalny koktajl w dn. 28.03.90 na pokojach placówki nie przybyli zaproszeni prosolidarnościowi działacze oraz inne "antysocjalistyczne elementy" z szeregów politycznych emigrantów.

Z. Zieliński pożegnał się też ze swoją rezydencją przy Argentinsche Allee 21, za którą miesięczny czynsz wynosił minimum DM 5.000,-, czyli ok. 27,5 mln zł, co łatwo ustalić przez porównanie z innymi posesjami — w tej eleganckiej dzielnicy Berlina Zachodniego (Zehlendorf). Jego następcą, jak się przypuszcza w kręgach dyplomatycznych, zostanie... były kierownik sekretariatu KC PZPR Bogusław Kołodziejczyk, którego akredytację ma zwyczajowo zatwierdzić komendant sektora brytyjskiego, gdzie znajduje się placówka. Rzecznik prasowy Misji Wojskowej Miroslaw Stankowski, zapytany przez "Pogład", czy kolejny "dyplomata" obejmie kosztowną rezydencję po gen. Zielińskim, nie udzielił wiążącej odpowiedzi.

Lezka kręci się w oku, gdy porówna się wspaniałych gmach Misji z innymi zachodniobierlińskimi konsulatami, nawet państw zachodnich. I tu też jesteśmy górą! Tylko, czy nas na to stać!



Gen. Zygmunt Zieliński fot. Pogład

St. Gał.

IMPRESSUM

»Pogląd« – niezależny, ponadpartyjny, niecenzurowany miesięczny magazyn polityczny – wydawany jest przez wydawnictwo »Pogląd«. Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk i tłumaczenia wyłącznie za pisemną zgodą wydawcy. Niezamówionych materiałów nie zwracamy, a w przypadku ich publikacji zastrzegamy sobie prawo do skrótów. Materiały podpisane nawet nazwiskiem niekoniecznie oddają stanowisko redakcji. Odpowiedzialność za artykuły podpisane nazwiskiem ponoszą autorzy. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Ceny ogłoszeń ustalamy każdorazowo ze zleceniodawcą.

»Pogląd« ukazywał się od stycznia 1982 roku w Berlinie Zachodnim jako niezależne pismo zrzeszenia »Gesellschaft Solidarität« e.V. Od numeru 153 (wrzesień 1989) ukazuje się w Warszawie.

Kolportaż i prenumerata za granicą wyłącznie poprzez »Gesellschaft Solidarität« e.V., Geßlerstr. 10, D-1000 Berlin 62 (West) oraz jego wymienionych niżej przedstawicieli.

Prenumerata krajowa: przez kolportaż, cenę ustalają oficyny wydawnicze.
Prenumerata zagraniczna: cena pojedynczego egz. na Zachodzie DM 5,-.

| | | | |
|---|---------|------------------------------------|----------|
| RFN: | | Kraje zamorskie (poczta lotnicza): | |
| półroczna: | DM 35,- | półroczna: | DM 57,- |
| roczna: | DM 65,- | roczna: | DM 105,- |
| Europa i kraje zamorskie (poczta zwykła): | | Australia: | |
| półroczna: | DM 40,- | półroczna: | DM 67,- |
| roczna: | DM 75,- | roczna: | DM 130,- |

Wysyłkę podejmujemy po przekazaniu należności na konto – z dopiskiem »prenumerata«:

»Gesellschaft Solidarität«
Sparkasse Berlin West
Konto-Nr. 1220012382
BLZ 10050000

»Gesellschaft Solidarität«
Post giro Berlin West
Konto-Nr. 586 90-102
BLZ 10010010

Adres redakcji:

»Pogląd«
Kierownik biura: Masza Kmicik-Lejman
ul. Hoża 37 m. 31
WARSZAWA
tel. 22/218881

»Pogląd« (»Gesellschaft Solidarität« e.V.)
Kierownik biura: Leszek Kaleta
Geßlerstr. 10, Postfach 620224
D-1000 BERLIN 62 (WEST)
tel. 0048/30/7829384, 7829515

Editor: Edward Klimczak

Redakcja: Stanisław Gałęziowski – zagranica;
Elżbieta Stasiak – kroniki;
Zbigniew Żbikowski – reportaż;
kraj, aktualności – vacat;

Fotoskład: Leszek Kaleta

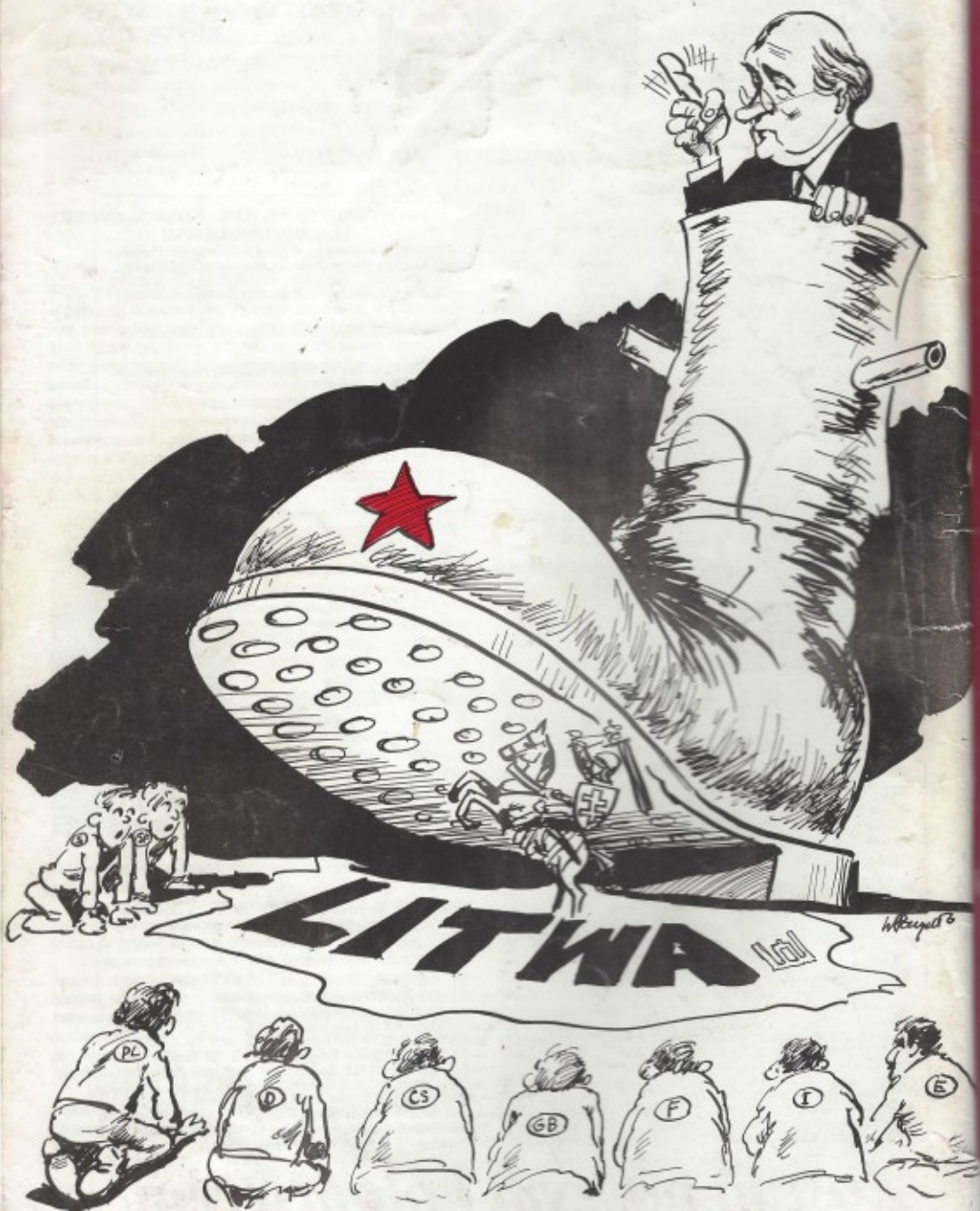
Korespondenci zagraniczni:

Ewa Darmas, Maria de Hernandez-Paluch – Paryż, Wiktor Grotowicz – Monachium, Krzysztof Kasprzyk – Toronto, Aureliusz M. Pędziwoł – Wiedeń, Maciej Radwan Rybiński – Bonn, Cezary Stolarczyk – Chicago, Roman Śmigiełski – Kopenhaga, Andrzej Zwaniecki – Waszyngton

Przedstawiciele i kolporterzy:

AUSTRALIA – Andrzej Lewandowski, 8 View Street, 6008 Subiaco, tel. 09/3821662; AUSTRIA – Księgarnia Polska, Zofia Reinbacher, Burggasse 22, 1070 Wien; DANIA – Roman Śmigiełski, Worsaaesvej 7, 4th, 1972 Frederiksberg C, tel. 01/31393330; FRANCJA – Krystyna Szewczuk, 143, rue Etienne Poulet, 69400 Villefranche s/S, tel. 74/620945; KANADA – Krzysztof Kasprzyk, 35 Confederation Dr. 205, Ont. M1G1A2, Scarborough; Marek Przykorski, 5050 Reslyn, Apt. 32, H3W2L2 Montreal, P.Q.; RFN – Robert i Stanisław Brodniecki, Zum Luftschaicht 17, 4600 Dortmund 15, tel. 0231/374673; Anna i Zbigniew Dominik, Freiherr-vom-Stein-Str. 46, 5800 Hagen; Jerzy Jankowski, Oskar-Maria-Graf-Ring 54, 8000 München 83, tel. 089/6371213; Tadeusz Leś, Wiener Str. 307a, 7000 Stuttgart 30, tel. 0711/8567415; Z. J. Pilarski, Im Hirschfeld 19, 5190 Stolberg, tel. 02402/84348; Marek Poliowski, Jillicher Str. 22, 5000 Köln 1, tel. 0221/219480; Christoph Pyrek, Wangenerstr. 27, 7000 Stuttgart 1, tel. 0711/463038; Stanisław Rejman, Bucherstr. 12, 7057 Winnenden, tel. 07195/74356; Waldemar Tymoszuk, Alster Arkaden 10, 2000 Hamburg 36, tel. 040/346047; SZWECJA – Tadeusz Karolak, Box 83, 13525 Tyreso, tel. 08/7421457; USA – Tamara Sochacka, 5026 Cadillac, Detroit, MI. 48212, tel. 311/8715317; WIELKA BRYTANIA – Solidarity with Solidarity, 7 Quintin Ave., London SW20 8LD, tel. 01/6734456;

Zostań naszym kolporterem!



ISSN 0930-9500